

TOM CCXLIII

ROK 61

SERYA 9

ZESZYT 726

De.I.1.

# BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

CZERWIEC.

1901.

---

TOM II — ZESZYT 3.

---

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Warecka Nr. 14.

—  
1901.

## *Treść zeszytu.*

	Str.
I. POŻEGNANIE STULECIA, —przez Szymona Askenazego . . . . .	393
II. SPRAWA DOŁĘGI, powieść (dalszy ciąg), — przez Józefa Weyssenhoffa . . . . .	418
III. TRAKTATY HANDLOWE, —przez St. A. Kempnera . . . . .	442
IV. NA WIOSNĘ (wiersz, — przez Bronisławę Ostrowską (Mierz.) . . . . .	469
V. ALEKSANDER GIERYMSKI, —przez Stanisława Witkiewicza . . . . .	474
VI. DAWNE POWIEŚCI I ROMANSE POLSKIE. Szkic literacki, — przez A. Brücknera . . . . .	506
VII. ZMIANA TRONU W WIELKIEJ BRYTANII, — przez d-ra M. E. Nekandę-Trepkę . . . . .	545
VIII. PIŚMIENICTWO. 1091 „Mémoires du général baron de Dedem de Gelder. 1774 — 1825“, — przez A. R. . . . .	564
Edmund Swieykowski: „Katalog malowideł, rysunków, sztychów i litografii Michała Stachowicza“, — przez Ksawerego Chamea . . . . .	566
IX. KRONIKA MIESIĘCZNA. — Statystyka wolnych posad i wybór powołania. — Muzea prowincjonalne. — Kwestyonaryusz d-ra Zawadzkiego. — Popularyzacja nauk przyrodniczych. — Pomoc lekarska na wsi . . . . .	569
X. WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE . . . . .	586



# Pozegnanie stulecia.<sup>1)</sup>

---

Kongresowe Królestwo Polskie wyobrażało na wszelki sposób nowinę dziejowo - polityczną. Doniosłą nowinę w stosunku rosyjsko - europejskim. Nowinę kapitalną w stosunku polsko - rosyjskim. Rossya ostatecznie stanęła w Warszawie. Zaś stała się już nie tak, jak przed dwudziestu niespełna laty. Wtedy, z woli cesarzowej Katarzyny, dobywszy miasta, wydała je Prusom, sama cofnęła się do Niemna i Bugu. Teraz, z ramienia cesarza Aleksandra, przychodząc z odnowicielską gałązką oliwną, rozgościła się pokojowo i pozostała nad Wisłą. Już nie z borów żmudzkich i stepów ukraińskich, ale z równin Mazowsza, wypukłą, zgoła ekspansywną linią frontową, bezpośrednio obejmowała Zachód. To była ważna nowość dla Europy. Aliści była tu inna jeszcze, nieskończenie ważniejsza dla Polski. Polska sprzęgnięta została z Rossyą. Znowuż przecie całkiem inaczej, niż przed laty dwu-

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt styczniowy, str. 1; — marcowy, str. 495; — kwietniowy, str. 1; — majowy, str. 193.

dziestu. Już nie na samej tylko jednostronnej, mechanicznej czynności wchłaniającej, lecz na obustronnym, organicznym zespole miało nadal polegać łączne pozycie obojga narodów. Tak więc, od jednego zamachu, zmieniło się, dopełniło, albo pono nawet odrodziło, stanowisko Rossyi względem Europy, stanowisko Polski względem Rossyi. Jakkolwiek bądź, dopełnienie, czy też bodaj odrodzenie, napewno znacząca odmiana, winna była znaleźć sobie odpowiedni wyraz w kongresowem Królestwie Polskiem. Wynikało pytanie: o ile ten nowy wyraz prawno-polityczny odpowiadał istotnie nowemu dziejowo-politycznemu zjawisku? O ile znaleziona na Kongresie wiedeńskim formuła ustawodawcza i terytoryalna Królestwa Polskiego czyniła zadość jego europejskiemu i polskiemu powołaniu?

Ustawa Królestwa, w samej swojej zasadzie, jako *conditio sine qua non*, warowana była przez Kongres. Jednak, w swoim zastosowaniu, niby zło konieczne, nader tylko ogólnikowo była wskazana w kongresowym akcie wiedeńskim. Wszakże rozwinięta następnie, hojną dłonią Aleksandra, w akcie konstytucyjnym warszawskim, uposażona została w stosowne instytucye narodowe i liberalne. Przeciwnie, terytoryum Królestwa było początkowo planowane, w dziejowych zapewne pomysłach, lecz w nader obszernym zakresie, przez cesarza Aleksandra. Ale następnie, skąpą ręką Kongresu, pod bezpośrednim jego naciskiem, skurczone zostało do szczupłych i ułamkowych rozmiarów przestrzennych i ludnościowych. Antynomia zaiste uderzająca. Obszerna ustawa wykroczyła poza myśl pierwotną Kongresu. Ciasne terytoryum pozostało w tyle za pierwotną myślą Aleksandra. Ta znamienita antynomia pochodna wyrastała wprost z pierwotnej europejskiej, jak samo Królestwo było płodem kongresowej Europy. Wyrastała z onej wewnętrznej sprzeczności zasadniczej, która, jak się rzekło, stanowiła piętno wytyczne, a stanowiła oraz kalectwo, stanowiła klątwę wszystkiego kongresowego dzieła. W tem rzekomem dziele „restauracyjnej“ odnowy, naprawdę pokutowała przedewszystkiem stara, przedawniona, przeszłowieczna racya stanu. Pokutowała tem samem uparta negacya nowożytnego ducha, nowożytnych warunków i nowożytnych konieczności. Ale takie absolutne przeczenie dziejowego postępu niewszędzie już było podobieństwem. Przychodziło tedy radzić sobie z musu, od wypadku do wypadku, połowicznym, nienaturalnym i nieskutecznym kompromisem. Tak stało się właśnie w wypadku niniejszym. Konkres żywił zakorzenioną nieufość dla Polski, dotychczas zachodniej awangardy napoleońskiej, i, co gorsza, najdobitszego uosobienia nowoczesnej idei narodowościowej i wyzwoleniczej. Żywił zarazem zrozumiałą trwogę przed Rosyją ustatkowaną teraz

w Warszawie, odtąd wschodniej straży przedniej rosyjskiej. Owóż, Kongres, nieufny i trwożny, poradził sobie po swojemu. Wynałazł rozcieńczzone lekarstwo zapobiegawcze, które nie zapobiegało niczemu. Obmyślił połowiczne zabezpieczenie, które nie zabezpieczało od niczego. Obmyślił mianowicie rozwiązanie, będące kompromisem pomiędzy zasadą podziałową XVIII wieku, a narodowościową XIX wieku. Zastrzegając ustawę, obciął terytorjum Królestwa. Obciął, ile tylko się dało. Mniemał, że w ten sposób osłabiał niebezpieczeństwo. Nie rozumiał, że je potęgował. Niezdolny rozumieć ducha czasu, tym razem nie zrozumiał nawet własnego interesu. Nie pojął, że metoda była przestarzała, że zmieniły się warunki. Nie pojął, że dać więcej, obecnie, wśród odmiennych warunków, znaczyło poniekąd dać mniej, i na odwrót. Nie pojął dalekonośnych konsekwencyi, jakie mieściła w sobie nowa idea związku, stanowiona na miejscu starego sposobu wcielania. To też nie pojął konieczności rzetelnego, trwałego ufundowania tej nowożytniej idei związkowej. Zostawił ją w powietrzu. Zawiesił na zastrzeżeniu ustawodawczem i na tem poprzestał. Wiotkie oparcie, żaden fundament. Tembardziej, że samo zresztą owo zastrzeżenie konstytucyjne, aczkolwiek stanowczo i bezwarunkowo zarejestrowane *in abstracto*, przecież w przyszłych swoich konkretnych szczegółach półgębkiem tylko, po akademicku, wyznaczone było w akcie wiedeńskim. Rękojmie konstytucyjne już z samej swojej natury nie były w smak Kongresowi. Dlatego też równoległe rękojmie dla Poznańskiego i Galicyi tak łatwo mogły zostać obrócone w żart, w niwecz, przez Prusy i Austryę. Kongres w tych rzeczach patrzył przez szpary. Wprawdzie z Królestwem Polskiem była sprawa nieco inna. Tutaj, w Warszawie, sankcye ustawodawcze miały podobno pewne specyficzne znaczenie ochronne, jakiego nie miały ani w Poznaniu, ani we Lwowie. Tutaj ustawa miała podobno zapobiegać, zabezpieczyć, zahamować. Ale cóż znaczyła goła ustawa? Wedle myśli Kongresu miała być hamulcem. Lecz wedle pierwotnej intencji cesarza Aleksandra miała być dźwignią. Tylko takiej intencji zawdzięczała ona naprawdę swoje obszerne i liberalne brzmienie. Tuszył sobie pierwotnie, i słusznie, jej nadawca, że przez nią zjednoczy w swoich rękach władzę moralną nad powszechnością opinii polskiej. Rachował, że tedy może w następstwie dźwigni niedokonane na Kongresie zjednoczenie pod swoim berłem powszechności ziem polskich. Ale takie intencje bardzo wspaniałe, lecz bardzo ryzykowne, mogły uleść zmianie, ze zmianą okoliczności, czasu, a nawet, a zwłaszcza—ze zmianą człowieka. W rzeczy samej zmienia się radykalnie już po kilku latach. Cóż wtedy pozostanie? Zostanie nowotwór niezrównoważo-

ny i niedojrzały, a pozbawiony odtąd widoków dotarcia dojrzałości i równowagi.

Właściwe dzieje konstytucyjne Królestwa Polskiego poprzedził wyjątkowo długi okres przygotowawczy, ciągnący się od początku 1813, aż do końca 1815 roku. Z kolei, w samym tym blisko trzechletnim okresie wstępnym, wyłaniają się dwie oddzielne, a nierówne fazy przechodnie. Nasamprzód, przez dwa lata z górą, okupacyjne rządy wojskowe Księstwa Warszawskiego, aż do ogłoszenia Królestwa. Następnie, przez pół roku, mieszane rządy tymczasowe Królestwa Polskiego, aż do ogłoszenia karty konstytucyjnej.

W lutym 1813 roku, zwycięskie wojska rosyjskie wkroczyły do Warszawy. Całe Księstwo faktycznie objęte zostało w posiadanie przez Rosyję. Stworzona została po raz pierwszy nowa, nieznaną tutaj dotychczas, władza generał - gubernatorska. Rzeczywistym rządcą naczelnym kraju został generał - gubernator Łąnskoj. Wprawdzie po paru już miesiącach zaprowadzono, pod jego przewodnictwem, pośrednią władzę krajową, z obszernym tytułem Rady Najwyższej Księstwa, a przy udziale niektórych Polaków. Wszakże ta nieokreślona instytucja, acz rzekomo „najwyższa“, była niczem więcej, tylko „radą“. Skład jej polski był nieliczny i dobrany starannie, nie z pośród obywateli Księstwa, lecz z dotychczasowych poddanych rosyjskich. Wszedł więc tutaj Lubecki dla spraw wewnętrznych, Wawrzecki — dla sprawiedliwości, Czartoryski — z kompetencją raczej ogólnikową; zresztą wiceprezydium Rady — przy Nowosilcowie, prezydium — przy Łąnskoju. Zostawiono wprawdzie w głównych zarysach dotychczasowe formy administracyjne francusko-warszawskie. Wprowadzono jednak do nich niejedną dotkliwą modyfikację w duchu wyjątkowej administracji cywilno - wojskowej. W tej pierwszej dobie okupacyjnej sprawa zasadnicza, sprawa wcielenia, albo też związku, była jeszcze całkowicie w zawieszeniu. A nawet dość długo i dość wyraźnie rozwiązanie ostateczne zdawało się wówczas przechylać raczej na stronę wypróbowanej zasady wcielenia, aniżeli nowomodnej zasady związku. Takie przynajmniej było, bez żadnej wątpliwości, mocne przekonanie i życzenie Rosyan, rządzących wówczas Księstwem Warszawskiem w imieniu cesarza Aleksandra. Taka była opinia Łąnskoja. Ten najpierwszy generał - gubernator warszawski, postać zapewne już z samego tytułu ciekawa, typ dworaka i męża stanu z czasów końcowych Katarzyny, osobiście człowiek ogładzony i ujmujący, swoim oględnym i zręcznym obejściem, dobrą francuszczyzną, wyszukaną uprzejmością, łagodnym, często ulgowym sprawowaniem rygorów okupacyjnych, potrafił zyskać sobie sympatyę i nawet wdzięczność Warszawy.

Atoli, w charakterze gospodarza najgrzeczniej czyniąc honory Zamku królewskiego, nie omieszkiwał równocześnie, w poufnych raportach do Aleksandra jak najmocniej ostrzegać przed niewczesną, niebezpieczną i zgoła zbyteczną hojnością ustawodawczą względem trzymanych w rękę ziem warszawskich, a natomiast usilnie doradzał proste wcielenie tych ziem zdobytych, na wzór ośmiu gubernii zachodnich, do imperium wszechrosyjskiego. W tym samym zupełnie duchu starał się wpływać senator Nowosilcow, wiceprezes Rady, wprowadzony tam przez Czartoryskiego, udający najzarliwszego przyjaciela Puław i Polski, a zarazem redagujący tajne memoriały o niezbędności roztoczenia ścisłego dozoru policyjnego nad wszystką ludnością Księstwa, zarówno po departamentach, jak w szczególności w Warszawie. Wreszcie, co najciekawsza, pod wpływem takich inspiracji, a w pewnej mierze niezawodnie i z własnego naturalnego popędu, W. Ks. Konstanty Pawłowicz, z większą jeno otwartością od Łąskojów i Nowosilców, w podobnym oświadczył się duchu. Powołany niebawem do tak wyjątkowej roli w Królestwie Polskiem, a pod koniec nawet niejednokrotnie nadzwyczaj śmiały rzecznik jego odrębności politycznej, — Wielki Książę wtedy jeszcze, w tej najwcześniejszej dobie wstępnej, radził po prostu zamienić departamenty na gubernie, posadzić gubernatorów z Cesarstwa, jednym słowem, ustanowić porządki warszawskie na wzór i podobieństwo kijowskich, witebskich albo wileńskich. Wprawdzie cesarz Aleksander, koniec końcem, nie dał posłuchu tym radykalnym natchnieniom, i swoją ostateczną decyzję na podnioślejszej, odnowicielskiej oparł podstawie. Ale ta ostateczna własna jego decyzja bynajmniej nie była przez niego odrazu niezłomnie i nieodwołalnie powzięta. Nazbyt był praktycznym politykiem Aleksander i nazbyt był sobą, ażeby z góry nieodwołalnie jedną tylko zostawiać sobie drogę, ażeby sobie odwrót zamykać. Chciał od początku bytu Królestwa, i w najobszerniejszem znaczeniu, ale rezerwował sobie także możność jego niebytu; od początku chciał związku, ale rezerwował sobie także możność wcielenia. Tym-to sposobem tamte nieprzyjazne inspiracje skrajne, przez blisko dwa lata, — to jest póty, póki królewska myśl Aleksandra, acz w ścieśnionym zakresie, nie została urzeczywistnioną w aktach wiedeńskich, — miały swobodne pole do rozgospodarowania się w obywatelnem Księstwie Warszawskiem. Dopóty też w ciągu niniejszej pierwszej fazy wstępnej, a zwłaszcza w jej części przedkongresowej, kraj najcięższą przechodził próbę. Pierwszą realną zapowiedź pewniejszego zwrotu ku lepszemu podała jedyna siła realna: wojsko polskie. W osobie Dąbrowskiego i generalicyi, wypłaciwszy aż do ostatka swój dług honoru względem Napoleona, z tem większą powa-

gą moralną pochyliło swój czysty sztandar przed Aleksandrem. Z chwilą, gdy wojsko polskie, uznane jako takie przez cesarza, wróciło do kraju, poczęły zwolna wyjaśniać się losy kraju. Stworzone w Warszawie, latem 1814 roku, właśnie przed zebraniem się w Wiedniu Kongresu, naprzód Komitet Organizacyjny Wojskowy, nieco później Komitet Organizacyjny Cywilny. Obadwa ciała—z wyjątkiem W. Ks. Konstantego, przewodniczącego w pierwszym w charakterze Wodza Naczelnego, — wyłącznie w polskim stanowiono składzie. Przecie był ciągle wynik ostateczny nieprzebitą mgłą nadchodzących obrad kongresowych zgoła zasłoniony; jeszcze też ciągle na dwa konce kierowana była robota, na poły tylko uchwytna, na poły niemal fikcyjna. Fikcyę oczywiście wyobrażał Komitet Cywilny. Urządzony z całą gorliwością i dobrą wiarą, acz nie wszędzie z dostatecznym zrozumieniem stosunków miejscowych, przez ks. Czartoryskiego, i zanadto też przez niego brany na seryo, ten Komitet warszawski dla przyszłego Królestwa Polskiego, powołany do życia w przededniu dyplomatycznej kampanii wiedeńskiej, w gruncie rzeczy wykazywał niejakże pokrewieństwo z nieboszczykiem komitetem petersburskim dla przyszłego Księstwa Litewskiego, powołanym do życia przed paru laty, w przededniu wojennej kampanii moskiewskiej. Chodziło tu podobnie głównie o zabawienie, o zajęcie tymczasowe opinii publicznej. Prawodawcze prace komitetowe podobnego też i tym razem doświadczyły losu, i kilkomiesięczna protokółarna pisanina ostatecznie w całości poszła do kosza. Całkiem inaczej natomiast prezentował się Komitet Wojskowy. I on również zajmować miał sobie pierwotnie wyznaczoną fikcyjną, a w każdym razie nawskroś zawisłą, rolę i robotę. Ale na szczęście, wsparty i oświecony niepospolitem generała Dąbrowskiego uczestnictwem i dyrektywą, odrazu pod takim przewodem musiał zdobyć sobie własną istotność realną i własną moralną świadomość. Komitet Wojskowy w najkrótszym czasie, ze zdumiewającą sprawnością, zreorganizował armię krajową i stworzył tym sposobem główny zakład i rzeczywistą opokę nowego krajowego bytu. Kiedy zaś z końcem 1814 roku, wśród gwałtownego obrotu narad kongresowych wiedeńskich, cała przyszłość kraju okazała się zakwestyonowaną, kiedy pod podwójnym naciskiem nieprzyjaznych wpływów rossyjskich i europejskich, Łanskojowych i Metternichowskich, mógł zawahać się, mógł się zgoła cofnąć w swoim postanowieniu Aleksander; natenczas Komitet Wojskowy warszawski, prowadzony przez Dąbrowskiego, w dobrze zrozumianem poczuciu swojego powołania i swojego obowiązku, rzucił swoją szpadę na chwiejącą się szalę, upomniał się o poręki terytoryalne i ustawodawcze i, umocniając w ten sposób zarazem stanowisko kraju względem Aleksandra i sta-



nowisko Aleksandra względem Europy, dobrze zasłużył się zarazem i wobec kraju, i wobec monarchy. Memoryały, złożone w tej sprawie przez Komitet Wojskowy na ręce W. Ks. Konstantego w listopadzie i grudniu tegoż roku, stanowią w całym znaczeniu słowa wielki akt służby publicznej. Niedługo potem dokonano się w Wiedniu ostateczne porozumienie w rzeczach polskich. Nareszcie, z początkiem lata 1815 roku, ogłoszenie Królestwa Polskiego zamknęło pierwszą, najmniej jasną, i otworzyło drugą, widniejszą już fazę niniejszego wstępnego okresu.

Uroczyste ogłoszenie Królestwa Polskiego odbyło się w Warszawie 20 czerwca 1815 roku. Od samego rana miasto przybrało postać świąteczną. Na zamku królewskim, na ratuszu, na głównych gmachach publicznych wywieszony nowy herb i sztandar Królestwa. Na domach prywatnych wszędzie umieszczono nowe kolory krajowe. Z kościołów były wszystkie dzwony. W starożytnej katedrze Świętojańskiej zgromadziły się nowe władze, — gdyż Radę Najwyższą Tymczasową Księstwa zastąpił obecnie Rząd Tymczasowy Królestwa, — dostojnicy cywilni i wojskowi w prezbyteryum i pierwszych ławkach, za nimi deputacye obywatelskie od departamentów, przedstawiciele municypalni od stolicy, dalej w tyle i w bocznych nawach, w ograniczonej zresztą dopuszczona liczbie, mieszana ludność miejska. Natomiast przed wrotami świątyni, na ciasnej ulicy i aż na Placu Zygmunta, stłoczone wielogłowe tłumy, w skupieniu raczej, niż podnieceniu, czarne, nieruchome i ciche <sup>1)</sup>. Odprawiona nasamprzód msza przez biskupa w pontyfikaliach: odśpiewano *Veni. Creator*. Późem odczytano donośnie u Wielkiego Ołtarza: abdykacyę króla saskiego Fryderyka-Augusta z korony książęcej warszawskiej, zwolnienie od wiernopoddańczych dla niego obowiązków, manifest Aleksandra do Polaków, nakreślone od niego zasady przyszej konstytucyi królewskiej, — aż wreszcie, pod sam koniec, według objawionej ogólnej roty, odebrano od przytomnych przysięgę na wierność Jego Cesarskiej Mości, Królowi Polskiemu, Aleksandrowi I Pawłowiczowi i Jego po wieczne czasy prawym następcom w Monarszym Domu Romanowów. Moment dziejowy najpierwszej wagi. Otwierał on, jak się zda-

---

<sup>1)</sup> Czartoryski do Aleksandra, z Warszawy, (21) juin 1815: „ceux qui avaient assisté à tant de cérémonies dans ce pays ont remarqué que celle-ci avait un tout autre caractère, quelque chose de calme et réel, rien de théâtral et de joué. On eût dit que cette nation, après tant de souffrances, n'avait plus assez de ressort pour se livrer à une joie folle“. Spółczesne relacye Łanskoja w formie mniej dyplomatycznej stwierdzają to samo postrzeżenie.

wało, nową zgoła erę. Odmykał istotnie wielką niewiadomą. Napoczął próbę, nigdy dotychczas niepodejmxwaną, a jakże trudną, doniosłą, przelomową, w jakże wielu kierunkach politycznego i społecznego życia narodu.

Wraz z ogłoszeniem Królestwa, na miejscu zwiniętego Komitetu Organizacyjnego Cywilnego powstał nowy Komitet Konstytucyjny, obdarzony już wyraźną i określoną kompetencją: ułożenie karty ustawodawczej. Znajdował się on właściwie pod przeważnym wpływem i kierunkiem ks. Adama Czartoryskiego, i to zarówno ze względu na przepisane sobie Zasady wytyczne, inspirowane przez księcia, jakoteż na sam swój skład osobisty, dobrany przeważnie z zaufanych domowników puławskich. Sam Czartoryski opracował dział o reprezentacji narodowej, Matuszewicz i Plater — o rządzie, Wawrzecki — o sprawiedliwości, Linowski — o poręczeniach ogólnych. Jednakowoż, pod naciskiem uzasadnionych wymagań sytuacji i opinii miejscowej, w samym projekcie ustawodawczym przemogły prawie wyłącznie wzory francuskiego prawnego i publicznego ducha, całkowicie niemal biorąc górę nad pewną predylekcyą dla wzorów angielskich, dostrzegalną pierwotnie w Komitecie Konstytucyjnym pod bezpośrednim natchnieniem Puław. Tak więc, między innymi, upadły zamierzone pierwotnie parostwa dziedziczne i majoraty. Tak utrzymały się skazane pierwotnie na zniesienie obowiązujące w kraju kodeksy Napoleońskie. Powierzenie przez Aleksandra rewizji projektu konstytucyjnego Stanisławowi Potockiemu, wykarmionemu na liberalnych pojęciach francuskich, przyczyniło się jeszcze niepomału do wyciśnięcia na projekcie wskroś nowożytnego i postępowego piętna. Inne, oczywiście mniej pożądane zmiany redakcyjne, i to zarówno dopełnienia, jak zwłaszcza opuszczenia, z nadzwyczaj sprytną a przewidującą dyskrecyą, za pomocą kilku zaledwo dostrzegalnych pociągnięć pióra. wprowadzone zostały przez Nowosilcowa, powołanego ze strony rosyjskiej do oceny i ocenizowania gotowego projektu. Wreszcie, niektóre znaczące modyfikacje, jak się zdaje, skutecznie zostały w ostatniej jeszcze godzinie, przed udzieleniem sankcyi i podpisu, wedle osobistych wskazówek samego monarchy.

Karta konstytucyjna, po półrocznem w ten sposób opracowaniu, w ostatecznej uświęconej swojej redakcyi przedstawiała się jako obszerna, systematyczna całość, obejmująca, w siedmiu tytułach i stu kilkudziesięciu artykułach, wszystkie główne podstawy prawno-politycznego bytu Królestwa. Na najpierwszem zaraz miejscu wyrzeczone po wszystkie czasy połączenie Królestwa Polskiego z cesarstwem rosyjskiem, w osobie Aleksandra i jego następców, na mocy obowiązującego w Rosyi porządku dziedziczenia, to jest na mocy obowią-

zującej ustawy sukcesyjnej cesarza Pawła I-go. Akt koronacyi królewskiej i przysięgi na konstytucyę, z wyłączeniem samego nadawcy, jako zastąpiony dla niego przez położenie podpisu nadawczego, dopiero na następców jego włożony. Herb Królestwa w nowej, pośredniej, ustanowiony postaci, przez umieszczenie Orła Białego na piersi dwugłowego czarnego Orła rosyjskiego, — a więc ściśle na sposób nowego herbu Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Stało się to na stanowcze życzenie Aleksandra, a wbrew pierwotnemu projektowi Komitetu Konstytucyjnego, gdzie zostawiony był prosty Orzeł Biały, przysługujący Księstwu Warszawskiemu. Zresztą, skutkiem późniejszych zarządzeń koronacyjnych 1857 i 1883 roku, herb królewski, na równi z innymi herbami prowincjonalnymi, przeniesiony został z piersi na skrzydła orła cesarskiego. W nietykalnej osobie Króla złożona w całej pełni udzielna władza rządowa, oraz w granicach inicjatywy, sankcyi i *veto*, uczestnictwo władzy prawodawczej. Przy nim mianowanie członków rządu, sądownictwa, senatorów, biskupów, naczelnictwo nad siłą zbrojną, kierunek polityki zagranicznej, jednej i wspólnej dla Królestwa i Cesarstwa. Ostatnia okoliczność wyłączyła z góry osobne krajowe ministerjum spraw zagranicznych: jednakowoż, w pewnej poniekąd sprzeczności z tym przepisem konstytucyjnym, przy boku W. Księcia Konstantego w Warszawie istniał samodzielny Wydział dyplomatyczny, prowadzący na własną rękę stałą korespondencyę z przedstawicielami państwa u wszystkich wybitniejszych dworów zagranicznych <sup>1)</sup>. Monarcha, sam stanowiąc o wojnie i pokoju, władny używać armii polskiej, wedle swego uznania, ku obronie państw obojga, wszelako tylko w obrębie granic europejskich. Bezpośrednia czynna nad wojskiem władza oddana W. Ks. Konstantemu w stopniu Naczelnego Wodza; właściwa administracya wojenna winna była konstytucyjnie zostać w rękę odpowiedzialnego ministerjum wojny, lecz faktycznie, od pierwszej niemal chwili, pochłonięta również niemal przez główną kwaterę wielkksiążęcą. Namiestnik królewski, w zastępstwie monarchy, formalnie wszystką władzą koronną, w obu kierunkach, cywilnym i wojskowym, obdarzony, faktycznie, pod względem już cywilnym — w znacznej mierze, pod względem wojskowym — w zupełności, od dyrektywy wielkksiążęczej zależny. Nie uprawniony zresztą Namiestnik do wykonywania osobistej prerogatywy monarszej względem całości, ani nawet oddzielnych części prawodawczej reprezenta-

---

<sup>1)</sup> Papiery, wychodzące z tej kancelaryi, nosiły drukowaną sygnaturę: *Royaume de Pologne. Affaires Etrangères.*

cyi narodowej. Rada Stanu przy Namiestniku i pod jego prezydencyą, w charakterze instytucyi doradczej, powołana do przygotowania projektów prawodawczych, nadzoru nad czynnościami rządu, zdawania z nich sprawy sejmowi, rozstrzygania wreszcie sporów jurysdykcyjnych i administracyjnych. Rada Administracyjna, również pod przewodnictwem Namiestnika, w niektórych względzie uważana za część składową Rady Stanu, w istocie wyobrażała właściwą odpowiedzialną, rządzącą władzę wykonawczą. Była czemś w rodzaju gabinetu ministrów, wedle pojęć dzisiejszych, z tą atoli kardynalną różnicą, że ministerya szły luzem, w oderwaniu, fikcyjne tylko, złączone przez Namiestnikowskie nominalne prezydium, a nie zjednoczone faktycznem kierownictwem uznanego premiera. Jednak, w pewnym przynajmniej stopniu, wyższy autorytet jednego celniejszego ministra z samej natury rzeczy wywierał niejaki ogólniejsze oddziaływanie na inne ministerya: tak, w pierwszych kilku latach górował Stanisław Potocki, piastując równocześnie — sposobem kumulacyi, dość dziwnej zapewne dla dzisiejszych pojęć parlamentarnych, i nawet dość przeciwnej owoczesnym pojęciom o podziale władz publicznych, — obowiązki rządzącego ministra i dostojenstwo prezesa senatu; tak, w ostatniem dziesięcioleciu, swoją wszechobecną a wszędzie niezbędną energią i wyjątkowem u monarchy zachowaniem, dominował Lubbecki. Pośrednictwo między rządem krajowym a koroną, sprawowane przez sekretaryat stanu w Petersburgu, w osobie oddzielnego ministra sekretarza stanu, urzędującego u boku monarchy. Na miejscu samą Radę Administracyjną warszawską składało pięć ministeryów wydziałowych, pod nazwą Komisji rządowych: wojny, skarbu, sprawiedliwości, spraw wewnętrznych, oświecenia i wyznań. Widoczny postęp w zniesieniu oddzielnego z czasów Księstwa Warszawskiego ministeryum policyi, wcielonego obecnie do wydziału spraw wewnętrznych. Naodwrot, a w takim samym postępowym duchu, sprawy wychowania publicznego i religijne, dotychczas na zawisłem komornem w obcym lokowane wydziale, obecnie podniesione do przynależnej im powagi samoistnego rządowego organu. Wszelako religia rzymsko - katolicka, jeszcze za Księstwa konstytucyjnie „religia stanu“, teraz już jedynie „szczególnej opiece rządu zalecona“. Tak znacznej inowacyi naczelną pobudką najopacniej jednak przez tendencyjnych i nierozważnych historyków na karb jakiegoś specyficznego warszawskiego niedowiarstwa łożona i wyrzucana z przekąsem. Rzeczywistej pobudki szukać tutaj raczej w wyraźnej woli nadawcy, w odmiennem wyznaniu panującego, w dosłownem brzmieniu dynastycznej ustawy Pawła, w świeżym jeszcze, z przed lat kilku, ukazie samego Aleksandra o religii prawosławnej, jako jedynej i wy-

łącznej religii stanu wszechrossyjskiej. Zupełna tolerancja religijna zresztą poręczona; zapewniona równość wszelkich wyznań przed prawem zwyczajnem, zaś chrześcijańskich — przed prawem politycznem: zawieszona tym sposobem ludność żydowska w wykonywaniu ogólnej i lokalnej prerogatywy przedstawicielskiej.

Władza prawodawcza przy dwuizbowej reprezentacji narodowej. Sejm trzydziestodniowy właściwie z urzędu co dwuletni. A toli wsunięte niezręcznie — albo może zbyt zręcznie — zastrzeżenie uboczne, iż król mocen jest wedle swego widzenia „odkładać“ (*ajourner*) sejmy, stało się powodem, że zamiast siedmiu conajmniej, wypadających z litery prawa, cztery tylko sejmy odprawiano w całym piętnastoleciu. Sejmowanie w obu izbach publiczne. Głosowanie jawne, prostą większością. Senat dożywotni, w liczbie członków niewyższej nad połowę składu izby niższej. Izba poselska w stokilkadziesiąt, na lat sześć obieralnych, posłów od szlachty oraz deputowanych od gmin. Posłowie a deputowani z nazwy tylko, nie z istoty, różni; sporo też zawsze najlepszej szlachty pośród deputowanych gminnych. Nadzór izby nad czynnościami rządu ześrodkowany głównie w trzech rewizyjnych komisjach sejmowych: do praw cywilnych i karnych, do praw administracyjnych i organicznych, do rzeczy skarbowych. Pod postacią wyczerpujących Uwag Komisji sejmowej, jako też rozległej prerogatywy petycyjnej, wykonywana przez sejm w nader obszernym zakresie dzisiejsza czynność interpelacyjna. Cenzus obiorczy senatorski dosyć wysoki. Natomiast cenzus bierny i czynny do izby niższej nader umiarkowany. Wyborcą poselskim każdy szlachcic, zapisany w księdze szlacheckiej danego okręgu sejmikowego. Wyborcą deputackim: każdy właściciel gruntowy, płacący jakikolwiek podatek; każdy rzemieślnik przelożony nad czeladzią; fabrykanci i kupcy powyżej pewnej, dość skromnej, skali majątkowej; plebani i wikaryusze; nauczyciele, artyści, i naogół w obszernym zakresie przedstawiciele nauk i sztuk wyzwolonych. Wybory wyłącznie bezpośrednio. Senat w pełnym składzie, niezawisłe od swoich funkcji prawodawczych, tworzy gotowy Sąd najwyższy w sprawach oskarżenia o zbrodnię stanu.

Ograniczając się na razie do wskazania tych najogólniejszych zasad ustawodawczych, należy postawić sobie pytanie: co sądzić o wartości politycznej i prawnej niniejszego dzieła konstytucyjnego? Nie ulega wątpliwości, że akt konstytucyjny, i w treści swojej, i zwłaszcza w redakcyjnym brzmieniu, nie był wolny od dotkliwych braków. A więc naprzód, co do treści, Karta ustawodawcza w kilku punktach arcyważnych milcząco odstępowała od objawionych urzędownie Zasad ustawodawczych, których winna była zostać rozwinię-

ciem. Były tedy wyraźnie wyszczególnione, zapowiedziane w Zasadach, a przecie całkiem brakowało w Karcie takich materyi arcydioniosłych: definicya zasadnicza samej Ustawy, jako kardynalnego węzła i warunku; organizacya sądownictwa administracyjnego na ogólnych podstawach proceduralnych; reforma społeczna i prawna żydów; autonomia miejska; wreszcie, co główna, urządzenie włościan, stopniowe „zapewnienie im rzeczywiście i gruntownie dobrego bytu“, przysposobianie ich na właścicieli, a tem samem na pełnych, czynnych obywateli kraju. O tych wszystkich rzeczach ani słyhu nie było w konstytucyi. Przemilezenie było tu poniekąd odwołaniem. Było w każdym razie bądź opóźnieniem, bądź nawet zgola spaczeniem prawidłowego rozwoju i koniecznego postępu. To też skutki tych milczących restrykcyi w każdej niemal odpowiedniej dziedzinie dotkliwie i długo dały się we znaki krajowi. Tak w odciętej własnej jurysdykcyi mógł skostnieć biurokratyzm administracyjny. Tak reforma żydowska późno, jeśli nie zapóźno, przyszła dopiero na ręce Wielopolskiego. Tak przepadł z kretesem samorząd miejski. Tak odsunęło się i wysunęło uwłaszczenie włościanstwa. A następnie, co do samej formy aktu ustawodawczego, było w niej aż nadto wadliwych szczegółów redakcyjnych, otwierających szerokie pole niepożądaney, albo wręcz niebezpiecznej interpretacyi. Były tam w wysłowieniu błędy, wynikające z nierozwagi, lub przeoczenia, a były także dwuznaczniki, umieszczone z celowym z góry rozmysłem. Tak, zamiast starego *neminem captivabimus* wstawiony zwrot *neminem captivum i permittemus*: i oto odrazu stało się dopuszczalnem samo nieprawne uwięzienie, a w dalszej dopiero perspektywie obiecane zwolnienie z więzienia. Tak, obok poręczoney wolności druku, przewidziane całkiem ogólnikowo ograniczenie jej „nadużyć“! i wnet stworzony otwór dla nieograniczonej cenzury. Tak, gdzieindziej, „pierwszy budżet“ zostawiony do woli królewskiej, bez żadnego bliższego objaśnienia, co właściwie przezeń należy rozumieć: i naraz odtąd przez całe piętnastolecie sejm i kraj wyłączone zupełnie od sprawowania najżywotniejszej prerogatywy budżetowej. Tak, gdzieindziej znowu, w przepisie o procedurze oskarżycielskiej przeciw ministrom stanu, użyty niestosowny spójnik łączny zamiast różnicowego, słówko *et* zamiast *ou*: i nagle pozbawiona izba poselska przynależnego sobie samodzielnego prawa oskarżania. Takie i inne szczegóły, na pozór drobne i czysto formalne, lecz na prawdę nader istotne, miały niebawem odbić się zewszechniar niepomysłnie na biegu spraw publicznych, kryjąc w sobie mętne źródło drażliwych nieporozumień i zatargów pomiędzy koroną i rządem, a sejmem i opinią.

W ten-to sposób, przy pobieżnem już rozważeniu Karty ustawodawczej, zarówno pod względem merytorycznym, jak literalnym, na pierwszy zaraz rzut oka nastroczają się liczne wątpliwości i namacalne zarzuty. Można-by nawet bez trudu jeszcze je pomnożyć i podkreślić. Jakiż jednak stąd wniosek ostateczny? Ten tylko, iż konstytucya nie była doskonałą. Ale wyznajemy, że żadnej nie znamy doskonałej. Powiemy tedy, po wszystkich uczynionych zastrzeżeniach: konstytucya była dobrą. Powiemy jeszcze: wśród ówczesnych europejskich nie znamy żadnej lepszej. Powiemy więcej: nie znamy wśród nich żadnej równej. Jednakowoż nie miała ona szczęścia do swoich sędziów. Sądzona była na ogół surowo a niesprawiedliwie. Wytknięto wszystkie w niej wady, nawet wady rzekome; mniej dopatrzone się i doceniono rzeczywistych pierwszorzędnych zalet. Wyrokowano o niej przeważnie ze stanowiska pewnych, zgóry powziętych, założeń stronnicych. Wyrokowano o niej zawsze pod wrażeniem końcowego jej rozbitcia, mianując ją narzędziem chybnem i niezdatnem. Wyrokowano zarazem i tendencyjnie, i anachronicznie. Zaniedbano i tym razem, jak w tylu innych wypadkach, jedynej dozwolonej i niezbędnej miary porównawczej. Wprawdzie ofiarował Lelewel słynne Porównanie trzech konstytucyi: majowej, napoleońskiej a kongresowej; lecz nie uniknął ani tendencji, ani anachronizmu. Pisał już pośród huk rozpaczliwych strzałów rewolucyjnych, a mierzył jeszcze miarą ustawodawczą czteroletniego sejmku. To też podwakroć tutaj chybił: sądem polityka i dziejopisa. W innym, stateczniejszym duchu, i na mocy innej, stosowniejszej skali porównawczej, należy oddać sprawiedliwość Karcie konstytucyjnej Królestwa Polskiego. Była ona nieskończenie sprawniejszym narzędziem reprezentacyjnem od Ustawy Księstwa Warszawskiego. A pamiętać należy: była własnością kraju, kilka razy szczuplejszego od Rzpltej 1791 roku, a niewiele obszerniejszego od Księstwa 1807 roku. Pamiętać także: była zrodzona już nie podczas pierwszego przypływu, lecz w chwili gwałtownego odpływu prawnego - państwowych pojęć nowożytnych, w zaraniu zacofanej doby restauracyjnej, i w takim zresztą momencie, kiedy zasady parlamentaryzmu, w znaczeniu dzisiejszem, wszędzie jeszcze, nawet na Zachodzie, spoczywały w kolebce. Tembardziej oczywiście, wszystko razem biorąc, a biorąc zwłaszcza na uwagę czas i okoliczności, należy w konstytucyi warszawskiej 1815 roku uznać dzieło na ogół niepospolite, dzieło wysokiego i oświeconego rozumu stanu. Zabezpieczała osoby i nietykalność własności cywilnej, utrzymując krajowi wielkie europejskie prawodawstwo i kładąc je w ręce niezawisłego sądownictwa. Zabezpieczała swobodę sumienia i myśli, poręczając pełną tolerancję religijną i, w zasadzie przynajmniej, poręczając wolność druku. Zabezpieczała na-

reszcie poważny udział ogółu w kontrolowaniu czynności machiny państwowej, warując instytucye przedstawicielstwa narodowego, w zakresie, jak na pojęcia i warunki owoczesne, jedynie dostępnym, a nawet poniekąd w zakresie natenczas bezprzykładnym, wykraczającym daleko poza granice społecznych reprezentacyjnych wzorów zachodnich. W rzeczy samej, — jakkolwiek paradoksalnie, prawie bajecznie, brzmieć to musi dzisiaj, po latach kilkadziesiątu, wobec jakże odwróconych z gruntu stosunków krajowych, — nie może ulegać żadnemu wątpieniu, że Królestwo Kongresowe, pod względem ustawodawczo-reprezentacyjnym daleko zostawiało poza sobą społeczne najkulturalniejsze społeczności Zachodu. Wyprzedzało znacznie Anglię. Ówczesne *franchise* parlamentarne angielskie, oparte na przedawnionej praktyce fikcyjnych jednostek wyborczych, osławionych *rotten boroughs*, na wstecznym i nieuczciwym systemacie krzyczącego oligarchicznego nadużycia, pod każdym względem stało niżej od nowego sejmowego prawa warszawskiego, opartego na zasadzie jednostajnych wyborów bezpośrednich, równomiernych okręgów ludnościowych i umiarkowanego majątkowego cenzusu. Te zdrowe poręki reprezentacyjne, jakie wtedy posiadało Królestwo, po kilkunastu dopiero latach, kiedy ono już istnieć nie będzie, zdobędzie sobie Anglia na mocy ciężko wywalczonych pierwszych bilów reformy. I podobnie jak Anglię Jerzego IV, wyprzedzało oraz Królestwo Polskie we względzie ustawodawczym Francję Ludwika XVIII i Karola X. Dość porównać Kartę warszawską 1815 roku z ową sławną *Charte* 1814 r., pod której hasłem dawali się zabijać Francuzi na barykadach lipcowych, i której pogwałcenie ukarali wypędzeniem borboskiej dynastji. Owóz, wedle tej drogocennej *Charte*, — biorąc już tylko na uwagę wydane w jej rozwinięciu najpierwsze „liberalne“ przepisy 1817 roku, a pomijając późniejsze, ścieśniające przepisy reakcyjne o przywileju elektorskim tak zwanych „podwójnych wotów“, — prawo wyborcze bierne wymagało lat 40 wieku i opłacanego podatku rocznego 1,000 franków, prawo wyborcze czynne — lat 30 i podatku 360 franków. Tymczasem, wedle Konstytucji Królestwa, prawo wyborcze bierne wymagało lat 30 wieku i 100 złp. podatku; czynne zaś wymagało pełnoletności zwyczajnej, to jest lat 24 i przysługiwało wszystkim wyborcom szlacheckim, posiadającym *jakaikolwiek* własność gruntową, oraz wszystkim wyborcom gminnym, opłacającym *jakikolwiek* podatek gruntowy, lub posiadającym pewne, nader skromne, ogólne, szacunkowe a nie podatkowe, kwalifikacye majątkowe, czy też wreszcie zawodowe, a bodaj jedynie umysłowe. Różnica była jasna i oczywiście zgola na Korzyść Królestwa. Ale najdobitniej tę różnicę uzmysłowią cyfry ostateczne. We Francji restauracyjnej, na



mocy Karty 1814 roku, znalazło się ogółem około 80 tysięcy uprawnionych wyborców. W Królestwie Polskiem, na mocy Karty 1815 roku ilość uprawnionych wyborców wynosiła już w 1820 roku około 100 tysięcy. Francya ówczesna pod względem zaludnienia przeszło siedm razy przewyższała Królestwo. Zatem, jak łatwo wyliczyć,—przyczem należało-by nadto uwzględnić odpadających żydów,—Królestwo, w porównaniu z Francją, wykonywało wtedy dziewięć do dziesięciu razy rozleglejszą funkcję przedstawicielską. Koniec końcem, jak się okazuje, pod względem ustawodawczej reprezentacji narodowej, Królestwo Polskie zajmowało najpierwsze miejsce w Europie kongresowej.

Podpisanie Karty konstytucyjnej było pierwszym wielkim aktem publicznym Aleksandra I w Warszawie. Wtedy też jego po raz pierwszy ujrzała stolica Królestwa. Wjazd uroczysty Aleksandra do Warszawy w połowie listopada 1815 roku był niezawodnie znamiennym momentem dziejowym. Przed stu laty w zamku królewskim nad Wisłą był zjawił się Piotr Wielki w gościnie u Augusta II. Teraz Aleksander I, prawy monarcha Królestwa Polskiego, do własnego królewskiego przybywał domu. Opuszczając miasto, pozostawił zakład drogocenny pod postacią nadanej Ustawy.

Wiosną 1818 roku monarcha zjechał do Warszawy dla otwarcia pierwszego sejmku Królestwa. Zagajenie sejmku z wielką odbyło się wystawnością. Zgromadzone w wielkiej sali senatorskiej obiedwie izby, galerye świetną natłoczone publicznością, dokoła i na stopniach tronu stanęli Wielcy Książęta, rząd krajowy, towarzyszący monarsze ministrowie cesarscy, generalicya polska i rossyjska. Aleksander, podniósłszy się na tronie, odczytał piękną i dziwnie obiecującą mowę tronową. „Spełniają się—mówił głosem dobitnym, wzruszonym, a jednak obmyślanym w każdym akcencie, — spełniają się Wasze nadzieje i moje życzenia... Podaliście mi sposobność okazania mojej ojczyźnie tego, co dla niej oddawna gotuję, i co otrzyma, skoro zarody tak ważnego dzieła będą mogły osiągnąć potrzebne rozwinięcie... Wzniescie się do wysokości waszego zadania. Wezwani jesteście dać znakomity przykład Europie, wzrok swój na was kierującej... Skutki prac waszych nauczą mnie, czy, wierny swoim przedsięwzięciom, będę mógł dalej rozszerzać to, co już dla was uczyniłem“.

Słowa monarsze wywarły potężne wrażenie na obecnych, a odbiły się dalekiem echem po mieście, kraju, państwie i Europie. Zawierały one dużo zapowiedzi najpierwszej wagi: w stosunku do Królestwa i w stosunku do Cesarstwa. Lecz te słowa doniosłe wywarły wrażenie całkiem odmienne na słuchaczach polskich a rossyjskich. Jeszcze przy redagowaniu pierwotnego tekstu mowy tronowej w Petersburgu,

możno oponował się Capodistrios. Potem, przed jej wygłoszeniem w Warszawie, oponował się Wielki Książę Konstanty. Teraz, kiedy została wyrzeczona, nader zajmujące wywoływała sądy. Generał Michajłowski - Danilewski zauważył pocichu: „Piotr Wielki nie mówił nam, żeśmy dżicy, ale nas reformował“. Generał Jermołow głośno prorokował: „Skończy się na zapowiedziach“. Lecz najciekawsza rozmowa toczyła się półgłosem na uboczu, o kilka kroków od tronowego wzniesienia. Stał tam młody jeszcze, dosługujący się dopiero karyery, generał porucznik rosyjski, i z deferencyą, w której celował, pytał starego, zasłużonego generała Miłoradowicza: „Jakże raczysz mniemać, Ekscellencyo, cóż właściwie z tego będzie?“. A Miłoradowicz opryskliwie: „To będzie, że za lat dziesięć będziesz ich brał szturmem ze swoją dywizyą“. Ciekawy generał porucznik nazywał się Iwan Fieodorowicz Paskiewicz.

Obrady i uchwały prawodawcze wzięły obrót poważny i pomysłny. Przyjęto pożyteczne prawo o rozgraniczeniu normalnem dóbr nieruchomości, sposobem skróconej procedury, przy zwolnieniu od opłat rządowych, w przepisany terminie prekluzyjnym, — środek w szczególności ważny dla ubezpieczenia szarpanych dóbr narodowych, a niezbędny również dla należytego ustatkowania ogólnych porządków hipotecznych. Równocześnie też, w rzeczy samej, wzięto pod rozwagę ten ostatni przedmiot arcyważny, a nader pilny i na czasie, ze względu na upływający właśnie dziesięcioletni termin działania obowiązującego Kodeksu, a stąd kłopotliwej kodeksowej odnowy hipotecznej: gruntownie i roztropnie załatwiono tę doniosłą materię w najpowszechniejszym zakresie, przez nowe znakomite prawo o ustaleniu dóbr nieruchomości, przywilejach i hipotekach, szczęśliwe połączenie ściślej logiki pojęć prawnych staropolskich a wypróbowanej praktyki pruskiej, przywracając zasadzie jawności hipotecznej ten przynależny szacunek bezwzględny, jaki była osłabiła procedura francuska, a tem samem stanowiąc niewzruszoną powagę hipoteki krajowej. Przyjęto z konieczności, lecz z chwalebny uniarkowaniem i uczciwą niechęcią dla tego chorobliwego środka, prawo o odroczeniu moratorium na dalsze dwa lata; a zarazem stwierdzono procent prawny oraz ściętno arbitralność sądów w udzielaniu zwłoki dłużnikom na niekorzyść wierzyciela: wbrew kuszącym pobudkom własnego interesu prawodawców, — skoro większości sejmujących, jeszcze z czasów pruskich, albo wojennych, pod ciężkimi ugięta się długami, — a w imię zdrowego instynktu prawnego. Zajęto się ujednostajnieniem prawodawstwa karnego; rzecz potrzebna, skoro, skutkiem nieprzyjęcia na sejmie warszawskim francuskiego, słusznie zresztą niesympatycznego, kodeksu karnego, obowiązują-

wały w kraju i nadal dwa różne systematy karne: austriacki i pruski; przyjęto też nowy ogólny krajowy kodeks kar, niedoskonały zapewne z wielu względów, opracowany przez Ksawerego Potockiego, austriackiego prawnika, wzorowany na przestarzałym systemacie austriackim, często do zbytku surowy, naprzykład sposobem austriackim i pruskim wprowadzający karę chłosty, nieznaną kodeksowi francuskiemu, — ale zwięzły w swoich kilkuset artykułach, niejednokroć nawet reformatorski, i napewno lepszy od swojej opinii. Odrzucono wreszcie jedyny projekt nowego prawa o małżeństwie, który, połowiczny w założeniu, żadnej strony nie zadowolnił, ani zwolenników pojęć małżeńskich Napoleońskich, ani duchowieństwa. Po czterotygodniowych wyteżonych pracach sejm został zamknięty życziwą i wdzięczną mową tronową. Pochwalał cesarz Aleksander obfitą i owocną sejmujących działalność, pochwalał w równej mierze niezawisłość sądu, z jaką odrzucili przeciwny ich przekonaniu projekt rządowy o prawie małżeńskim: „Wolno obrani, — rzekł, — winniście byli wolno się naradzać“. W serdecznych i obiecujących wyrazach zapowiadał rychły swój powrót. „Obstawam — kończył — przy spełnieniu moich zamiarów. Są one wam znajome“.

Drugi sejm Królestwa odbył się jesienią 1820 roku. Inny już był nastrój kraju. Rozmaite dotkliwe przeprawy, doświadczone zwłaszcza ze strony W. Ks. Konstantego, świeże zaś postanowienia rządowe, w poprzednim 1819 roku, o cenzurze na czasopisma i książki, wydane bez sejmu, więc bez uwagi na konstytucję, głęboki wywołały niepokój. Inny też był nastrój monarchy, wstrząsnionego już przez ów przełom stanowczy, który wówczas-to, jak zaznaczono, dokonywał się w najgłębszych tajnikach jego duszy, pod wpływem czynników najrozmaitszych, pod wpływem wypadków europejskich, a zwłaszcza pod wpływem ponurych odkryć o rozległym knowaniu spiskowym w Rosyi. Inny też, wstrzemięźliwy i raczej ostrzegawczy był nastrój mowy tronowej. Ostrzegał Aleksander sejmujących „przed złym duchem, co się nad Europą unosi“. Jednak jeszcze nie wyrzekał się wspaniałych zamierzeń. „Jeszcze kilka kroków — wyrzekł, — a staniecie u celu moich i waszych nadziei.“

Mniej pomyślny tym razem był przebieg prac sejmowych. Przyjęte dwie tylko nowelle prawodawcze: dodatkowy przepis moratorium, przyczem w rozprawach stwierdzono nieodzowność stworzenia wielkiej krajowej instytucji kredytowej; oraz przepisy proceduralne o wywłaszczaniu na użytek publiczny. Przepadły natomiast ogromną większością głosów projekty rządowe: kodeks procedury karnej, odrzucony najśluszniej, bo lichy; oraz nowy statut organiczny dla senatu, odrzucony mniej zasadnie, gdyż, pomimo pewnych usterek, na ogół

rozsądny i potrzebny. W obszernych uwagach komisji sejmowej nad raportem Rady Stanu, wytknięte krytycznie rozliczne niewłaściwości w gospodarstwie rządowym, w szczególności uwydatnione oplakane położenie finansów krajowych. W znacznej, zbyt może znacznej, liczbie dziewiędziesięciu petycji sejmowych, obok dezyderatów praktycznych, wygłaszane także niektóre *gravamina* zasadnicze z powodu niejednokrotnego odchylania się rządu od brzmienia i ducha poręek ustawodawczych. Jednakowoż i w samych rozprawach poselskich, i w uwagach komisyjnych, i w petycyach sejmowych, przeważał w ogromnej większości, zarówno pod względem formy, jak treści, duch trzeźwy, rzeczowy i umiarkowany. Wszakże w tronowej mowie zamknięcia nie znalazło się już wyrazów aprobaty. Owszem, wydało się sposobnością wcale poręczną, aby wywołać uczucie przy czynowego związku pomiędzy mniej zadawalającym wynikiem prac sejmowych, a przesądzoną już w głębi sprawą powszechniejszą. „Zapytajcie się sumienia waszego—takiego niespodziewanego napomnienia wysłuchał sejm zasmucony,—czy w ciągu obrad waszych położyliście dla Polski wszystkie te usługi, jakich od waszej oczekiwała mądrości; czy też przeciwnie, poświęcając nadzieję, którą przezorna ufność była-by ziściła, nie opóźniliście w jego postępkach dzieła przywrócenia ojczyzny waszej? Ta ciężka odpowiedzialność na was spadać będzie.“ Dysproporcya pomiędzy skutkiem a rzekomą przyczyną, aż nazbyt widoczna. Lecz jakakolwiek przyczyna—skutek jawnie stwierdzony.

W zarządzie wewnętrznym kraju tymczasem dwie doniosłe dokonały się zmiany. Zmienili się kierownicy dwóch ważnych wydziałów: skarbu, oraz oświaty i wyznań. Na czele skarbu stanął Lubecki. Wybór zbawienny: gdyż to był człowiek jedyny, który mógł uratować i uratował istotnie skarbowość krajową, schorowaną ciężko, prawie śmiertelnie, i który zresztą w najszerszym, w najogólniejszym zakresie administracyjnym i politycznym mógł oddać, i istotnie oddał, nieposłednie usługi krajowi. Druga zmiana była innego rodzaju. Była skroś ujemna, nie z korzyścią, lecz ze stratą dla kraju. Na czele Komisji oświecenia i wyznań religijnych, na miejscu Stanisława Potockiego, postawiony Grabowski. Nie był Potocki napewno najlepszym ministrem oświaty i wyznań, z niejednego względu nawet zgoła nie był dobrym. Ale Grabowski był najgorszym. Nie była to zresztą tylko zmiana osób. Była zmiana systemu. Był oplakany skutek obustronnych ciężkich błędów w tej tak żywotnej, a tak trudnej dziedzinie kościelno-politycznej. Poszedł nasamprzód w skrajnym, jednostronnym kierunku Potocki. Na mocy dekretu królewskiego z 1817 roku o organizacji Komisji wyznań, przyswoił swemu wydziałowi zby-

teczną i niezawodnie zbyt daleko sięgającą kompetencję nadzorczą i reglementacyjną w rzeczach czysto wyznaniowych. Wychodząc z założeń, napozór liberalnych, dotarł do skrajnych wyników wojującego biurokratyzmu, zawsze niepożądanego, a niepożądanego podwójnie wobec szczególniejszej sytuacji kościelno-politycznej katolickiego Królestwa Polskiego. W takim razie rokowania posła rosyjskiego w Rzymie, ks. Italińskiego, z kardynałem sekretarzem Consalvim, doprowadziły w styczniu 1818 roku do podpisania umowy konkordatowej. Utworzone przez bullę *Miltans Ecclesia* w marcu tegoż roku arcybiskupstwo warszawskie, z Franciszkiem Malczewskim, jako pierwszym arcybiskupem; obdarzone przez breve *Romani pontificis*, z października tegoż roku, godnością i purpurą prymacyalną, *primatis Rgni Poloniae*; zbudowana w *Ex imposita nobis*, z czerwca tegoż roku, zupełna, w ośmiu biskupstwach, budowa dyecezyalna Królestwa. Wobec nowych, uporządkowanych ogólnych stosunków kościelnych tembardziej było niezbędnym wewnętrznym pokojowym porozumieniem pomiędzy polskim rządem a polskim duchowieństwem. Z żadnej strony nie umiano w należytym stopniu przejąć się tą potrzebą. Z jednej strony dotychczas Potocki chodził do Aleksandra po broń przeciw „klerykalizmowi“; teraz biskupi poszli do Aleksandra po broń przeciw „niedowiarstwu“. Złożono Aleksandrowi skargę osobistą na Potockiego; złożono oraz piętnaście punktów petycyjnych od duchowieństwa. Tak wysunął się Grabowski; tak też, w sierpniu 1821 roku, na miejscu dekretu 1817 roku powstał nowy statut organiczny dla Komisji oświaty i wyznań. Utworzona oddzielna sekcya rzymsko-katolicka, instytucya niewątpliwie pożądana, lecz bynajmniej nie wszędzie odtąd w pożądanym kierowana duchem; utworzona oddzielna dyrekcya wychowania publicznego, i w ręku dyrektora generalnego i naczelnego cenzora, Kalasantego Szaniawskiego, uczyniona narzędziem systematycznego ociemniania. Takim sposobem, błąd, z jednej strony poczęty, wyrodził, w drodze koniecznej reakcyi, równoległy błąd ze strony przeciwnej; obadwa błędy jednakowo wyrosły z niedość pełnej pamięci o najwyższym kryterium narodowego interesu; tem żałośniejsze obadwa błędy, że przecie jednakowo w najlepszej zgodzone wierze. Gdyż jakże wątpić o dobrej wierze Stanisława Potockiego?

Coraz chmurniejsze stawały się tymczasem ostatnie lata Aleksandra. Coraz chmurniejsza jego dusza osamotniona i stargana. Wielki czarodziej nie czuł się już na siłach wypuścić do lotu rozpętanego przez siebie duchów. A już nie było w jego mocy powściągnąć ich z powrotem, obezwładnić, uciszyć. Tak stało się, jak okazano, na szerokim terenie europejskim. Już tam wrzała walka grecka. W Ros-

syi, pierwotny prąd liberalny i humanitarny, przekształcony niebawem w najsłabszą i najgwałtowniejszą dążność spiskową, coraz szersze zataczał kręgi wśród przodujących żywiołów w społeczeństwie i zwłaszcza w armii. Kiedy w tym czasie naczelnik sztabu gwardyi, wierny ks. Wasilczykow, przypadkiem powiadomiony o istniejących knowaniach, w najwyższym przerażeniu, drżącym głosem, doniósł o swoim straszliwym odkryciu cesarzowi, — Aleksander, wysłuchawszy spokojnie tych rzeczy, o których sam wcześniej był już otrzymał najdokładniejszą wiadomość, zmroził gorliwość oddanego sługi temi słowy, wyrzeczonymi z bolesną wyrozumiałością: „*Mon cher Vasilitchukoff, ce n'est pas à moi à sévir*“<sup>1)</sup>. Istniały w Królestwie Polskiem związki tajne, jakkolwiek i z genezy swojej, i z charakteru, nie mające nic absolutnie wspólnego z nieubłaganą robotą dekabrystów. Początek dały tu polskie związki wolnomularskie, wiadome i tolerowane w swoim istnieniu, składzie i dążnościach. Po roku 1815 „wolnomularstwo narodowe“ stanęło mianowicie pod hasłem zjednoczenia kraju pod berłem Aleksandra, w granicach pierwotnej, obszerniejszej myśli cesarskiej, powstrzymywanej przez Kongres wiedeński i okoliczności. We wszystkich łóżach Wielkiego Wschodu polskiego znajdować się musiało obowiązkowo popiersie Aleksandra. Po przyłączeniu łóż poznańskich, zaczęto od tego, że potłuczono popiersia Fryderyka-Wilhelma, a wystawiono Aleksandra. Istotnie te dążenia w pierwszym rządzie kierowały się przeciw Prusom i Austrii. Wielkim mistrzem był Walery Łukasiński, który zmarł przed trzydziestu trzema laty, w 1868 r. i sekret swój dobrze strzeżony zabrał z sobą do grobu. Ale w takim stadyum rzecz związkową utrzymać było niezmiernie trudnem, było niepodobieństwem. Tak wyłoniło się Towarzystwo Patriotyczne, ciągle jednak jeszcze przez Łukasińskiego trzymane w duchu monarchicznym, przy Aleksandrze. Stało się, co się stać musiało. Gorliwość, tym razem nie ostrzeżona, odkryła istnienie związku. Złagodził Aleksander wyrok na Łukasińskiego i towarzyszków, zabezpieczając jego osobę; wydał oraz amnestyę ogólną dla wszystkich członków związku. Odbiła się przecie cała sprawa dalekiem echem, aż na uniwersytecie wileńskim; wytoczone śledztwo młodzieży filareckiej; usunął się z kuratorstwa ks. Czartoryski, zastąpiony przez Nowosilcowa. Zajątrzyło się położenie powszechne. Zaciemniał się widnokrąg krajowy.

---

<sup>1)</sup> General Szylder „Cesarz Aleksander I“, T. IV, według własnoręcznej zapiski Wasilczykowa.

Wśród takich warunków zjechał Aleksander, wiosną 1825 roku, na trzeci sejm do Warszawy. Wyprzedził jego przybycie doniosły i dotkliwy akt ustawodawczy. W lutym tegoż roku, równocześnie z uniwersalem o zwołaniu sejmu, wydany został Artykuł dodatkowy, znoszący zupełnie jawność sejmowania, z wyjątkiem tylko dwóch formalnych posiedzeń: zagajenia i zamknięcia. Równało się to, w pewnej mierze, zawieszeniu Karty konstytucyjnej. W mowie tronowej otwarcia tak znaczna nowość zlekka tylko została dotkniętą. „W chęci utwierdzenia dzieła mego, — mówił Aleksander, — zapewnienia jego trwałości i zaręczenia wam spokojnego onegoż używania, dodałem jeden artykuł do kardynalnego prawa Królestwa“. Zresztą, unikając starannie wszelkich tematów ogólniejszych, kładł głównie nacisk na wyraźną poprawę materyalnego bytu kraju, na dokonane tak szybko, od czasu ubiegłego sejmu, postępy pod względem gospodarczym, a zwłaszcza skarbowym; wyprowadzał stąd obowiązek zupełnego zaufania dla troskliwości rządu, i zalecał też ufne roztrząsanie prawodawczych projektów rządowych. Sejm istotnie poszedł za tą wskazówką. Odłożył świadomie na bok wszelkie rekryminacye. Wyrzekł się zamierzonego pierwotnie zastrzeżenia przeciw Artykułowi dodatkowemu, a nawet ułożonego już adresu do tronu z prośbą o zniesienie tego artykułu. Przyjął natomiast wszystkie, bez żadnego wyjątku, projekty rządowe. Tak uchwalone zostały znaczną większością w obu izbach: nowa księga pierwsza kodeksu cywilnego, opierająca prawo o osobach na kompromisie kodeksowych pojęć cywilnych a religijnych pojęć krajowych; stosowne przepisy przechodnie dla tego nowego prawa osobowego; nowela do kodeksowego przepisu o umowie czynszowej, zmierzająca do utwierdzenia tego stosunku prawnego i pomnożenia stanu czynszowników w kraju; wyjaśniająca nowela hipoteczna o uprzywilejowanym i osobistym wierzycielu; poszczególne dopełnienia niektórych sankcyi kodeksu karnego; wreszcie ustawa Towarzystwa Kredytowego ziemskiego. Sejm, mając sobie wrazone ostatnie niespodziane słowa monarsze o „ciężkiej swojej odpowiedzialności“, postawił sobie za punkt honoru usunąć podstawę wszelkim w tym względzie upozorowaniom, i dać pełny i dobitny dowód ufności dla korony. Nie mógł nie uznać tego w mowie zamknięcia Aleksander. „Zgromadzenie wasze — mówił — przyniosło skutki, których wam dość powinszować nie potrafię.. Spełniliście oczekiwania ojczyzny waszej i usprawiedliwiliście moje zaufanie... Upagnieniem mojem będzie, żebym was przekonał,... jaki wpływ postępowanie wasze mieć będzie na waszą przyszłość“. Jakiegokolwiek jednak było to pragnienie monarchy, już nie miało się ono urzeczywistnić. Po raz ostatni żegnał Aleksander sejm, Warszawę i Królestwo. Wyjeżdżał,

aby więcej nie powrócić. Wyjeżdżał do Taganrogu, gdzie jeszcze przed końcem tego roku czekała go śmierć przedwczesna.

Objęcie rządów przez Mikołaja I nastąpiło wśród warunków nadzwyczajnych, i wprost bezprzykładnych. Widywano już na świecie dosyć sporów o pochwycenie dla siebie korony. Nie widziano jeszcze dotychczas sporu o odsunięcie od siebie korony. Przez trzy prawie tygodnie grudniowe 1825 roku było dwóch monarchów, a nie było żadnego. Wybuch petersburski rozwiązał to jedyne w dziejach dwukrólowie. Ale pociągnęło ono za sobą długi szereg najdrażliwszych i najniebezpieczniejszych komplikacji. Wytworzył się wyjątkowy stosunek pomiędzy Konstantym Pawłowiczem, a młodszym bratem a monarchą; odmienił się też równocześnie stosunek Wielkiego Księcia względem Królestwa Polskiego. Nieodwołalnie już teraz przestał istnieć Cesarzewicz, następca tronu wszechrosyjskiego. Stąd też, z jednej strony, tem ściślej mógł on odtąd czuć się zsolidaryzowanym z krajem, gdzie naczelna została mu rola; z drugiej strony natomiast, tem bardziej musiał oglądać się na swoją odpowiedzialność wobec Petersburga. To stanowisko obosieczne natychmiast wystawione zostało na najcięższą próbę. Sprawa dekabrystów wykryła pewną ich styczność z Towarzystwem Patryotycznym warszawkiem. Styczność była najbłahsza. Jest rzeczą matematycznie pewną, że, po pierwsze, inicjatywa zbliżenia się wyszła ze strony rossyjskiej, i że, po wtóre, ze strony polskiej nie wdano się w żadne pozytywne zobowiązania. Na kontraktach kijowskich 1824 roku podpułkownik Krzyżanowski odszukany został przez Bestużewa - Riumina i Murawiewa - Apostoła. Krzyżanowski zachowywał się całkiem biernie, z uderzającą dojrzałością i rozważą. Żądano od niego akcesu do wspólnego spiskowego działania, oraz dopytywano się szczegółów o związkach polskich. Odpowiedział, że żadnego od nikogo nie posiada upoważnienia, i że nie jest ciekaw szczegółów o związku rossyjskim. Pytano o myśli polskie względem kształtu rządu i wystawiono jako cel konieczny tezę republikańską. Odpowiedział oświadczeniem, że wedle jego przekonania interes polski polega jedynie na rządzie monarchicznym. Otworzono przed nim gwałtowne i krwawe zamiary, i żądano, w razie potrzeby, nałożenia ręki na W. Księcia Konstantego. Odpowiedział, że „nigdy Polak nie zmasał ręki krwią monarchów swoich“. Kiedy natomiast poruszoną została sprawa terytoryalna, zauważył Bestużew, że „przedmiot ten później mógł-by być ułożonym, gdyż zdania związku rossyjskiego są w tej mierze podzielone, i znajduje się nawet strona, która przy całości obecnych granic państwa obstaje“ <sup>1)</sup>. Zeznania

---

<sup>1)</sup> Zeznanie Sergieja Murawiewa-Apostoła; zeznanie Aleksieja Betużewa-Riumina; raport ministra wojny Tatiszczewa do W. Księcia Konstantego,



uwięzionych w Petersburgu dekabrystów sprowadziły aresztowanie w Warszawie Krzyżanowskiego i towarzyszków. Rozpoczęła się długa, paroletnia sprawa o zbrodnię stanu. W. Książę Konstanty, pełną surowość zewnątrznie objawiając w Warszawie, równocześnie ze szlachetną śmiałością stawał w obronie oskarżonych i kraju w poufnych pismach do cesarza Mikołaja <sup>1)</sup>. Nareszcie Sąd sejmowy, po dziesięciomiesięcznych naradach, prawie jednogłośnie wydał wyrok, karzący umiarkowanym sposobem głównych oskarżonych, uniewinniający innych. Wyrok został zawieszony przez Mikołaja, poddany opinii Rady Administracyjnej, obroniony przez potężną wymowę Lubeckiego, wreszcie zatwierdzony przez monarchę.

Rok 1828, rok Sądu sejmowego, który tyle mocnych wzruszeń przyniósł Królestwu, był oraz rokiem pierwszej Mikołajewskiej kampanii tureckiej, która dosyć niebezpiecznych niespodzianek przyniosła Rossyi. Mikołaj I, z dużą wytrawnością sądu, podwójnie godną uwagi, jeśli uwzględnić jego wiek i charakter, odrazu jasno zrozumiał, jak dalece w takiej chwili zależało na przywróceniu zupełnej równowagi duchowej w Królestwie Polskiem. Wszak była to chwila, kiedy trudności oręża rosyjskiego przed Szumłą ścigały gorączkową uwagę mocarstw zachodnich, kiedy największe powikłania europejskie wisiały w powietrzu, kiedy w szczególności dyplomacya austriacka na wszystkie strony ruchliwą rozwijała działalność, i kiedy nawet Jego Ekscelencya c. k. gubernator galicyjsko - lodomeryjski, ks. Lobkowitz, przy uroczystem otwarciu Muzeum imienia Ossolińskich, przypomniawszy sobie swój indygenat, ukazał się zdumionym oczom mieszkańców Lwowa w autentycznym polskim kontuszu. Mikołaj I na te wszystkie rzeczy pilne miał baczenie. Zamyślał on pierwotnie zużytkować armię polską na półwyspie bałkańskim, lecz ta myśl, niezawodnie najskuteczniejsza, rozbiła się o stanowczy opór

---

22 lutego 1826 roku. Ograniczamy się na razie do powołania tych świadectw; a dodajemy, że urzędowe dokumenty śledcze, rękopiśmienne, które w komplecie zbadać mieliśmy sposobność, w pełnej swojej zawartości najzgodniej potwierdzają powyższe przedstawienie rzeczy.

<sup>1)</sup> W. Książę Konstanty do Mikołaja I, 19 stycznia 1826 roku, 11 kwietnia, 2, 12 grudnia 1827 roku: „l'idée de feu l'Empereur était d'en faire ses Hongrois, et j'aime à me persuader qu' ils sauront justifier cette attente... Quant à l'assassinat même et que les Russes provoquaient il est prouvé... que les Polonais s'y sont constamment refusés et n'ont pas seulement voulu en entendre parler, mettant en avant qu' aucun régicide n'a entaché la nation polonaise“, Russ. Star., luty, marzec, 1900.

Wielkiego Księcia Konstantego. Nie omieszkał atoli Mikołaj, z trafną i przezorną mądrością, zdaleka zasyłać Królestwu ponawiane dowody troskliwości i łaski monarszej. Nie ograniczył się tedy zatwierdzeniem wyroku sądu wojennego. Po wzięciu Warny, pamiętny, iż tutaj „przed czterystu laty król Władysław, jeden z poprzedników Jego, poległ w chwalebnej walce“, dwanaście zdobytych dział tureckich posłał w podarunku do Warszawy. Wtedy też u Kapucynów warszawskich swoim sumptem polecił wystawić kaplicę dla przechowania serca króla Jana, pogromcy niewiernych. Po zawarciu pokoju adryanopolskiego, część zabranych chorągwi i buńczuków tureckich rozkazał złożyć w katedrze Świętojańskiej. Wreszcie, w ścisłym wykonaniu ustawodawczego przepisu zapowiedział przybycie swoje do Warszawy dla dopełnienia aktu Świętej Koronacyi. W rzeczy samej przybył do Warszawy w połowie maja 1829 roku, w towarzystwie małżonki i jedenastoletniego syna, Wielkiego Księcia następcy tronu, Aleksandra Mikołajewicza. Koronacya odbyła się z największą wystawnością i zachowaniem wszelkich form ustawodawczych. Akt ten nietylko wobec kraju, lecz oraz, a nawet zwłaszcza, wobec Europy, posiadał doniosłość wyjątkową.

Już na wiosnę następnego roku zjechał monarcha powtórnie do Warszawy dla zagajenia czwartego i ostatniego sejmku Królestwa. W mowie tronowej odezwał się o minionej wojnie, w której nie było mu danem użyć wojska polskiego; wszakże, — dodał znacząco ku Europie skierowanym zwrotem, — „zaufanie moje wskazało mu nie mniej ważne przeznaczenie: tworzyło ono straż przednią armii mojej, czuwającą nad bezpieczeństwem Cesarstwa“. Wskazał ważny dopełniony akt koronacyjny. Sąd sejmowy pominął milczeniem. O przyszłości, o której tyle bywało napomknień w przemówieniach Aleksandra, jednego nie stracił słowa. Wreszcie, zwyczajnym sposobem, zalecił uwadze sejmujących wnioski prawodawcze rządu.

Działalność prawodawcza sejmku była jednak tem samem mniej obfita. Przyjęto drobne nowele o porządku hipotecznym, o służebnościach pastwisk i wrębu, o domach poprawy dla włóczęgów i żebraków, uchwalono jednomyślnie podatek narodowy na wystawienie Aleksandrowi I, Odnowicielowi Królestwa, pomnika na placu publicznym w Warszawie. Odrzucono natomiast znaczną większością projekt rządowy do prawa o małżeństwie. W uwagach Komisji sejmowych poddano surowej krytyce działanie rządu nietylko w interesie administracyjnym, lecz oraz prawnopaiństwowym. Umieszczono pośród petycji prośbę o zniesienie Artykułu dodatkowego, o ulaskawienie Łukasieńskiego i tym podobne drażliwe materye. Zwięzła mowa tronowa pożegnalna dała uczuć istniejący rozdźwięk, we wstrzemięzli-

wej zresztą, raczej negatywnej, wyrażony formie. Winszował monarcha sejmowi pięknej uchwały o pomniku dla Aleksandra. „Senat, to pierwsze ciało państwa,—mówił dalej,— usprawiedliwił w zupełności całe moje zaufanie“. O izbie poselskiej milczał. Nazajutrz opuścił Warszawę.

Naprężenie w kraju szerzyło się i rosło gwałtownie. Wiadomość o rewolucyi paryskiej doprowadziła je niebawem do najwyższego napięcia. Odtąd pierwsza iskra musiała spowodować wybuch. Odkrycie zleceń monarszych do Lubeckiego o postanowionej wojnie francuskiej, o postanowionym wymarszu armii polskiej, stała się tą iskrawą. Wypadki następowały po sobie z błyskawiczną szybkością. 29 czerwca 1830 roku Mikołaj I był wyjechał z Warszawy. 29 lipca Karol X został detronizowany w Paryżu. 29 listopada wybuchła rewolucya w Warszawie. Zaczęło się straszne, nierówne zmaganie się wojenne polsko-rossyjskie. Zdruzgotane w niem doszczętnie Królestwo Kongresowe. Pogrzebana ostatecznie era kongresowa. Nowy ustrój publiczny, wśród nowych warunków, wkraczał do nowej doby dziejowej.

SZYMON ASKENAZY.

---

# SPRAWA DOŁĘGI.<sup>1)</sup>

## XXXIV.

Już w końcu sierpnia ziemianie zaczęli ściągać do Warszawy liczniej w tym roku, niż zwykle, z powodu wystawy rolniczo-przemysłowej, która miała być otwarta we wrześniu. Hektor Zawiejski, mając zajęcie i stanowisko prawie we wszystkich oddziałach, siedział od miesiąca w mieście; w ostatnich dniach przyjechał tu i pan Norbert, dla różnych spraw publicznych i prywatnych.

Hektor patronował wystawie jako członek Sportu, chociaż miał i wiele innych do tego tytułów, należał bowiem do wielu stowarzyszeń i instytucyi. Sport dostarczał wystawie prezesów, sędziów, a także nieco pieniędzy; wykonaniem trudnili się inni. Szczególniej w najzaszczytniejszym oddziale — koni — zasiadało, a raczej zapisało

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt styczniowy, str. 68; — lutowy, str. 273; — marcowy, str. 445; — kwietniowy, str. 60; — majowy, str. 232.

swe nazwiska liczne grono członków Sportu w charakterze dyrektorów, lub biegłych: byli tam Kostkowie, Koryatowiczowie, Gnińscy.

Kerstena uczyniono głównym sędzią psów, gdyż znał się niepospolicie na ich cnotach i odmianach, a mawiał często, że najlepszych w życiu przyjaciół znalazł między psami. Wierzono mu i oddano dział pod absolutną władzę. Aby uprzedzić żarty, mawiał teraz Kersten:

— Otom się doczekał nareszcie zaszczytu w służbie publicznej — jestem prezesem od psów.

Zgodził się jednak być nim, bo wiele osób z najlepszych rodzin bywało już za granicą sędziami psiego wydziału.

Szydłowski nie przyjął proponowanych mu obowiązków przy dziale myśliwstwa, bo nie zgadzał się z zasady na żadne zajęcia, połączone z odpowiedzialnością, ceniąc przedewszystkiem swój wygodny spokój i niezależny uśmiech krytyczny. Tekę myśliwstwa wziął zatem Koryatowicz. Włosek objął wydział miłosiernych wyzysków, czyli różnych sprzedaży programów przez panie, zabaw, urządzanych na pokrycie kosztów wystawy i na cele dobroczynne; dawało mu to powód do niezliczonych kursów między salonami a polem wystawy.

Na tem właśnie polu, w gotowym już lokalu administracji ogólnej dyżurował dzisiaj Hektor Zawiejski, siedząc przy stole głównym, pośród kilkunastu innych stołów, nad którymi pochylało się wielu urzędników podrzędnych. Relacye, zapytania urzędników zdążyły ciągle do niego, było bowiem wiele kwestyi do rozstrzygnięcia. Stół Zawiejskiego był zarzucony papierami, młody zaś „prezes“, jak go tam tytułowano, radził sobie niezłe w tym nawa'le spraw, z którymi bardzo tylko lekko był obznajomiony. Znał głównie plan wystawy i osoby, które urządzały składowe jej części. Szybkim rzutem oka zdawał sobie sprawę z przedstawianych mu papierów, szybkim ołówkiem notował, krótkimi słowy odsyłał do właściwych dykasteryi — i wyglądał wspaniale, niby główny motor skomplikowanej maszyny. Palił ciągle papierosy, aby zagłuszyć mdły zapach farby, panujący w świeżo malowanej budzie.

Pracował tak od godziny, gdy do stołu jego zbliżył się Arnold Helle, który dla braku czasu nie brał udziału w urządzaniu, ale miał na wystawie swoje okazy niemal w każdym dziale.

— Panie Zawiejski! — rzekł Helle głośno i bez wstępów — jeżeli mi mają zasłonić mój pawilon machin od głównej ulicy, to cofam go zaraz.

— Ależ panie prezesie, — odparł Hektor układnie, przysuwając Hellemu krzesło, — nikt mi o tem nie mówił... zaraz zobaczymy na planie.

Helle zbliżył się do planu, rozpiętego przy biurku, objął go szybko oczyma, a twarz poczęła mu drgać i kuczyć się, niby dokładny instrument techniczny, którym odrysowywał kierunki linii. Wkrótce znalazł punkt żądany.

— O, patrz pan: litera C5, najlepszy z pawilonów żelaznych, cały z moich warsztatów i pełen ciekawych modeli. Powinien przecie stać na widoku. Przychodzę obejrzeć, jak go montują, a tu widzę rusztowanie innego pawilonu, który zakrywa mój do połowy. To niemożliwe.

— Panie prezesie... litera C2... 3... 4... C4, to pawilon księcia X. ze Szląska. Obiecaliśmy mu...

— A! skoro księcia, to ustępuję i swój zabieram. Nie wiedziałem, że i w przemyśle książęta są na to, aby porządnym firmom w drogę włożyć.

— Nigdy tego nie dopuścimy. Niech pan prezes pozwoli ze mną na plac.

Poszli na miejsce, gdzie wznoszono pawilony C5 i C4. Okazało się, że do pawilonu książęcego dostawiano odnogę, którą łatwo można było przestawić w stronę przeciwną. Zawiejski natychmiast zarządził tę zmianę z narażeniem się na skargę drugiego sąsiada, C3, który był mniej potężnym książętkiem żelaza.

— Dziękuję panu... do widzenia, — rzekł Helle, wstrząsając potężnie ręką Zawiejskiego.

— A czy pan prezes będzie dzisiaj na posiedzeniu naszym redakcyjnym? — przypomniał jeszcze Hektor. — O piątej, właśnie dość czasu przed obiadem.

— Nie będę. Załedwie kilka numerów... zobaczę, jak to poprowadzicie. Niech się pismo trochę rozwinie, a wtedy będę miał parę rzeczy do wskazania. I dzisiaj zresztą zastąpi mnie tam Krupkowski, z którym już mówiłem, a który potem zda mi relację wieczorem. Może i pan do nas zajdzie?

— Aa... tak... właśnie dzisiaj mam zaszczyt... to jest dostałem zaproszenie od pani prezesowej na obiad.

Helle zaśmiał się:

— Tak, tak, przepraszam; moja żona tem się zajmuje. Więc doskonale, będę miał przyjemność widzieć pana na obiedzie.

Zawiejski powrócił na chwilę tylko do zarządu wystawy, poczem pojechał dobrą dorożką na posiedzenie redakcyjne nowego pisma „Zgoda“, które sam poniekąd założył w przeszłym miesiącu, dostawszy koncesję w Petersburgu. Ponieważ pieniądze na prowadzenie pisma dał głównie Helle i obwarował się kontraktem, był też i rzeczywistym właścicielem tej gazety. Ale Hektor podpisywał się na

niej jako wydawca i jeszcze jeden laur dorzucił do wieńca swych obywatelskich czynów.

Lekka przysługa, oddana dzisiaj Hellemu, była Hektorowi bardzo po myśli, starał się bowiem, nie bez kozery, przekonać potężnego przemysłowca o swojej wartości. Okrążał go coraz ściślej i pochlebiał mu przy każdej okazji.

Dorożka mknęła przez złe brukowane ulice, turkocząc i rzucając Hektora; była mu jednak tryumfalnym wozem: czuł, że mu się wiedzie, że go cenią ci ludzie, o których on dba wzajemnie. Gdy wjechał w Aleję Ujazdowską, dobrobyt fizyczny spotęgował jeszcze zadowolenie sumienia. Dorożka toczyła się gładko, szybko, wśród pięknych drzew i willi; Hektor spotykał znajomych ze Sportu, z „miasta“, z różnych zakresów pracy i próżnowania; znajomi kłaniali mu się uprzejmie, czasem nawet nisko i skwapliwie. Jechał od jednej lekkiej pracy do drugiej; czuł się już mężem stanu, a jeszcze młodym i pełnym wdzięku; dzień był pogodny...

Na Nowym Świecie zatrzymał go ktoś ze Sportu, jadący własnym powozem, proponując obiad za miastem, z baletem.

— Nie mogę, jem obiad u Hellów.

— No, to się przejedź tymczasem ze mną w aleje. Zobaczysz, jak kłusuje ta para.

— Nie mogę, jadę z sesji wystawowej na sesję „Zgody“.

— A niech cię dyabli! Nigdy cię już złapać nie można.

To przekleństwo było najwonniejszem kadzidłem dla Hektora. Jechał dalej i czuł się znowu u szczytu powodzenia, w doskonałym rozkwicie swej karyery.

Po sesji redakcyjnej, na której nie trzeba było zabierać głosu, bo redaktor Krupkowski mówił za wszystkich, tłumaczył, co było i będzie,—Hektor wpadł do hotelu, zaczął się myć i ubierać na obiad. Teraz rycerz porzucał swą zbroję społeczną i nakładał lekki strój, bardziej stosowny do nowej roli podbójcy serc kobiecych. Pod koniec tych przygotowań wszedł do pokoju syna patryarchalny pan Norbert.

— Czekałem na ciebie, — rzekł, oprawiając swą postać barokowego apostoła w czerwone tło kanapy, na której się usadowił, — czekałem, bo trzeba się ostatecznie zastanowić nad tem, co czynimy.

— Zawsze stosować się będę do rozkazów papy.

Hektor poważał ojca rzeczywiście i rozmyślnie. Najprzód zależał od niego, bo dostawał mało pieniędzy w stosunku do wielkiego majątku pana Norberta; powtóre—znał ojca i wiedział, że nie dobrze jest sprzeciwiać mu się, owszem, trzeba go słuchać; wreszcie spostrzegł już dawno, że ojciec jest bardzo doświadczony, a dąży zupeł-

nie do tego samego, co on: do wywyższenia siebie i swej rodziny, której ulubionym przedstawicielem był syn jego, Hektor. Nie trudno było zatem Hektorowi czcić i kochać ojca, jak siebie samego.

Po krótkim namyśle odezwał się znowu Norbert:

— Czy na obiedzie nic nie zamyślasz przedsięwziąć?

— Wątpię, aby to było możliwe. Kroki wstępne poczynilem: pannie są chyba po mojej stronie. Hellego starałem się ująć wszelkiemi sposobami — i dzisiaj jeszcze.

Opowiedział przysługę, oddaną przy odsłonięciu pawilonu machin. Pan Norbert kiwał głową, pochwalając.

— Przygotowania dobre, — rzekł. — Teraz powiedz tylko, czy czujesz w sobie dostateczną odwagę, by ożenić się z panną Helle?

— Odwagę? — zapytał zdziwiony Hektor, — panna bardzo mi się podoba...

— Nie o to pytam. Przewiduję dalej i mam nadzieję, żeś i ty o tem pomyślał. Czy czujesz w sobie odwagę dostateczną, aby ożenić się z mieszczanką, dać jej nasze nazwisko, uczynić z niej matkę naszych przyszłych pokoleń? Idee szlacheckie nazywają dzisiaj przesadami, jednak wierzaj mi, że jest to najlepsza spuścizna moralna, którą po ojcach naszych dziedziczymy, i nie byle co warta.

Hektor patrzył chwilę na ojca, aby się przekonać, czy nie żartuje. Ale twarz pana Norberta była arcykapłańska; więc choć Hektor wiedział równie dobrze, jak jego ojciec, że szlachectwo Zawiejskich ograniczało się zaledwie do paru wstecz pokoleń, których różnicę od innych stanów trzeba było jeszcze mozolnie popierać dowodami, zrozumiał, że to nie żart, jeno wskazówka, z jakiego tonu traktować należy związek z Hellami. Skłonił głowę i odrzekł z przejęciem:

— Czuję tę odwagę, papo. Zdaje mi się też, że panna Marya zrozumie, do jakiej rodziny wstępuje i potrafi uszanować nasze tradycje.

— Daj Boże! — odrzekł Norbert, wznosząc oczy.

Nastąpiła chwila milczenia. Syn spoglądał na ojca i myślał, że wolał-by się dowiedzieć, ile dostanie pieniędzy w razie dojścia małżeństwa do skutku, niż mówić o fałszywych tradycjach Zawiejskich, które już zbadał do grantu, a zatem wiedział, że oprócz świeżych pieniędzy i cudzych hasel w tych tradycjach nic się nie mieściło.

Ale pan Norbert myślał już o czem innym:

— No, a gdyby... gdyby Helle grymasił?

— Wtedy mamy odwód, — rzekł śpiesznie Hektor.

— Mamy. Niechże cię Bóg prowadzi. Ruszaj, bo już czas.



## XXXV.

O tem, że się Andrzej Zbarazki oświadczył, dwa miesiące temu, o rękę Maryni — mało kto wiedział. Helle, gdy mu Dołęga przyniósł list młodego Zbarazkiego, wybuchnął krótkim gniewem. „Jakto?! oświadcza się z łaski swojej... starzy nas nie chcą?! To nas o łaskę prosić trzeba“ i t. d. Ponieważ Dołęga zniósł ten wybuch bardzo zimno i zdawał się potwierdzać domysł, że oświadczyni są tylko pozorne, Helle uspokoił się szybko, owszem, podziękował Janowi za pośrednictwo w tej delikatnej sprawie. Bez namysłu, po krótkiej rozmowie z żoną, której podyktował tylko własne zdanie, napisał do Andrzeja Zbarazkiego list suchy i stanowczo odmowny. Maryni nie powiedział nic o tej korespondencji, a bardzo wiele o Andrzeju, mianowicie, że to nietylko balamut, birbant i lekkoduch, ale że grozi mu choroba umysłowa: oświadczył się o pięć już panien w tym roku współcześnie, bez zastanowienia. Temi sposobami starał się ojciec wybić z głowy córki uroczą postać młodego księcia. Pani Hellowa delikatniej, jednak wyraźnie potępiała charakter i postępowanie Andrzeja. Marynia wierzyła na wół tylko, płakała po kątach i zapadła bardziej jeszcze w słodką melancholię, do której była zawsze skłonna. Helle dołożył ostatni list Andrzeja do poprzednich, pisanych do Maryni, całą paczkę opieczętował i schował, położywszy na niej napis: „Do spalenia po ślubie Maryni“.

W tej samej epoce Zawiejscy, ojciec i syn, doszli do przekonania, że Hektor powinien się ożenić: wiek męski rozpoczęty (minął już trzydziestkę), stanowisko dojrzewające, rosnąca wziętość u ludzi — wszystko przemawiało za wyszukaniem żony dla Hektora. Pan Norbert, zarówno jak syn jego, w marzeniach i ambicyach sięgali wysoko; to też kiedyś myśleli nawet o Halszce Zbarazkiej, potem o Zosi Kostkówniej; a skoro te pretensye okazały się po prostu śmiesznymi, bo o Halszkę ubiegali się najpierwsi, a Zosia wyszła za księcia Koryatowicza, — Zawiejscy mieli w odwodzie jedną z panien Gnińskich, nieładnych, ale pochodzących z wielkiego rodu, kuzynek zresztą Halszki i Zosi. Wtem błysła w głowie Hektora myśl! samoistna; postarać się o rękę Maryni Hellówniej! Był to wyskok ambicyi w innym kierunku. Związek ten nie pomnożył-by zaszczytnych kolligacyi, ale

milionowe dziedzictwo po Hellem opromieniło-by może jeszcze świetnej klejnot Zawiejskich. Przytem można się było kochać w pięknej Maryni, można będzie ovladnąć słodką i potulną Marynią... Jak dawniej Hektor odgadł raczej, niż wiedział, że Andrzej kręci się około Hellówniej, tak i teraz zwierzył, że Andrzej uciekł, albo dostał odkosza. Zawiejskiemu to nie przeszkadzało; owszem, wieść, że o tę pannę starał się książę Zbarazki, dodawała jej blasku w oczach nowego konkurenta.

Tym konkurentem był już, to jest krążył około Hellego, wynajdywał mnóstwo wspólnych spraw i koniecznych spotkań, aby upozorować częste bywanie w jego domu. Znany to był sposób i próbowany już przez innych: do salonu tego wchodziło się przez biura.

Panie Helle nie wyjechały tego lata z Warszawy, chociaż zwykły były przepędzać część lata i jesień za granicą. Gdy jednak Marynia zatrzymywała matkę ze względu na Andrzeja, który mógł i powinien był się oświadczyć, następnie, chociaż nadzieja córki osłabła a nadzieja rodziców stanowczo została zawiedziona, trudno było zaraz wyjeżdżać; nadchodziła wystawa, Helle miał w niej duży udział; postanowiono zatem wyjechać dopiero na późniejszy sezon do Ostendy. Przez całe więc lato salon pani Hellowej był otwarty. Hektor miał sposobność do częstego w nim bywania i to w porze roku, gdy zabiegi te łatwiej mogły pozostać tajemnicami dla jego znajomych, których przeważna część wyjechała z Warszawy. Pani odgadła wczesnie znaczenie uprzejmości i częstych odwiedzin młodego Zawiejskiego: wydawał się jej człowiekiem przyjemnym, słyszała o nim same pochwały, a przytem czuła bezwiedny, nieprzyznany nawet przed samą sobą pociąg do członków Sportu, do tych ludzi, opromienionych jakąś pewnością siebie, do tych „urodzonych“, a za jednego z takich miała Zawiejskiego. Hektor to czuł i wyzyskiwał swą przewagę z umiarkowaniem, godnem dyplomaty, niezmiernie grzecznie i skromnie po lkreślając przy każdej sposobności swą wartość towarzyską i społeczną. Najtrudniej mu było wyrozumieć, co myśli o nim, co myśli wogóle Marynia. Dawniejsza, pobieżna z nią znajomość, posłużyła mu tylko do porównania: stwierdził, że Marynia spoważniała, że ma oczy głębsze, bardziej ocienione, a uśmiech mniej dziecinny, trochę bolesny; podnosiło to jej wyraz, czyniło ją jeszcze piękniejszą. Rozmawiała bez ożywienia, ale łatwo i uprzejmie. Hektor wystrzegał się wspominać jej o stosunkach swoich ze Zbarazkimi, co czynił często i chętnie wobec innych. Przyjaźń z Szafrancem służyła mu teraz za świadectwo wysokich stosunków, a i tego motywu używał dyskretnie, gdyż w ostatnich czasach doszedł do przekonania,

że, z małemi wyjątkami, arystokracja nasza jest kastą bez przyszłości.

Powtórzył to i dzisiaj na obiedzie u Hellów i wogóle był z siebie zadowolony. Zaproszeni należeli prawie wyłącznie do świata przemysłowców i pracowników; on błyszczał między nimi wytwornością, delikatnością uczuć i obejścia, ale basował im i podobał się równie mężczyznom, jak paniom. Z Marynią przemówił kilka słów o pokrewieństwie pragnień, i dostrzegł w niej skłonności przyjazne. Szczególniej jednak w gabinecie Hellego odznaczył się przy cygarach w fachowej rozmowie o dziennikarstwie, w której redaktor Krupkowski dzielnie go podtrzymał. Gdy Helle objawił swoje zdanie, Zawiejski cały zamienił się w wykrzyknik:

— Oto, panowie, jakiego-by nam trzeba naczelnego kierownika nie tylko dla „Zgody“, ale dla wszystkich naszych spraw krajowych! Ze słów pańskich i czynów płynie przykład i nauka. Szczęśliwi, którzy obcują z panem prezesem codziennie!

— No, no, pan sam dobrze wiesz, co robisz.

Helle podniósł oczy na Hektora i przez chwilę zatrzymał na nim skupione, żółte spojrzenie. Zdania Hektora przy obiedzie, jego niedawne braterstwo z mieszczaństwem, bezmierna uprzejmość i męskie rozrzewnienie, bijące od słów jego i oczu w tej chwili, zastanowiły naraz Hellego. Tak stary sęp, rozbudzony z drzemki na wysokim wierchołku, spogląda na krążącego w jego dzielnicy młodego jastrząbka.

Pożegnali się bardzo serdecznie, a gdy już goście się rozeszli Helle począł chodzić po pokoju, myśląc o Hektorze. Zrekapitulował całe jego zachowanie się od miesiąca i doszedł do wniosku, że wkrótce zamierza poprosić o rękę Maryni. Wyliczył w pamięci wszystkie roboty młodego Zawiejskiego, powierzachowne, bez ogólnego programu, obliczone na efekt. Wyliczył potem przypuszczalny majątek rodziny i rozdzielił go pomiędzy trzech synów. Zważywszy te aktywa, zmarszczył się i rzekł głośno:

— Mało...

Ocecił potem charakter przypuszczalnego kandydata. Wydał mu się człowiekiem zdolnym, wyrachowanym, przezornym, ale chciwym przede wszystkim swego znaczenia, swego użycia. Jako pomocnik w interesach może nie zawsze być równie giętki, jak dzisiaj...

— Niepewny.

Wreszcie zastanowił się nad chlubą, która-by na jego dom spłynęła z tego związku. Na te względy nie był nieczuły, przyzwyczał się tylko wmawiać w siebie i w innych, że to „jego baby“ dbają

o kolligacye. Ale skoro zważył zaszczyt, wynikający z wydania córki za Hektora, uśmiechnął się pogardliwie:

— Co mi to za arystokracja rodowa?.. Stoi na pewności siebie i na pieniądzach. Phil Tego my sami mamy więcej.

I przekreślił palcem powietrze, jakby wymazywał nazwisko Zawiejskiego z liczby kandydatów. Poczem poszedł do żony na rozmowę.

Gdy, w dwa dni potem, około południa, oznajmiono Hellemu, że hrabia Norbert Zawiejski pragnie się z nim widzieć, ojciec Maryni porozumiał się ze sobą w krótkim uśmiechu. Kazał zaraz prosić Zawiejskiego, oddalając innych czekających.

Pan Norbert był w czarnym surducie, namaszczonej zwykłą powagą, tylko z pewnym zapachem wyjątkowej dobroci.

— Cieszę się bardzo, że zastaję kochanego prezesa samego, przychodzę bowiem dzisiaj nie tylko z uszanowaniem, ale mam się udać do pana przyjaźni.

— Proszę bardzo, proszę siadać.

— Ja wieśniak, pan mieszkaniec miasta — nie częste mieliśmy spotkania i osobiste stosunki; proszę mi jednak wierzyć, że zblizka, czy zdaleka, zawsze wysoko ceniłem pańską obywatelską działalność.

Helle skłonił się ze swobodą, Norbert ciągnął dalej:

— Nie są to czeze słowa. Szacunek powszechny, który otacza pana i jego rodzinę, jest wymownym dowodem zasług pańskich dla społeczeństwa. Że tak poprostu się wyrażam, nie weźmie mi pan tego za złe. Już stary jestem, starszy dużo od pana... Wiele też lat ma kochany prezes?

— Ej, panie—lata pracy liczą się podwójnie.

— Zawsze dużo starszy jestem... i pragnę już spoczynku; na szczęście mam wyęcyciela, który równie fortunę moją, jak tradycję i, da Bóg, rodzinę poprowadzi dobrze. Mówię o moim najstarszym synie, Hektorze. Nie śmiem go chwalić, ale, jako obywatela, chwałę go jego roboty, dobrze panu znane, a syna lepszego mieć nie można: delikatny, przyjemny, zacny charakter. Dobrze mieć taką młodą nadzieję przed sobą, niby przedłużenie własnego życia, które się już pochyla...

Oczekując jakiegoś odgłosu tych pochwał, a nie słysząc nic, Zawiejski dostał pierwsze ostrzeżenie i zaniepokoił się. Pomyślał jednak, że Helle jest gburem, i mówił dalej:

— Człowiek to już wytrawny, chociaż młody. Ale w pewnych kwestiach życiowych, wymagających doświadczenia, za młodych powinni myśleć starsi, miarkować ich zapaly, chyba, że te zapaly są zupełnie dobrze i zacie skierowane, wtedy je popierać...

— Zapewne, zapewne.

— Czy pan nie jest mego zdania, panie prezesie?

— Owszem. Chodzi panu o jakieś zamiary syna, w których ja mógł-bym być panu pomocny?—zapytał Helle dobroduszenie.

Zawiejski zmiarkował tym razem, że Helle nie chce zrozumieć, więc albo pragnie uniknąć tej materyi, albo doprowadzić do otwartego wyznania, a wtedy... co? czyż-by śmiał odmówić?! Pot zaczął występować Norbertowi na łysinę. Uśmiechnął się jednak.

— Tak rzadko się widzujemy, że nie przywykliśmy do siebie nawzajem i nie zupełnie dobrze, że tak powiem, pasują do siebie nasze sposoby wyrażania się. Przyszedłem, nie powiem bez powodu, na gawędkę z panem, której dawno pragnąłem, licząc na przyjaźń pańską, na stosunki z moim synem... Ale może wybrałem złą porę? pan zwykle zajęty rano.

— Rano widuję interesantów, oddaliłem ich nawet paru, aby pana przyjąć, sądząc, że masz mi pan coś konkretnego do powierzenia. Jeżeli tak jest, słucham z uwagą i proszę się nie krępować, bo nic bardzo pilnego nie mam dzisiaj do załatwienia.

Obok tego, co mówił, myślał: „Skoro widzisz, że po twoich aluzyach nie padam ci w objęcia, kręcisz, cofasz się, nie chcesz mi zrobić zaszczytu oświadczyć. Poczekaj, dostaniesz odkosza“. I wpijał badawczy wzrok w Zawiejskiego. Ale pan Norbert już zrozumiał, że się rozumieją nawzajem, już przewidział wynik i cofał się na całej linii. Zasiadł się w fotelu, skrzyżował ręce i przemawiał uroczyściej:

— Mówiłem o Hektorze, bo przyszłość widzę tylko przez niego i dla niego. Nasza przyszłość nie jest mi jasna, dlatego chciałem coś o niej od pana usłyszeć. Co pan sądzi o kwestyi socyalnej u nas?

Namaszczony pan Norbert zmrużył oczy dowcipnie.

— Czy pan nie miałeś do pomówienia ze mną o jakiejs sprawie pana Hektora Zawiejskiego? — zapytał Helle, krzywiąc się złowrogo.

— O specyalnej—nie. Chętnie mówię o nim, ale jego wszystkie sprawy zna pan równie dobrze, jak ja... Bardzo panu chciałem podziękować za popieranie usiłowań społecznych mego syna.

— A więc tak — rzekł Helle, rozpierając się także w fotelu i krzyżując ręce — mówiłeś pan o dzieciach z powodu naszej przyszłości. Rozumiem to, rozumiem. Nie mam syna, mogę więc myśleć tylko o przyszłości dla córki. Dla kobiety jedynym polem działania jest stosowne małżeństwo; o tem myślę, nie taję się. Ze względu na znaczny spadek po mnie i na pewną dobrą sławę, którą sobie zyskałem, jak mnie o tem często upewniają, jest wielu bardzo konkurentów, jest w czem wybrać. Wielu zacnych i pracowitych młodzieńców stara się o moją córkę, ale, jak ich przeniknąć? jak poznać, o ile ich chęci są szczerze, a nie interesowane, o ile ich zalety nie zbledną później, przy blasku złota? Ubiegają się też o moją córkę panicze z tak zwanych „pierwszych rodów“. Niedawno odmówilem jednemu księciu... To jest więc sprawa, która mi bardzo na sercu leży. Szczerłość za szczerłość — wygadałem się przed panem, panie Zawiejski. A może by pan mi wskazał kogoś na męża dla mojej córki, kiedy mówimy już tak otwarcie?... — Nie widzisz pan na razie nikogo, ktoby był godny tego, bądź co bądź, zaszczytu? — Tak, nie widzisz pan. — Co zaś do kwestyi socyalnej, dziwi mnie pytanie, gdyż kwestyą tą nie zajmowała się nigdy arystokracja.

— No, już nie będę panu zabierał czasu — rzekł pan Norbert, starając się nadać twarzy wyraz uprzejmy, choć krów mu nabiegła do oczu i skroni.

— Moje uszanowanie — rzekł Helle, odprowadzając Zawiejskiego tylko do drzwi gabinetu. — Ignacy! podaj palto panu hrabiemu.

Ten tytuł był jedynem drobnem wynagrodzeniem, które zyskał za swą gorzką wyprawę niefortunny ojciec Hektora.

— Nie warto z tym człowiekiem zadawać się — mówił wzburzony pan Norbert do syna w hotelu. — Prawie, że mi dał odkosza — i to jakim tonem! Na szczęście ta odmowa nie stosowała się wyraźnie do nas.

— Jakim to sposobem, papo?

— Bo ja nic wyraźnego nie powiedziałem. Skorom wymiarkowałem usposobienie tego pretensjonalnego lyka, poprzestałem na ogólnikach, a nawet zupełnie zmieniłem rozmowę, ale... wybadałem jego zamiary co do córki. No — odmawia książętom, gada o trudności poznania człowieka, starającego się o taki posąg i o taki zaszczyt... Powiedział: zaszczyt — wyobraź sobie!.. Może jest w tem palec Boży? Bóg nas ustrzegł od takich związków.

Hektor siedział ponuro ze zwieszonymi rękoma. Nagle ocknął się: — Papa jest najlepszy i najmądrzejszy — przepraszam, że go naraziłem na taką wizytę.

W dziesięć dni później ogłoszono zaręczyny Hektora Zawiejskiego z panną Katarzyną Gnińską, dla której Hektor czuł dawny i stały affekt. Mówiono, że pan Norbert pragnął dla syna innych związków, ale syn wyprosił się od nich i poszedł za głosem serca. Gnińscy nie dadzą posagu, a Zawiejscy połączą się nareszcie z prawdziwą arystokracją rodową.

### XXXVI.

Uporczywe pragnienia Dołęgi, cały zasób nowych spostrzeżeń, a głównie odkrycie uczucia Halszki, — wszystko to złożyło się na niespodziewany wynik praktyczny: chęć szybkiego z bogacenia się. Że pieniądze są potężną dźwignią w ręku przedsiębiorczego człowieka, że zyskują na cenie w stosunku do dzielności ręki, która ich używa, że dają się przerobić na akcyę moralną i społeczną — o tem Dołęga myślał już dawno i był przekonany. Ale podniętą stawiała mu się teraz i miłość własna. Zanim wystąpi jawnie jako pretendent do ręki księżniczki — skoro już tak szczęśliwie rzeczy się składają — niech-że ma przynajmniej do okazania jakiś majątek osobisty, realny, nietylko oparty na obietnicach przyszłości. Ta myśl tak dalece go pochłonęła, że zapanowała obecnie nad wszystkimi pragnieniami, stosując się właśnie do nich wszystkich.

Pracy, i dobrze płatnej, miał już dosyć. Podwoił ją jednak przez nowe starania. Nie porzucając biur kolej, podjął się rozmaitych robót przy urządzeniu wystawy i przy kanalizacyi miasta. Te ostatnie były uciążliwe i niezdrowe zwłaszcza podczas letnich upałów, ale umowa z przedsiębiorcami była korzystna, mało bowiem znalazło się ochotników do tych robót podziemnych, przy filtrach i ściekach, wymagających wielkiej dokładności i dozoru.

Zwiększenie dochodów było jednak powolnym krokiem naprzód, Dołęga marzył o doraźnem pomnożeniu kapitału. Z niejaką bezwzględnością upomniał się najprzód o mniejsze i] większe sumy pieniężne, które mu się należały od krewnych i przyjaciół. Trudno! — mógł znów kiedyś pożyczyć, lecz teraz potrzebował koniecznie pie-

niędzy. Te zabiegi, łącznie ze szczęśliwym wypadkiem podniesienia kursu akcji, w których miał złożony spadek po matce, udały się. Lecz i podwojenie kapitału dawało jeszcze cyfrę niepokazną wobec minimum majątku wymagalnego od konkurenta Halszki. Cyfry jej posagu nie znał, ale przeglądając szereg tych, którzy mieli choćby lekką pretensję do jej ręki, spostrzegł, że była to sama młodzież bogata.

— Żebym miał przynajmniej tyle, aby procent od mego kapitału wystarczył na moje osobiste wydatki, nie licząc dochodów z pracy. Jaka to będzie teraz silna, rozległa praca!

Po krótkiej walce wewnętrznej powziął też zamiar sprzedania swych obrazów. Dawniej odpychał tę myśl pod różnemi pozorami, obecnie uznał sprzedaż za konieczną i oznajmił swe postanowienie różnym kupcom i miłośnikom. Między obrazami znajdował się jeden najcenniejszy: portret rycerza, przez Massaccia. Dołęga patrzył na ten obraz zawieszony naprzeciw biurka i często ta głowa kędzierzawa, ruda, to twarde spojrzenie zaufane w swej sile, ten ruch stanowczy torsu i ręki—podsycaly jego wiarę w przyszłość, a także dawały złudzenie bogactwa, gdyż obraz ten, zachowany z czasów zamożności rodziny, znano i ceniono powszechnie. Miłośnicy obrazów nazywali go „rycerzem Dołęgi“. Gdy jednak Jan ogłosił, że jego rycerza można kupić, „znawcy“ krajowi, licząc na okazję i na potrzebę sprzedającego, dawali tak mało, że Jan, zniecierpliwiony, posłał fotografię i ofertę do muzeum w Berlinie, stawiając cenę dwa razy wyższą od żądanej w kraju. Jakoż po niespełna miesiącu oczekiwania przyjechał agent galerii berlińskiej, obejrzał obraz i żadaną cenę zapłacił.

Wiodło się więc Dołędze, ale w tych powodzeniach materialnych tkwił dziwny, gorączkowy niepokój. Dążył do celu wielkimi krokami, jednak czy cel nie usuwał się przed nim w dal chwiejną i zawodną? Cała jego sprawa, publiczna i prywatna, pozostała w Warszawie, zależała od zręczności paru niepewnych ludzi i od pamięci jednej kobiety.

W pierwszym miesiącu po przyjeździe stamtąd dowiedział się wprawdzie Jan, że Reckheim dostał od Halszki stanowczą odmowę. Wieść ogólna głosiła, że rodzice, a zwłaszcza matka, bardzo przychylnie odnosili się do małżeństwa księżniczki z młodym dyplomata zamożnym i wysokiego urodzenia, który nadto czynił nadzieję przejścia na katolicyzm; ale Halszka na formalne oświadczenia odpowiedziała bez ogródki, że nie wyjdzie nigdy za cudzoziemca. Poczem Reckheim wyjechał i przepadł bez wieści. Nie obawiano się o jego życie, ale raczej o to, aby nie pisał pamiętników o swym pobycie u nas



o gościnnem przyjęciu, należącym się jego osobie, i o barbarzyństwie kraju, któremu „miał czas się przypatrzeć“.

Więść ogólna, wyjątkowo tym razem, była zupełnie zgodna z prawdą. Chociaż więc Jan oczekiwał z pewnością tych wypadków, nie mniej przecież uradował się, gdy nadeszły. Styl księżniczki zarysował się pierwszy raz publicznie w tym, chociaż biernym, postępku i Jan był z niej dumny, łowił chciwie dosłyszane tu i owdzie słowa pochwał dla Halszki, dorzucał je, milcząc, do swych najdroższych skarbów. Kilka dni następnych Dołęga przepędził w upojeniu i w ufności.

— Jak jej podziękować? jak wyrazić serdeczną pochwałę. Pisać do niej wydało mu się niepodobieństwem.

Napisał do Andrzeja, zapewniając go najprzód o niezmiennej przyjaźni mimo sprzecznych zapatrywań na niedawne postępowanie młodego Zbarazkiego. Skoro małżeństwo z Hellówną stało się już niemożliwym, nie było o czym mówić. Jeżeli „nie tędy droga“, jak się wyraził Zbązki, to może kędyś indziej? Różne drogi prowadzą do pożytku, do moralnego zadowolenia. Starał się być w liście wesół, przyjaźny; pragnął wyrazić dużo dobrych uczuć, które żywi dla całej rodziny, a także otrzymać w zamian jak najwięcej szczegółów o koncesyi, o przyjeździe Zbarazkich do Warszawy. Nie brakowało uścisków, ucałowań rączek dla starszych pań, ukłonów dla młodszych.

Na list ten, napisany w początku sierpnia, nie otrzymał wcale odpowiedzi. Dopiero pod koniec miesiąca dowiedział się, że Andrzej wyjechał już dawno do jakichś wód we Francyi.

Tymczasem nerwowy niepokój oczekiwania, połączony z uciążliwą pracą wśród upałów panujących w mieście, doprowadził Dołęgę do przykrego stanu zdrowia. Czuł się znużonym i podnieconym zarazem, sypiał źle i — rzecz dziwna — on, który kochał Warszawę, począł czuć do niej wstręt fizyczny. Wystawa, do której planu i ustawienia dużo się przyczynił, wydawała mu się marną, biedną i przygnębiającą. Zohydził sobie rozpalone mury i chodniki, drzewa pokryte pyłem, więdnące przedwcześnie w upale; woń ulic, zwłaszcza nie skanalizowanych, dławiała go. A gdy mu wypadło odbierać jakąś robotę przy filtrach, poprostu buntował się i nie mógł czasem powściągnąć wybuchu kwaśnego humoru.

Gdy z wieczornym chłodem przychodziło trochę ukojenia, przemyślał w mieszkaniu swem, smutniejszym, bo ogołoconem z głównych ozdób, jakim sposobem zasięgnąć wiadomości o Halszce. Choćby dotknąć się czegoś, co bezpośrednio było z nią w zetknięciu... Nie miał d niej żadnej pamiątki. Przeglądał album Waru, który dostał od

księżnej Hortensyi, ale te cienie obrazów podniecały tylko jego tęsknotę, nie zadawałając jej wcale. Żeby choć była fotografia tej alei, w której pożegnał Halszkę... Nie miał też żadnego jej portretu, a nie wiedział gdzie-by go znaleźć.

Zdecydował się raz napisać do panny Ostykównej i już zaczął:

„Szanowna i łaskawa Pani!

Cenny bardzo upominek, ów album widoków Waru, który otrzymałem przy pożegnaniu, ma jeden brak żaloszny dla mnie: brak wizerunków mieszkańców...“.

— Zgłupiałem zupełnie, — rzekł niecierpliwie, drąc na kawałki zaczęty arkusz.

Zaczął się strofować, że kocha jak student, że widuje we snach zaczarowane ogrody, a w nich Halszkę smutną, zawsze samą, zawsze oddaloną przez jakieś tajemnicze moce, w przeźroczach zielonawych cieni, w których gruchają turkawki. Starał się wmówić w siebie uczucie bardziej męskie, polegające na wyrozumowaniu, oparte na stronach moralnych. Ale gdy czasem przez otwarte okno jakiś wietrzyk przychylny wpadał razem z lekką wonią drzew, cudem ocaloną w kurzu ulicznym, Dołęgę ścisnęło za gardło.

— Jednak ciężko mi...

Wrzesień był jeszcze cięższy, choć chłodniejszy. Od wyjazdu Dołęgi z Waru upływał trzeci miesiąc. Wystawa otwarta, rozpoczynające się wyścigi jesienne powinny były sprowadzić Żbarazkich do Warszawy; mówiono o tem jeszcze w Warze. Tymczasem ani Zbarazkich, ani nawet Andrzeja, który bywał zawsze na wyścigach, ani cienia wiadomości. Gdyby Dołęga nie krytykował tak surowo swych przywidzeń i przeczuc, mógł-by myśleć, że War i wszystko, co z nim łączyło się w jego duszy, to jakaś piękna bajka z minionych, szczęśliwych czasów.

Zachodził często na wystawę; w braku bezpośrednich wiadomości z Waru, mógł tam spotkać kogoś powiadomionego o Zbarazkich. Ale wystawa była dość pusta. Spółcześnie odbywane wyścigi jesienne zajmowały żywiej sfery bogate i bawiące się. Dołęga zajrzał i na wyścigi. Spotkał Gnińskich z Hektorem, już narzeczonym, spotkał Koryatowiczów, Kostków, Kerstena, Włoska. Mało z nimi mówił i dowiedział się tyle tylko, że Andrzej jest za granicą, a księstwo

Januszowie powinni-by tu już być oddawna, jednak ich dotąd niema. Nawet Włosek nie zgadywał powodu tak uporczywego zasiedzenia się na wsi.

— Póki było niepewne co do Reckheima, je comprends,—ale teraz j'y perds mon latin. Księżniczka odpaliła takiego Reckheima... no, no! Ja byłem zresztą zawsze zdania, że to nie dla polskiej księżniczki partya.

— Pozwól pan, panie Włosek, — zaczął Kersten jedną ze swych ortograficznych poprawek...

Ale cokolwiek mówił i mógł powiedzieć Kersten, było już Dołędze obojętne: miał go ostatecznie dosyć. Oddalił się i nie wysłuchał poprawki, która przez to samo dla niego przepadła.

Pewnego dnia spotkał na wystawie Arnolda Hellego, siedzącego w restauracyi, niepokaznie, przy szklance piwa. Ukłonił mu się zdaleka, ale Helle go zaczepił:

— Cóż to, panie D., nie chcesz mnie pan znać?

A gdy Dołęga zbliżył się i usiadł przy stole, posłyszał dalsze przyjazne wymówki:

— Nie widać pana, nie zachodzisz pan do znajomych.

— Bardzo zajęty byłem temi czasy.

— Nawet się pan wymizerowałeś. Praca w upały cięższa. A jakże tam sprawa szos? Cóż protektorowie przywieźli?

— Tymczasem niewiele, — odrzekł Dołęga, — dużo obietnic.

— A pan się spodziewałeś czego naprawdę? Ja sądziłem, żeś pan w innym celu wysłał ich na spacer, bo z własnym i ważnym interesem takich się nie posyła.

Twarz Hellego skurczyła się w maskę starego fauna, oczy błyszczały złośliwie. Dołęgę to ubodło tem bardziej, że niewiele miał argumentów dla odparcia zarzutu; odpowiedział żywo:

— Nie można jeszcze tych panów potępiać. Działanie ich rozpierchło się, bo za wiele naraz chcieli zrobić, a może ich też trochę oszołomiła atmosfera wielkiego centrum i nie dość energicznie zajęli się przeprowadzeniem specjalnie tej sprawy. Zyskali sobie zawsze poparcie Zellera...

— O, Zeller — to ryba.

— Co to: ryba?

— No, gruba ryba, ale ślizka. Grzeczny on jest,—miałem z nim do czynienia, — ale żeby pomógł, o tem wątpię. Zresztą zamiarkował napewno, z kim ma do czynienia.

— Miał do czynienia w każdym razie z poważnymi ludźmi jak księżę Zbarazki i hrabia Zbązki.

— Zbązki? Pan wierzysz w Zbązkiego?.. panie Dołęgo! Chociaż należysz pan do szlachty, jesteś pan także członkiem towarzystwa rozumnych pracowników. Na tym gruncie spotykamy się, możemy zatem mówić otwarcie. Straszanie ludzi Zbązkim jest dobre dla innych.

— Nie chodzi o straszanie ludzi, ale o powagę Zbązkiego. Ma on zachowanie i w Petersburgu, i u nas. Wolno się nie zgadzać na jego program, na ultra - arystokratyczne zasady, ale odmawiać mu wszelkiej powagi?..

— To przecie nie sekret, panie. Zbązki jest karykaturą dowódcy. Gdy niema prawdziwych, potrzeba kartonowych dowódców. A potrzeba ich dla tego, aby był obóz, bo wielu jest ludzi, którzy mają osobisty interes należenia do obozu, a nie pytają, w jakim celu się skupili, w jakim kierunku podążą. Nie powiem, aby Zbązki nie miał pewnych zdolności: umie udawać wielkiego augura i trzymać w pewnym rygorze swoją koteryę. Ale w społeczeństwie taki pan nic nie wart; jemu się spraw publicznych nie powierza.

Dołęga zamyślił się, a Helle mówił dalej:

— Tak, panie. Zbązki jest karykaturą wodza, a wszyscy ci, którzy u nas uchodzą za arystokrację, są karykaturą arystokracji. Niech mi pan powie, jaką oni mają zasadę istnienia w naszym społeczeństwie? Czem zasługują na przodujące stanowisko? Nie mieszają się do pracy społecznej, chyba w swoim wyłącznym interesie; takim się wstrętem odgradzają od innych klas ludności, że są jak obcy pośród swoich; nie odmładzają się w zasadzie żadną inną krwią, topnieją powoli, przechodzą dobrowolnie w stan archeologicznego zabytku.

— Panie Helle, co pan nazywa arystokracją?

— To, co się tak nazywa we wszystkich krajach.

— We wszystkich krajach!.. — powtórzył Dołęga jak bolesue echo. — Łatwiej wszystkim krajom, niż nam, mieć zdrowe indywidualna i klasy społeczne. Nasza arystokracja nie była gorsza od innych, gdy miała swe przyrodzone zadania. Ale mamy tylko starą arystokrację, nie mamy nowej, a ta ostatnia, jeżeli w zawiązku istnieje, nie skupiona jest i nie nazwana, bo nie mogła utworzyć się normalnie.

— Hm, — mrukał Helle, który nie lubił ustępować.

— Tak, panie prezesie; trzeba mieć u nas nieco wyrozumiałości dla wszystkich stanów. Jesteśmy wszyscy pod jednym losem. Gdybyśmy byli Anglikami, izba wyższa miała-by większe pole do czynu i tytuły do poszanowania, i pan-by się z nią solidaryzował, bo był-by już sam lordem Helle.

— No, no... a zresztą, kto wie?

Po ruchliwej twarzy przeszły mu błyski pół ironiczne, pół zadowolone.

Towarzystwo wielu obcych w restauracyi musiało przerwać rozmowę zbyt poufną i poważną.

### XXXVII.

Nareszcie, pod koniec września, otrzymał Jan list od księcia Janusza, który donosił, że kuzyn jego, Adam Szafraniec, za parę dni przyjedzie z Waru do Warszawy, i zaznajomi Dołęgę ze stanem sprawy dróg bitych. List był grzeczny, prosty i krótki; nie zawierał w sobie nic nad tę wiadomość, nawet żadnych ukłonów od rodziny.

Chociaż Jan nie ufał ani rozumowi, ani szczerym chęciom Szafranca, ta bezpośrednia wiadomość z Waru tak go wzruszyła, że natychmiast posłał służącego swego, Józefa, aby się dowiedział, czy hrabia Szafraniec przyjechał i kiedy go można zastać w domu. Służący przyniósł odpowiedź, że hrabia dopiero co przyjechał i oczekiwać będzie jutro do drugiej, to jest do wyjazdu na wyciągi.

Nazajutrz więc o południu Dołęga pośpieszył do domu Szafranca, wielkiej kamienicy, a raczej kilku połączonych kamienic, zabudowanych szczelnie i wysoko około kilku ciasnych podwórz; każdy łokieć poziomy i prostopadły był tu widocznie użyty na dochód, nie na wygodę lokatorów. W tych koszarach Dołęga bywał często u różnych osób, nie znał jednak mieszkania właściciela. Zdziwił się, znalazłszy je w jednej z dalszych oficyn, ciasne i ciemne, odznaczone tylko lepszymi drzwiami od reszty mieszkań.

Służący wprowadził go do saloniku, w którym panował prawie mrok o południu, bo okna wychodziły na małe podwórze. Po chwili dopiero można było dostrzedz wiele obrazów i kosztownych mebli, przeniesionych widocznie z większego mieszkania, gdyż tutaj piętrzyły się prawie jedne na drugich, jak w sklepie antykwaryusza.

Wkrótce ukazał się Szafraniec, strojny, jak zwykle, po krawiecku posagowy; jednak wydał się Dołędze ożywionym i uprzejmiejszym, niż w Warze. Siedli na fotelach, osłoniętych pokrowcami, i Szafraniec raczył nawet zapytać:

— Jak zdrowie pana?

— Dziękuję. Upały były tutaj duże, trochę męczące. A pan czy był na wsi, czy za granicą?

— Byłem u siebie, a teraz przepędziłem miesiąc w Warze.

Uśmiechnął się swoim sposobem, przyczem twarz jego, dość piękna i prawie poważna w spokoju, dzieciętniała nieprzyjemnie.

— To pan zapewne stał się już zupełnym specjalistą od naszej sprawy?

— Właśnie uradziliśmy z wujem Januszem i z Hektorem, że trzeba panu tę rzecz objaśnić, jako współ - interesowanemu.

Wyraz „objaśnić“ wydał się Dołędze dość źle wybranym, ale puścił go mimo uszu i rzekł uprzejmie:

— Jestem niezmiernie ciekawy.

— Raz już miałem... przyjemność mówić z panem o tym interesie i zauważyłem, że go pan bardzo bierze do serca.

— Mam nadzieję, że my wszyscy...

— Muszę panu powtórzyć dawną moją... uwagę. Nie należy wysuwać się z inicjatywą prywatną, póki nie zgłębimy interesów i opinii ogólniejszych.

— Dobrze... to znam... to już... inna materya. Ale jak stoi sprawa koncesyi? — rzekł trochę niecierpliwie Dołęga.

— Jakiej koncesyi?

— No, koncesyi na budowę szos.

— A o budowę kolei pan nie pyta? — rzekł Szafraniec, starając się przybrać wyraz misterny.

— Pytam najprzód o to, co nas obchodzi.

— Więc kolej nas nie obchodzi? A cała nasza działalność w stolicy, a pomoc Zellera, a najrozmaitsze stosunki i informacye co do bardzo ważnych rzeczy — nie obchodzą pana?

Szafraniec wpadł w tak niezwykły ferwor, tak miał minę mówcy, dobijającego przeciwnika argumentami, że Dołęga zadziwił się:

— O czem my, panie, mówimy?

— O tem, co najważniejsze i jedynie ważne.

— Ale nareszcie... czy dostaniemy koncesyę na szosy, czy nie?

— Bardzo wątpliwe; mogę nawet powiedzieć, że niewczesne. Wierz mi pan, my jesteśmy dobrze poinformowani.

Uśmiechnął się znowu.

— Bez żartów, panie hrabio. Jeżeli pan co wie o stanie sprawy, to trzeba mi powiedzieć. Ja tu przecie trochę dawniej od panów byłem czynny.

— Nie, panie, — rzekł Szafraniec, trzęsąc z lekka wzniesionym palcem, — tej koncesyi na szosy nie będzie, ale i niepotrzebna.

Uśmiechnął się po raz trzeci.

Teraz już Dołęga osłupiał. Wpatrując się ze zgrozą w pogodną twarz Szafranca, myślał:

— Czego on się śmieje? Co mu jest? Opowiada mi takie rzeczy i śmieje się?!

Zdobył się wreszcie na słowo:

— Cóż Zeller?

— Właśnie.

— Co za: właśnie?! — zawołał Dołęga nagle tak rozdrażnionym głosem, że Szafraniec zeszytniał i przybrał ton uroczysty, wyższy:

— Mówię: właśnie. Hrabia Zeller pisał do księcia Janusza, że kolej będzie za dwa lata, że wobec tego szosy teraz niepotrzebne, że koncesya nie może być uzyskana w tej formie. Te trzy punkta mam panu do zakomunikowania.

Dołęga wstał i rozkrzyżował ręce z ironicznym ukłonem:

— Dziękuję panu. Prawdziwie pięknie i trafnie poprowadziliście panowie moją sprawę. Wdzięczność moja równa się waszej obywatelskiej zasłudze.

I wyszedł, ukłoniwszy się naprawdę, dumnie, bez podania ręki.

Na ulicy, trzęsąc laską w zaciśniętej garści, Dołęga szedł, jak pijany i mówił do siebie głośno:

— Oburzające, po prostu oburzające! Przecie ten bałwan nie zrozumiał dotąd nawet o co chodzi... Ha, tamci... Hektorek... wiedzieli, kogo do mnie wysłać... Oni mi się nie pokażą, nie będą śmieli zajrzeć mi w oczy...

Tak więc praca trzech lat, ulubiony pomysł Dołęgi, pierwszy jego wysiłek ku ogólnemu pożytkowi—spełżył na niczem z łaski nieudolnych i lekkomyślnych protektorów.

— Trzeba ich było pierwwej dobrze poznać i osądzić, czy można im powierzać rzeczy ważne... Moja wina, lecz strata nietylko moja; strata dla nas wszystkich, dla kraju... I nie można nawet obwiniać władz, ani Zellera, że nie chcieli bliżej wejrzeć w sprawę, która ma takich przedstawicieli, jak ten Szafraniec! Boże, cóż to za plaga tacy ludzie! Tyle pieniędzy zgromadzonych w takiej szkatule!.. A tamci! Na Hektora nie liczyłem, lecz przecie Zbarazki i ten wielki Zbązki...

W tych bolesnych rozmyślaniach powracała i Halszka, i na nią padała teraz plama pierworodna.

— Ona jest z nich, ona także niepewna...

Wpatrywał się gorączkowo w jej moralną postać, bronił jej sam przed sobą, ale porównania z ojcem, z matką, z Andrzejem, z panią Hohensteg, cisnęły mu się jak zmora do mózgu i napełniały strasznym niepokojem biedne, zawiedzione, skłonne już do nieufności serce.

Tego samego dnia po południu miał znowu odbyć swą wstrętną inspekcję robót kanalizacyjnych. Głowa mu pękała od bólu, rozstrojony organizm wypraszał się od tej wyprawy, ale nawykła do żołnierskiego posłuchu wola dała rozkaz—i Dołęga poszedł.

Gdy wrócił, nie jadł obiadu, poczuł znużenie tak przemożne, że zasnął na fotelu aż do zmroku. Obudził go służący, zapalający lampy.

Wieczorem Dołęga miał zwyczaj załatwiać korespondencje i dzisiaj rzucił okiem na kilka listów leżących na biurku. Parę kopert z nagłówkami firmowemi, a ten list od kogo?

Obejrzał dość ciężką kopertę, zaadresowaną kobiecym pismem. Stępel pocztowego wagonu, bez miejscowości... Co to takiego?

Początek listu, odezwa w rodzaju „Szanowny panie“ lub „Drogi mój Janie“ była starannie przekreślona — potem dwa arkusze pisma, widocznie przerywanego i znów ciągniętego — wreszcie podpis.

Dołęga krzyknął. Był to długi list od Halszki. W tej chwili zrozumiał, że trzeba być przygotowanym na wszystko, że los jego rozstrzyga się, i że w szeregu feralnych wypadków, które przeżywa, ten list będzie przesileniem na dobre, albo jeszcze na gorsze. Ale to od Niej—zatem szczyt pragnień, upragnienie samo.

— Spokojnie, spokojnie, spokojnie...

Ścisnął głowę rękoma, niby stalową obręczą, i zaczął czytać:

„Proszę się nie dziwić, że piszę. Wolę, żeby ode mnie pierwszej dowiedział się pan, zanim tam dojdą wiadomości o mnie. Zdaje mi się, że tak lepiej, abym sama powiedziała od razu. Jestem zaręczona z kuzynem moim, Adamem Szafrancem“.



Tego pełnienia w serce Dołęga nie mógł przewidzieć. Zerwał się, rozpaczliwie skrzywił twarz i wznosił rękę ponad głowę, niby do uderzenia lub do przekleństwa. Zachwiał się potem i upadł na krzesło. Krwawe mgły zaćmiły mu oczy i uszy, ale po chwili zobaczył znów przed sobą biurko, otwarty list i posłyszał zwyczajny gwar miasta, dolatujący z ulicy. Opierając się o meble, doszedł do karafki z wodą, napił się, potem, nalawszy trochę wody na dłoń, przyłożył ją do czoła.

— Ja nie zemdleję... jam nie z waszej marnej gliny. No, czytamy dalej.

„Jestem zaręczona z kuzynem moim, Adamem Szafrancem“.

— Winszuję. Nie można lepiej.

„Niech pan źle nie myśli o mnie, zanim się dowie, jak przyszło do tego. Choć mi wszyscy mówią, że to bardzo szczęśliwie dla mnie, nie czuję szczęścia w sobie, bo nie wiem, jak mnie pan osądzi, a pan jest jedyny, o którego zdanie chodzi mi naprawdę, w sercu. Proszę mi wierzyć, drogi panie, proszę... Więc opowiem jak było. Kiedy odmówiłam temu Niemcowi, naturalnie, mama była bardzo zła na mnie, ale to już trudno. Chodziłam po parku sama i dużo myślałam o panu. Dlaczego pan ani razu nie napisał, choćby do cioci Temiry?“

— Dlaczego nie pisał? dlaczego nie pisał?! Prawda.

„Aż w parę tygodni później mama zawołała mnie do siebie i mieliśmy rozmowę. Mama mi powiedziała, że Adam prosi o moją rękę przez wuja Karola Zbązkiego. Ja się zdziwiłam, bo przecie Adama znam oddawna, i teraz był u nas dwa razy na wsi, a nigdy mi nic nie powiedział. Mama zaczęła go chwalić, że jest porządny, dobrze myślący, bardzo bogaty i spokojny. Śmieszyło mnie to wszystko, bo nie myślałam nigdy, żeby Adam był mną zajęty. A kiedy mama zapytała, czy może przyjechać do Waru, niby dla mnie, odpowiedziałam: niech sobie przyjeżdża. No—i stało się.“

Tu list był przerwany, może dla niepowodzeń stylowych i ciągnął się dalej drobniejszem pismem:

„Zdaje mi się, że pan mnie zna, ale może i nie dosyć. Ja tak się lubię bawić, że aż mnie nosi, a pan wtedy nie kontent ze mnie i mówi, że jest nieszczęśliwy. Pamięta pan przy fajerwerkach? Może to źle, ale kiedy patrzę na moich znajomych, widzę że wszyscy

myślą o zabawie; nawet starsi szukają ciągle przyjemności, chociaż mówią inaczej. Tylko pan jeden mówi tak, że ja mu wierzę, bo pan ma coś gorącego w sercu“.

Znowu przerwa w liście.

„Żebym była mądrzejsza, mogła-bym mieć innego męża. Nie jestem głupia z siebie, ale czy była-bym taka, jaką pan lubił-by długo i bardzo... bardzo. Słowa pana rozumiałam sercem i było mi przyjemnie czuć, że są wyższe i lepsze ode mnie, a razem bolało mnie, że nie mam równych z panem skrzydeł. Ja pisać nie umiem, ale pan mnie zrozumie. Zapamiętałam sobie wszystkie słowa pana, wszystkie nasze spotkania i spacer, aż do ostatniego. Pamiętam nawet jak pan wyglądał i jak patrzył“.

Rozpalona twarz Dołęgi mieniła się, pierś falowała gorączkowo. W tych prostych słowach dziewczęcych widział niby skrót i sumę całych lat wychowania, całych dni rozmyślań. Daleki już był od oburzenia.

— Biedne, zagłuszone, stracone serce!

Halszka spowiadała się dalej nieuczonym i osobistym stylem:

„Teraz, kiedy rozmawiałam z Adamem, stawał mi pan przed oczyma — i nie mogłam sobie dać rady. Wmawiali we mnie, że to doskonała partya, mnie to nie rozczyła. Jednak to niezły człowiek. Kazałam mu raz dać na pogorzalców, którzy przyszli, a on zapytał ile, odpowiedziałam: tysiąc rubli. Dał zaraz. A znowu kiedyś — (przekreślone). Nie chcę już o nim mówić, tylko czuję, że go pan nie lubi, więc chciała-bym wytłómaczyć, że on możliwy, bo dobry i wszystko dla mnie robi. Ja sama doprawdy nie wiem, co się we mnie dzieje. Namawiali mię i zgodziłam się nareszcie. Czy to koniecznie męża trzeba kochać?

„Żeby pan tu był, wytłómaczył-by mi dopiero, co ja czuję.“

„Przeżyłam najsmutniejsze dni w mojem życiu tego lata po pańskim wyjeździe. Dotąd miałam życie proste i wesołe, a teraz wszystko mi się wydaje smutnem i wyrachowanem. Gdzie tylko spojrzę, widzę, że nie można iść za uczuciem, że to się tylko w książkach przytrafia. Rodzice bardzo się cieszą z moich zaręczyn, są przekonani, że to się stało dobrze i szczęśliwie; aż się dziwię i myślę, że tak się widać układają u nas dobrane małżeństwa.“

„Wiem, że się listów nie pisze do obcych, ale pan mi jest najbliższy ze wszystkich ludzi. Pan taki dobry i mądry, że może zrozumie, dlaczego piszę i nie będzie źle myślał o swojej szczerzej, gorącej przyjaciółce,

Halszce.“

JÓZEF WEYSSENHOFF.

(C. d. n.)

---

# Traktaty handlowe.

---

Gdy Chateaubriand wyraził się, że minął już okres dyplomatów, a rozpoczyna się stulecie konsulów, miał właściwie na myśli, że normowanie międzynarodowych stosunków społeczno-handlowych gra często rolę ważniejszą od zdobyczy dyplomatycznych. Pogląd ten był wówczas odgłosem merkantylizmu i kameralistyki zeszłowiecznej, które inaczej, aniżeli dzisiejsza praktyka polityczno-handlowa, zapatrywały się na obcowanie ekonomiczne ludów w ogólności, a na znaczenie traktatu handlowego w szczególności. Jakie w tej mierze było stanowisko statystów wieku XVIII, o tem wymownie świadczy następujące charakterystyczne zdanie, wyrzeczone przez niemieckiego uczonego, Jana Henryka v. Justi: „Głównym zamiarem każdego traktatu komercyjnego powinno być zdobycie bilansu (przewagi wywozu) w handlu tak samo, jak jest to celem głównym tego narodu, który z nami się łączy... A zatem chodzi tu o to, kto kogo chytrą pojejdzie“. Wszyscy owocześni kameraliści byli przekonani, że lepiej

nie zawierać wcale traktatów, niż zawierać je w warunkach, nie dających korzyści kosztem strony drugiej. W tym duchu wyraża się też Francuz Mably, że „nie należy zawiązywać układów, o ile nie jesteśmy w okolicznościach tak szczęśliwych, iż upoważniają do wymagania od innego narodu prerogatyw dla siebie, bez zobowiązania się do równoważnych ustępstw“. A więc podług pojęć i dążeń merkantylistycznych, które znajdować miały urzeczywistnienie za pomocą panującej podówczas chytrości dyplomatycznej, traktat handlowy nie był układem, na wzajemności, a przynajmniej nie na wzajemności zupełnej opartym.

Kiedy znowu po teoriach merkantylizmu, pod wpływem Quesnay'a i Adama Smitha, urobiły się zasady handlu wolnego w wymianie międzynarodowej, kiedy jednostronną ochronę państwową pobiły nauki „laissez - faire'yzmu“, uważano traktaty za urządzenia zgoła zbyteczne. „Wolno-handlowe dążności nauki gospodarczej—czytamy w podręczniku nauk ekonomicznych Rentzcha z r. 1866—nie dają się prawie pogodzić z zawieraniem oddzielnych traktatów handlowych... Jeśli dziś traktaty są jeszcze zawierane, dowodzi to tylko, że przynajmniej jeden z narodów układowych nie przyswoił sobie słusznych poglądów na handel i obrót“.

I znowu czasy się zmieniły, a wraz z nimi przeistoczeniu uległy pojęcia państwowe i ekonomiczne. Teorye „free-trade'yzmu“ nie ostały się, duch opieki państwowej odzyskał swoje prawa, tylko przetworzył się po części pod wpływem mocarstwowego stanowiska państw, a po części pod działaniem nowych haseł ekonomicznych. Naprzód nacjonalizm gospodarczo-społeczny Lista i Müllera, potem socjalizm: Marxa, Rodbertusa i Lassalle'a, dalej socjalizm państwowy, a nakoniec historyczna i realno-etyczna szkoła ekonomistów oraz prądy agrarne przywróciły rację bytu ochronie państwowej i opiece społecznej nad gospodarstwem narodowym. I oto znowu nastąpiła era traktatów, lecz traktatów równoprawnych, na możliwie ściślejszej wzajemności interesów ugruntowanych. W tych nowoczesnych układach handlowych o „podejściach chytrości“ niema, a przynajmniej nie powinno być mowy. Równowaga korzyści, wzajemna wymiana ustępstw, przy bezwzględnej, o ile to możliwe, przestrzeganiu ochrony całości kształtu interesów społeczno - gospodarczych — oto przynajmniej zasadnicza teoria traktatów. Same układy nie są i nie powinny być wyrazem dążeń ani ochronnych, ani wolno-handlowych. Układowo można zawarować sobie tak samo handel wolny, jak system protekcyjny,—a zależy to w zupełności od systemu, któremu dane państwo hołduje. Traktat nie wyobraża systemu polityczno-handlowego, lecz jest jego praktycznym sposobem wykonania. Dlatego zawierają umo-

wy handlowe między sobą zarówno państwa wybitnie opiekuńcze, jak wolno-handlowe z opiekuńczemi; umowy takie nie przelamują wtedy zasad panujących, lecz ustalają stosunek, utrwalają mającą się dokonywać w danych, określonych warunkach wymianę wzajemną. Oczywiście, ponieważ chodzi tu o wzajemną korzyść, to w stosunkach pomiędzy państwami, hołdującemi protekcji celnej, musi nastąpić pewne wyrównanie norm celnych, złagodzenie protekcyonizmu przesadnego, a przynajmniej uchylenie cel wręcz zakazowych; musi nastąpić takie uregulowanie wymiany płodów i wytworów, aby urzeczywistnienie znalazła zasada: do ut des, bez której niema układu ekonomicznego; ale nie jest to wcale identycznym z poświęceniem dążności opiekuńczych, ani ze zdobyciami „podstępą“ dyplomatycznego. Oddziaływać tu może raczej nacisk strony mocnej i możnej na słabą i zależną politycznie, albo korzyść, którą obiektywnie uzyskać można kosztem ustępstw subiektywnych.

W rozwoju dziejowym traktaty przechodziły stopniowo po przez fazy, powyżej wskazane. Pominąć prawie można traktaty w starożytności i w wiekach średnich, były to bowiem formy w niczem jeszcze do dzisiejszych nie podobne. Polibiusz (Polybios, historyk grecki na 200 lat przed Chr.), wzmiankuje o układach między Rzymem a Kartaginą w latach 567, 347 i 306 przed Chr., lecz umowy te nie dotyczyły wzajemnych praw handlowych kontrahentów obustronnych na swoich terytoryach, tylko rozgraniczenia sfer handlu w krajach podbitych. Hanza średniowieczna nie była też traktatem między państwowym, ale związkiem korporacji kupieckich. Więcej podobieństwa do układów handlowych miały „kapitulacje“, zawierane między władcami muzułmańskimi Wschodu a republikami włoskimi: Wenecją, Genuą i t. p., choć i tutaj chodziło raczej o jednostronne przywileje, niż o korzyści, na wzajemności oparte.

W czasach nowszych wyrabia się powoli instytucja traktatowa w znaczeniu dzisiejszem. Powstaje ona wtedy, gdy ustalają się państwa ze ścisłymi już granicami terytoryalnemi, tworzącemi zarazem całości gospodarcze i celne. Interesy kupieckie, interesy wymiany są bodźcami do wyjednywania sobie wzajemnych korzyści kosztem jednej strony. Pierwszym takim traktatem był układ, zawarty roku 1535 dzięki pośrednictwu posła francuskiego La Forêt'a, między Franciszkiem I, a Sultaniem Sulejmanem II. Ten traktat francusko-turecki, poddający cały handel europejsko-turecki pod flagę francuską, miał jednak charakter wydatnie jeszcze polityczny. Takimi cechami odznaczały się również traktaty między Anglią a Portugalią . 1642, oraz traktat pirenejski (między Francją a Hiszpanią), roku

1659. Dopiero ściśle protekcyjnym układem w duchu teorii merkantylnej był traktat r. 1703, między Anglią a Portugalią, noszący nazwę traktatu Methuena od nazwiska pośredniczącego dyplomaty angielskiego. Jest to klasyczny typ układu, który obie strony zawarły w tem przeświadczeniu, że biorą więcej niż dają, że „prześcigają się w podstępach”. Właściwie do tej chwili niewiadomo (pomimo całej literatury komentarzy), który kontrahent był tu pokrzywdzonym. Portugalia, podpisując tę umowę, mniemała oczywiście, że zdobyła znaczne przywileje, albowiem wyjednała sobie traktat za cenę przyłączenia się do utworzanego przez Anglię związku europejskiego przeciw Ludwikowi XIV. Cały traktat składał się z trzech artykułów: 1. Portugalia znosiła zakaz przywozu angielskich wyrobów wełnianych; 2. Anglia przyzwalała na przywóz win portugalskich na zasadzie cła tańszego o  $\frac{1}{3}$ , niżeli cła na wina francuskie; 3. termin trwania traktatu miał być nieograniczony—wieczysty, lecz tu właśnie Anglia wytworzyła sobie furtkę, zastrzegając, że o ile nie dotrzyma zobowiązania, Portugalii przysługiwać będzie prawo zakazu przywożenia towarów angielskich. Tego przywileju niedotrzymania umowy Portugalia nie posiadała, a więc zwycięstwo „podstępu” było, zdaje się, po stronie Anglii. Mimo to układ dotrzymany został do r. 1830, a wtedy upadł samą siłą rzeczy, gdy zabiegiem Huskissona udało się zwrócić Anglię na drogę zupełnej wolności handlowej. Podobną konstrukcyę miał też słynny w swoim czasie układ, znany pod nazwą „assiento - traktat”. Assiento był to wyraz, oznaczający w dawnej Hiszpanii układ każdy, który korona zawierała ze swymi finansistami (assentistas). Stąd assiento de negros nazywano monopol, nadany za odpowiednie wynagrodzenie różnym towarzystwom w zakresie opatrywania kolonii amerykańsko-hiszpańskich w Negrów-niewolników. Układ taki, zawarty w r. 1713 między Hiszpanią a Ameryką, udzielał angielskiemu towarzystwu tego przywileju. W rzeczywistości jednak assiento-traktat stał się ścisłym układem handlowym, który otworzył drogę do całego handlu kolonialnego Hiszpanii. I tutaj zdawało się z początku rządowi hiszpańskiemu, że odnosi zwycięstwo dyplomatyczne, a przynajmniej, że osiąga dużą korzyść materyalną, bo ustąpiono to prawo towarzystwu angielskiemu oceanu południowego za znaczną opłatę. Tymczasem Anglicy zawarowali sobie zarazem przywilej dowożenia co rok 500 tonn towarów, naładowanych na okręt, przyczem jeszcze prowadzili kontrabandę. Układ zawarty był na lat 30, lecz dawał ciągle powody do zatargów, ponieważ tworzył on klin, który rozbijał system kolonialny Hiszpanii, obliczony na zamknięcie portów. Nareszcie wojna, wybuchła r. 1739 (pierwsza w ogólności wojna kolonialna), zawiesiła działa-

nie układu. Gdy wszakże roku 1748 zawarto pokój w Akwizgranie, przyznano towarzystwu angielskiemu prawo do korzystania z układu przez cztery jeszcze lata (tyle bowiem brakło do upływu pierwotnie oznaczonego terminu 30-letniego). Ale r. 1750 nastąpiła w Buen-Retiro ugoda, uwalniająca Hiszpanię od obowiązku traktatowego za odszkodowaniem 100,000 funt. sterl. Anglicy odstąpili praw swoich z tego właściwie powodu, że utraciły one już znaczenie, ponieważ współzawodnictwo francuskie unicestwiała ich korzyści traktatowe. Bardzo znamienne jest rzeczą, że w całej ówczesnej Anglii i w jej koloniach tak bardzo narzekano na szkodliwe następstwa dla handlu angielskiego tego traktatu, iż wyrodziło się nawet mniemanie, że przyjsie do skutku assiento-traktatu było wynikiem zręcznego podstępu Hiszpanów! Wszyscy pisarze angielscy, począwszy od r. 1720, aż do Adama Smitha włącznie, stanowczo potępiali ten układ. Mamy tu więc znowu to szczególne zjawisko układu czysto merkantylnego, co do którego każda strona uważała się najpierw za zwycięską, za taką, której udało się podejść przeciwnika, a następnie sądziła, że stała się sama ofiarą podejścia.

Mniej charakterystycznym był układ, zawarty w wieku XVIII przez pośrednictwo ministra Ludwika XV, Choiseula, pomiędzy państwami dynastji Burbonów. Traktat, noszący miano „Pacte de Famille“, zapewniał poddanym korony francuskiej, hiszpańskiej i sycylijskiej prawo wzajemnego uprzywilejowania najwyższego. W każdym razie i ten układ miał też cechę merkantylną, bo zastrzegał, że tak znaczne przywileje nie mogą być przez kontrahentów nadane innym narodom.

Pierwsza umowa międzynarodowa, posiadająca cechę już nie merkantylną, lecz wolnohandlową, i zawartą też pod wpływem teorii fizyokratycznych polityka i pisarza tego kierunku, Dupont de Nemour'a, który ze strony Francji, z pełnomocnictwa ministra Vergennes, rokowania prowadził, — pierwsza taka umowa weszła w życie w r. 1786 między Francją a Anglią. Układ ten obniżył cła wzajemne w nadzwyczaj znacznym na owe czasy stosunku, bo o 10—15%, a nadto zastrzegał dla obu kontrahentów prawa najwyższego przywileju; prawa te wszelako musiały być ograniczone, bo wyłączość obowiązującego Anglię traktatu Methuena, oraz Francję wiążącego „pacte de Famille“ nie pozwalała rozciągnąć wszystkich przywilejów na państwa traktatowe. W tym pierwszym więc wolno-handlowym układzie, powstałym wskutku prądów fizyokratyzmu ekonomicznego, widzimy twór połowiczny, uwarunkowany współczesnem jeszcze panowaniem polityki i ekonomii merkantylnej.



Na początku XIX wieku dominowały w ekonomii teorie Adama Smitha, lecz w praktyce dyktatorem wszelkich praw i teorii był wielki zwycięzca, świat cały podbijający, Napoleon Bonaparte. Jego twory ekonomiczne i urzędnictwa państwowe, powoływane do życia pospiesznie i z krewką stanowczością, czerpały natchnienie w interesach wyłącznie politycznych; lecz miały też zewnętrzne piętno nowatorstwa, ulegającego (co do form przynajmniej) wpływowi wolnościowym. Choć więc napoleoński system kontynentalny, zamykający Europę przed Anglią, był aktem barbarzyńskiej nienawiści narodowej, tworzył jednak zarazem pierwszy międzynarodowy zbiorewy związek handlowo-polityczny, urzeczywistniający w pewnym stopniu wolność handlową w obrębie stosunków między kontrahentami.

Drugim takim zbiorewym aktem międzynarodowego porozumienia handlowego był układ państw niemieckich w przedmiocie „związku celnego“ (1833). Tymczasem we Francji Jan Chrzciciel Say, zwolennik wogóle Smitha i jego naśladowca, był z nim w niezgodzie tylko co do poglądu na cło opiekuńcze, w którym dopatrywał się rękojmi, wyrównywającej różnicę kosztów wytwarzania. Gdy więc Anglia, gdzie nauki Smitha, spopularyzowane i spotęgowane w dążnościach wolnościowych przez szkołę manchesterską, coraz dalej posuwała się w kierunku wolno-handlowym, gdy stopniowo uchylała cła od swych wytworów, gdy ograniczała się do ceł finansowych, stosowanych tylko względem artykułów żywności, i gdy gotowa była udzielić najwyższych przywilejów handlowych bez wzajemności nawet, — we Francji utrzymywał się zaszczerpiony przez Saya (a po części usprawiedliwiony też stanem przemysłu), kierunek polityki opiekuńczej. Duch manchesteryzmu począł się jednak udzielać całej Europie i wtedy nakoniec Francya skłoniła się do poczynienia wyłomów w swoim systemie. W r. 1860 przychodzi do skutku układ handlowy między Anglią a Francją, w myśl którego druga przyznaje pierwszej niższe cła od wyrobów przemysłowych, mianowicie cła, wynoszące 30% od wartości, a mające się po roku 1863 w dalszym ciągu obniżyć na 25%. Utrzymuje się jednak przytem we Francji generalna taryfa zakazowa względem tych państw, które wzajemnie są skłonne do ustępstw celnych, ale układ ten staje się już punktem wyjścia do t. zw. systemu zachodnio-europejskich traktatów handlowych. Dzięki temu systemowi w 7-ym dziesiątku lat XIX wieku powstaje powszechny prawie związek handlowo-polityczny, oparty z jednej strony na układach z Francją, a z drugiej na poszczególnych traktatach, jednających sobie przywileje, już udzielone Francji. W obrębie tego związku obowiązują umiarkowane taryfy umowne

(konwencyjne), a tylko poza nim tworzą się podwyższone, bojowe taryfy generalne.

Tym sposobem w epoce tej świeciła zwycięstwo ekonomia polityczna „Free-trade'yzmu“, zapoczęta przez Adama Smitha, spotęgowana przez szkołę manchesterską i mająca odbicie w dociekaniach gospodarczo-społecznych i doktrynach naukowych prawie wszystkich narodów. U nas w tym samym między innymi czasie Z. Dangel potępiał teorię umiarkowanej protekcji celnej i bronił doktryny zupełnej wolności handlowej, gdy poprzednio Skarbek, pomimo swego uwielbienia dla Smitha, naśladowując w tym względzie J. Ch. Saya, hołdował zasadom ceł opiekuńczych.

Ten system traktatowy, czerpiący źródło w przekonaniach o zbawczym wpływie handlu wolnego, utrzymał się w polityce gospodarczej Europy aż do połowy 8-go dziesięciolecia wieku zeszłego. Wtedy właściwie do traktatów nie przywiązywano szczególnej wagi; zawierano je raczej ze zwyczaju, niż z potrzeby, bo kierunki handlu wolnego i tak się domniemywały.

W nowym okresie dokonał się zwrot w pojęciach ekonomicznych i zarazem przełom w systemie układowym. Teorye „free-trade'yzmu“, albo „laissez-faire'yzmu“, powoli traciły zaufanie i państwa poczęły przystępować do podwyżek celnych. Traktaty zawierano wprawdzie i odnawiano, ale przy każdym odnowieniu zastrzegano podniesienie taryfy konwencyjnej. Rossya należała do państw, które wydatnie wzmocniły swą ochronę przemysłową. W r. 1876 postanowiono w Rossyi pobierać cła w złocie, co było początkiem protekcji wygórowanej. W cztery lata później (1880), Bismarek zaprowadził w Niemczech cła zbożowe, które w okresie od 1865 do 1879 były tam uchylone. Cła nowe wynosiły pierwotnie tylko 1 m. za 100 kilog. głównych zbóż, potem w r. 1885 podniesiono je na 3 m., a w r. 1887 na 5 m. Nakoniec w r. 1892 Francya dała pierwszy początek zasadniczemu przeistoczeniu traktatów, które wypowiedziała wszystkim swoim kontrahentom. Dnia 11 stycznia tego roku Francya weszła na drogę podwójnej taryfy: maksymalnej i minimalnej, i podług stosunku handlowego z tem, czy innym państwem, przyznawała bądź jedną, bądź drugą. Tym sposobem tylko kraje, połączone z Francją stosunkiem uprzywilejowania najwyższego, uzyskały od niej cła taryfy niższej.

Na owoczesne zwroty w polityce celnej i traktatowej wpływały prócz względów natury ekonomicznej jeszcze względy zaostżeń politycznych. To też wkrótce spostrzeżono się, że przesada dojść może do granic, wielce szkodliwych dla spraw wymiany międzynarodowej. Wtedy-to kanclerz rzeszy niemieckiej, Caprivi, wszedł na drogę no-

wego „kursu“ traktatowego. Zrozumiał on, że korzyści ekonomiczne, nawet przy utrzymaniu zasady ochrony celnej, wymagają takiego ustalenia wzajemnego interesów handlowych, aby każdy z kontrahentów czynił stronie drugiej możliwe ustępstwa. I oto w tym dopiero czasie teoria traktatów znalazła<sup>1</sup> prawidłowe zastosowanie praktyczne.

Naprzód zawarły Niemcy układy ze swymi sojusznikami w trójprzymierzu, a w r. 1894 (po uprzedniej krótkotrwałej wojnie celnej), wszedł w życie traktat między Rosyą a Niemcami. Z mocy tej umowy cła zbożowe zredukowano na 3½ m. (cła od owsa na 2.8 m., a od jęczmienia na 2 m.). Rosya równocześnie prawie przyznała swoje ustępstwa celne względem Niemiec (szczegółowo w rokownikach ustalone) wszystkim mniej więcej państwom.<sup>2</sup> Tak więc wytworzył się system europejskich układów handlowych—system tak pełny i tak prawidłowy (przynajmniej ze względu na swe formalne ukształtowanie), jakiego dotychczas historia nie znała.

I oto po kilkoletniej próbie życiowej w systemie tym zanosi się na wyłomy wobec najnowszych zwrotów w polityce gospodarczej Niemiec, nowych dążeń społeczno-politycznych i nowych ekonomicznych poglądów.

Zanim jednak przejdziemy do wyjaśnienia sprawy aktualnej, która w tej chwili zaprzęta uwagę powszechną, pragniemy jeszcze dać pewne uzupełniające wskazówki o teoretycznym znaczeniu traktatów handlowych.

Traktat taki jest aktem prawa narodów, a zarazem po części wewnętrznego prawa państwowego. Dość zasadniczo różni się on od układów natury ściśle politycznej. Gdy te ostatnie mogą być zawierane tylko przez państwa, mające pełną samodzielność polityczną, zawieranie traktatów handlowych w niektórych wypadkach przysługuje też krajom na poły tylko samodzielnym. Tak Egipt zyskał sobie w r. 1873 firman Porty, upoważniający do nawiązywania układów handlowych z innymi państwami. Takie samo prawo pozyskały w r. 1874 księstwa naddunajskie, podówczas jeszcze lennicze. Kolonie angielskie (Kanada, Newfoundland, Nowa Południowa Walia, Victoria, Australia Zachodnia, Queensland, Tasmania, Nowa Zelandya, Capland, Natal, a czasami też Indye), mają prawo zawierania swoich własnych traktatów, z czego niedawno dopiero (w r. 1897) skorzystała Kanada, ustalwszy u siebie cła wyższe o 33⅓%. Zdarza się jednak i stosunek przeciwny: niektóre kraje mają pełną samoistność polityczną, a handlowo są zależne od traktatów innych państw. Tak Wielkie Księstwo Luksemburskie włączone jest do systemu celnego Niemiec, a Księstwo Lichtenstein do systemu Austro-węgier. Cokol-

wiek inaczej ułożył się znowu stosunek wzajemny Austrii i Węgier; na zewnątrz Austria i Węgry tworzą całość celną względem innych państw, wewnątrz zaś we wzajemnej unii normują co lat 10 swój układ celny. Ostre przeciwieństwa handlowo-polityczne występują w unii osobistej Szwecyi i Norwegii; pierwsza jest krajem protekcyjnym, druga wolnohandlowym, co wyraża się w samoistnie przez te oba kraje zawieranych traktatach.

Tu przypomnieć warto, że kongresowe Królestwo Polskie, pomimo zawisłości politycznej, miało zastrzeżoną samodzielność handlową i prawo jedności handlowej z innymi dzielnicami dawnej Polski. Ta ostatnia jednak zasada pozostała tylko martwą literą orzeczeń kongresu wiedeńskiego. Samoistność celna Królestwa utrzymała się wszelako do 1850.

Różnice prawno-państwowe między traktatami politycznymi a handlowymi występują jeszcze wyraźniej w zakresie ich stosunku do korony, w krajach konstytucyjnych. Już konstytucya belgijska z 1831 zastrzegła, że król ma prawo wypowiedzania wojny i zawierania pokoju, lecz traktaty handlowe wymagają dla swej ważności uchwały izb. Ten sam przepis przeszedł do konstytucyi pruskiej z r. 1850. Znaczy to, że co do układów politycznych król posiada całą władzę prawodawczą, co zaś do traktatów handlowych musi dzielić ją z parlamentem. Podobne prawa są obowiązujące w konstytucjach innych państw niemieckich i ta sama zasada znalazła uwzględnienie w konstytucyi cesarstwa z r. 1871. Ponieważ przy odnawianiu traktatu między Rosyją a Niemcami mógłby właśnie zajść fakt niezgody korony niemieckiej z izbami, warto jeszcze stwierdzić, że wprawdzie ciała prawodawcze nie mają prawa czynić poprawek w uprzednio umówionych warunkach układu, ale mogą w całości odrzucić projekt traktatu, zaznaczając w głosowaniu nieobowiązującym, jakich zmian sobie życzą. Rząd może potem na nowo nawiązać z kontrahentem rokowania o zawarcie układu w duchu wskazanych przez parlament zmian. W Anglii odnośne przepisy konstytucyjne brzmią nieco inaczej. Tutaj bezpośrednich zastrzeżeń co do praw korony w zakresie zawierania traktatu handlowego niema; za to atoli jest ograniczenie pośrednie, które polega na tem, że, jeśli układ handlowy zmienia prawa wewnętrzne, lub na państwo nakłada zobowiązanie finansowe, natenczas do parlamentu musi być wniesiony stosowny projekt do prawa; że zaś przy zawieraniu traktatu zawsze zachodzi taki wypadek, parlament ostatecznie ma w tej sprawie głos rozstrzygający.

Każdy traktat handlowy składa się z szeregu t. zw. klauzul, czyli oddzielnych warunków, których całość tworzy ośnowę umowy układowej. Te klauzule wyrobiły się w rozwoju dziejowym i obec-

nie stanowią już po największej części gotowe formy pojęć z prawa międzynarodowego. W poszczególnych traktatach mogą zachodzić różne kombinacje tych pierwiastków, ale układ, oparty na zasadach prawidłowej teorii traktatowej, musi uwzględniać wszystkie ważniejsze klauzule. W nowoczesnym systemie traktatów, stosowanym pomiędzy państwami kulturalnymi, zawsze wchodzi do aktu układowego wszystkie te pierwiastki.

Większość traktatów rozpoczyna się od klauzuli „wolności handlowej“. Pojęcie to jednak w prawie międzynarodowym nie oznacza tego samego, co w ekonomii. Szkoła manchesterska rozumie przez handel wolny („free trade“, „libre échange“, „Freihandel“) handel bezcelny, brak podatków oraz nieograniczone współzawodnictwo. Tymczasem traktatowa wolność handlowa doskonale się rymuje z cłami ochronnymi; ma ona to tylko znaczenie, że zamiast zakazów przywozowych ustala się traktatowo uregulowana taryfa, która swobodnego dostępu (libre accès) towarów, naturalnie za opłatą umówionych cel, nie krępuje. Dlatego i terminologia jest tu inna; używane są tutaj wyrazy: „freedom of commerce“, „liberté commerciale“ lub „liberté de commerce“, „Handelsfreiheit“. To też i w słownictwie polskim można-by ściślej odróżniać „wolność handlową“, jako pojęcie traktatowe, od „handlu wolnego“, jako pojęcia z dziedziny ekonomii.

Czasami, choć rzadko, zdarza się, że w traktacie pojęcia te są identyczne; było to np. w zawartym w Berlinie (r. 1885) traktacie Konga, gdzie zastrzeżono zupełną bezcelność. Przepis ten jednak został w r. 1891 odwołany. Pewne znowu wyjątki dopuszczane są i w zakresie „wolności handlowej“ w duchu traktatowym; zastrzegają się tedy zakazy przywozu ze względu na bezpieczeństwo sanitarne, o którym decyduje policja lekarska i weterynaryjna każdego z kontrahentów. Tak samo wyłączają się od przewozu przedmioty monopolów państwowych, oraz materiały wojenny. Te wyjątki często paraliżują dodatni wpływ klauzuli o wolności handlowej.

Klauzula „wolności handlowej“ wyrażona została w ostatnim traktacie (z r. 1894) między Rosyją a Niemcami w formie ściślejszej, mianowicie w § 5 tak: „Strony, umowę zawierające, zobowiązują się nie utrudniać wzajemnych stosunków handlowych pomiędzy obudwu krajami żadnym zakazem przywozu lub wywozu i dopuszczać wolne tranzyto“. Wyjątki zaś określono w sposób następujący: „Wyjątki dopuszczają się co do towarów, które stanowią lub będą stanowiły na terytorjum jednej ze stron, umowę zawierających, przed-

miot monopolu państwowego, oraz co do wszelkich przedmiotów, które ze względów higieny, policyi weterynaryjnej, lub bezpieczeństwa publicznego, albo z innych szczególnie ważnych powodów, mogą być przedmiotem zakazów wyjątkowych“.

Drugą klauzulą traktatową jest t. zw. „najwyższe uprzywilejowanie“ (*traitement sur le pied de la nation la plus favorisée*), „most favoured nation clause“). Warunek taki polega na tem, że każde państwo, zawierające układ handlowy, otrzymuje i nadaje swemu kontrahentowi te wszystkie najwyższe przywileje, które już poprzedni i przyszli kontrahenci obu państw sobie zawarowali lub zawarują. Znaczący to innemi słowy, że każdy nowy traktat handlowy, prócz szczególnie wymówionych warunków, zastrzega sobie zawsze korzystanie ze wszystkich przywilejów, jakie układowo zostały już lub będą ustalone w innych traktatach, przez te same państwa zawartych.

W traktacie rossyjsko-niemieckim klauzula ta tak sformułowana została. „Obywatele jednej lub drugiej ze stron, umowę zawierających, będą korzystali pod wszelkimi względami z tych samych praw, przywilejów, ulg i wyjątków, z jakich korzystają obywatele kraju najbardziej uprzywilejowanego“.

Trzecia klauzula dotyczy równoprawności z krajowcami. Warunek ten ma inne znaczenie od klauzuli uprzywilejowania najwyższego, gdy bowiem to ostatnie równouprawnia tylko kontrahentów cudzoziemców pomiędzy sobą, w klauzuli o równości praw z krajowcami chodzi o to, aby cudzoziemcy byli tak samo uprzywilejowani cywilnie i społecznie, jak poddani danego państwa. W traktacie między Rosyją a Niemcami warunek ten ujęty został w taką formułę: „Obywatele jednej lub drugiej ze stron, umowę zawierających, stale lub czasowo zamieszkujący na terytorjum strony drugiej, będą korzystali z równych praw z krajowcami pod względem prowadzenia handlu i przemysłu i nie będą obciążani innemi, ani bardziej uciążliwemi opłatami, aniżeli krajowcy.“

Ostatnia jednak uwaga o równem opodatkowaniu tworzy właściwie już klauzulę samodzielną—klauzulę o równouprawnieniu podatkowym. Tu atoli występuje do pewnego stopnia fikcja prawna, bo, skoro traktat zastrzega wyjątkowe opodatkowanie celne, równości ciężarów obustronnych w ścisłym znaczeniu niema. To też klauzula o podatkach równych dotyczy tylko opłat za prawo handlu i przemysłu.

Klauzula o umownej (konwencyjnej) taryfie celnej tworzy za zwyczaj w traktacie najważniejszą jego treść. Wprawdzie nie wszyst-

kie traktaty zawierają ścisły wykaz opłat celnych, gdyż dołącza się on tylko do umów traktatowych między państwami, szczególnie zainteresowanymi w najdokładniejszym ustaleniu cel; ale gdzie taka taryfa nie jest wyszczególniona, korzystanie z niej wynika z klauzuli uprzywilejowania najwyższego.

Tak więc traktat między Rosyją a Niemcami obejmuje dokładną taryfę umowną, — w traktacie zaś między Rosyją a Austryją klauzula taryfy konwencyjnej wyrażona jest w § 2 w sposób następujący: „Rosyja zobowiązuje się przez cały czas, w ciągu którego będzie obowiązywała niniejsza konwencya, nie pobierać przy przewozie z monarchii austro-węgierskiej do Rosyi od towarów wyszczególnionych w taryfie A., dołączonej do traktatu o handlu i żegludze, morskiej zawartego d. 10 lutego 1894 między Rosyją a Niemcami, innych ani wyższych cel, aniżeli te, jakie są oznaczone w rzeczonyj taryfie.“

Zasada ścisłej wzajemności, która stanowi w traktatach między państwami ucywilizowanymi warunek nieodzowny, nie jest klauzulą, lecz sytematem nowoczesnej polityki handlowej. Wprawdzie mogą istnieć też traktaty, nie oparte na wzajemności, lecz są to umowy niedobrowolne, jeno przymusowe, wynikające z kapitulacji, z nacisku politycznego względem państw słabych, z gwarancyi opieki politycznej, z finansowej zawiśłości małych krajów itp. W układach między kontrahentami równoprawnymi wzajemność korzyści jest regułą. Mogą tu zachodzić tylko pomyłki, trudność ustalenia szans obustronnych, lub tak silna przewaga ekonomiczna jednego kontrahenta nad drugim, że, mimo wszystko, korzystać on będzie z praw wyższych; o tem jednak, iżby z góry wzajemność była wyłączona, albo tak słabouwzględniona, że jeden kontrahent ma maximum, a drugi minimum korzyści, nie może być mowy. Obie strony ściśle rozważają wartość wzajemnych równoważników i godzą się tylko na takie warunki, które ich wzajem zadawalają. W polityce handlowej naszych czasów „prześciganie się w chytrości“ utraciło swój dawny dominujący charakter.

Chcąc scharakteryzować zatarg celny, który niedawno powstał między Niemcami a Rosją przed odnowieniem obowiązującego traktatu, należy przede wszystkim dokładnie zbadać tło społeczno-gospodarcze i polityczne, na jakim walka ta się rozgrywa. Wiadomo już bowiem, że w traktacie nowoczesnym nie chodzi o prześciganie się w podejściach, lecz o godzenie, harmonizowanie często sprzecznych i różnokierunkowych interesów nietylko państw układowych, ale też grup zawodowych, których równorzędne uwzględnienie traktat ma uregulować. W ustaleniu układu handlowego ma się więc wyrazić z obu stron dążność polityki ekonomicznej dwóch państw, zawierających taką konwencję,—dążność, która, wobec różnobieżnych interesów zawodowych nowoczesnego ustroju gospodarczego musi być niejako syntezą interesów sprzecznych.

Rozważmy najpierw, jakie są w najogólniejszych zarysach prądy gospodarcze w Niemczech. Pomocą tu będą nam wskazówki, zawarte w dwóch przemowach ekonomistów niemieckich, wyobrażających dwa odmienne kierunki polityki ekonomicznej Niemiec. Równocześnie prawie wypowiedzieli swój sąd publiczny o znaczeniu tego czy innego prądu polityki traktatowej: prof. Lujo Brentano, przeciwnik dążeń ultra-agrarnych, zwolennik z pewnemi zastrzeżeniami opieki dla industrializmu, oraz prof. Adolf Wagner, ekonomista szkoły socjalno-państwowej, stronnik wydatnej ingerencji państwa w sferze stosunków gospodarczych, tak przemysłowych, jakoteż rolnych, obrońca równowagi rolniczo-przemysłowej. Bretano tłumaczy, dlaczego w Niemczech nagle powstał na nowo protekcyjizm celny. Uwydatnia on, że zachodzi ważna różnica usposobień między obecnymi przedstawicielami przemysłu niemieckiego a przemysłowcami w czasach „anticorn-law-league“ w Anglii. Angielska liga przeciw cłom zbożowym była nietylko wynikiem przekonania, że w zasadzie handel wolny jest zbawienny, ale też skutkiem danego ukształtowania się interesów przemysłu wielkiego w ówczesnej Anglii. Ten przemysł, przeważnie tkacki, bawełniany i wełniany, potrzebował dużego zastępu tanich rąk roboczych, którym należało zapewnić chleb tani. Ceny wyrobów fabrycznych spadły na poziom kosztów wytwarzania, musiano więc dążyć zarazem do dalszego obniżenia tych kosztów i do otwarcia nowych rynków zbytu dla swych fabrykatorów. W Niemczech dzieje się inaczej: tutaj dominuje obecnie wielki przemysł metalurgiczny, który ma główne widoki zbytu na rynku



wewnętrznym i którego powodzenie zależy w znacznej mierze od zamówień rządowych. Dla tego samego już chodzi tutaj raczej o podniesienie cen fabrykatów w kraju, a zatem i o ogólną zasobność kraju, zależną też od wysokich cen zboża. Syndykaty, które w zakresie przemysłu metalurgicznego z taką siłą rodzą się w Niemczech, jako koalicje, równoważące współzawodnictwo, pozwolą później nadmiary wytwórczości krajowej po tanich cenach wywozić za granicę, a różnicę cen zapłaci rynek wewnętrzny. Stąd też wnosić można, że w gruncie rzeczy wielki przemysł, często zresztą skojarzony z wielką własnością ziemską, ma tu interesy dość identyczne. Dodamy, że takie połączenie tych prądów ekonomicznych pozwala rządowi liczyć na większość agrarną w parlamencie. Oczywiście Brentano nie jest zwolennikiem tych kierunków, lecz tylko tłumaczem faktów konkretnych.

Inaczej Ad. Wagner. On ze swego stanowiska socjalisty państwowego, nie tyle popierającego interesy społeczne ludu, ile dążności mocarstwowe rządu, on, który teorie ekonomiczne po części wynasuwał z polityki Bismarcka i na odwrót znowu państwowej polityki gospodarczej w Niemczech był inspiratorem,—on proteguje obecnie spotęgowany agraryzm i usiłuje ująć go w system naukowy. Dowodził wprawdzie w swym odczycie, wygłoszonym w Wiedniu w stowarzyszeniu społeczno-politycznym, że nie zajmuje postawy, ani agrarnej, ani industrialnej, lecz taką, która ma na celu „trwałą korzyść ogółu,” lecz ta jego postawa dobra powszechnego wygląda na obronę interesów sfer możnych.

Przedewszystkiem zaznaczył, że często trzeba poświęcać nawet korzyści warstw pracujących na ołtarzu ważnych interesów publicznych. Interes narodowy (czy też mocarstwowy) gra, jego zdaniem, rolę przodującą. Z tego kąta widzenia szkody spożywców mogą zostać wyrównane przez korzyści wytwórców. Wagner ostrzega przed stanowczą przemianą państwa rolniczego na wyłącznie przemysłowe. Zagadnienie to jest donioślejsze od handlu wolnego i cła opiekuńczego, które stanowią tu tylko współczynniki drugorzędne. Para króluje jeszcze, lecz w obecnym okresie jej królowania doznano już dotkliwych zawodów społecznych. Ciężar problemu robotniczego wzmógł się wśród tak wielkiego rozwoju techniki. I Anglia, która dokonała już stanowczego przełomu w kierunku przemysłowym, zupełnie zniszczywszy swe tradycje rolne, nie rozwiązała, ani nie złagodziła zagadnienia społecznego. Owszem, jej dzisiejsza zależność od zboża obcego nie jest ani politycznie słuszna, ani ekonomicznie rozumna.

Ewolucya społeczna i polityczna, jaka się dokonała z Anglii pod wpływem rozwoju przemysłowego, nie może być pożądaną dla państw kontynentalnych. Historia świata nie wykazuje państwa w którym-by, podobnie jak w Anglii, nagromadzono tyle bogactwa obok takiej nędzy. Proletaryat mieszka w dzielnicach, do których nie odważy się wejść człowiek przyzwoity, a tuż obok sterczą dumnie pałace magnatów. Niemcy nie doszły do takiego rozwoju, lecz też rolnictwo nie podupadło bezwarunkowo, tylko stosunki celne niepomysłnie oddziałują na stan rolny. Na pokrycie swych potrzeb społecznych musi państwo niemieckie sprowadzać 5—10% żyta i 30% pszemcy. Jest to zależność szkodliwa zwłaszcza na wypadek wojny. Wprawdzie z drugiej strony bezpieczeństwo rozwoju przemysłowego wymaga, aby Niemcy miały zawsze trwałe i wystarczający wywóz swych wyrobów fabrycznych, lecz zachodzi pytanie, czy pewnem jest, że zagranica będzie stale dostarczała w należytej ilości surowych materiałów rolnych i czy równocześnie będzie odbierała płody przemysłu niemieckiego? Raczej wątpić trzeba, czy w dalszym ciągu dokonywać się będzie wzrost wywozu artykułów przemysłowych, bo kraje przemysłowe czynią sobie coraz większe współzawodnictwo. Tymczasem wzmagą się ciężenia ludności wiejskiej do miast, a jest to, zdaniem Wagnera, objaw niepomysłny. W Rzymie za późniejszego cesarstwa doszło do tego, że wskutek przywozu zboża taniego rolnik nie mógł się już utrzymać, a żołnierze nie mogli rekrutować się z pomiędzy rolników.

Tu w dalszym ciągu znakomity ekonomista niemiecki wygłosił panegiryk na cześć rolników i junkrów niemieckich, a w szczególności na cześć Bismarcka, którego profesor Wagner nie może sobie wyobrazić jako mieszczanina. Tylko z pomiędzy wieśniaków mogą wyrastać tak dzielni mężowie! W konkluzji mówca przyznaje, że droga od państwa rolniczego do przemysłowego leży w naturze rozwoju nowoczesnego, ale tak gwałtownie szybko, jak w czasie ostatnim, przebywać jej niema potrzeby. Taki przewrót, jak angielski, byłby dla krajów kontynentalnych wręcz złowrogim. Trzeba dążyć do środków, które, nie powstrzymując tego rozwoju, ukształtowały-by tempo jego wolniejsze, a stąd też korzystniejsze dla ogółu stosunków. Wiadomo, że każde cło ochronne ma swoje złe strony, lecz cło to, choć podraża żywność, powstrzymuje niżkę cen zboża, a ani w teorii, ani w praktyce niema innego środka na poparcie rolnictwa. Wagner żąda tego cła, aby przemysł i wywóz mogły być zbudowane na podstawach zdrowych, to jest na rolnictwie. Jeśli chleb drogi stanie się ciężarem dla warstw niższych, to jednak pamiętać należy, że

nikt, a więc nawet robotnik, nie jest wolny od ponoszenia ofiar na rzecz dobra powszechnego.

Pomimo całej paradoksalności i szowinizmu tych wywodów, nie można ich lekceważyć: są to bowiem nietylko teorye polityczne, ale też teorye społeczno-gospodarcze, wprawdzie próby naukowej nie wytrzymujące, lecz odbijające realny kierunek dążeń we wpływo- wych grupach społecznych w Niemczech. Ostatecznie podług tych przekonań, które Wagner ujmuje w doktryny, urobiły się w Niem- czech pewne prądy prawie żywiolowe, a od wyniku starcia tych prą- dów z kierunkami interesów innych znowu grup społecznych zależeć będzie rozstrzygający rezultat walki. Dlatego Brentano słusznie zwró- cił uwagę na prawdopodobieństwo aliansu politycznego i ekonomicz- nego agraryuszów z wielkim przemysłem metalurgicznym. Brenta- no potępia ideowo i moralnie taki sojusz interesów samolubnych; jego społeczno-gospodarcze sympatye nie są po stronie tego przymierza, jego ekonomicznym punktem widzenia nie dogadza to stanowisko; ale jako socyolog, który musi uwzględniać życie realne, nie zamyka oczu na możliwe, nawet prawdopodobne, acz niepożądane, uwarun- kowanie się rzeczywistości. Bądź jak bądź, bardzo wpływową i do- niosłą rolą w rozstrzygnięciu zagadnienia traktatowego przypadnie w Niemczech tym żywiolom, których ideały polityczne i gospodarcze streszczają się w junkierstwie agrarnem i kapitalizmie, przez pań- stwo protegowanym, oraz protegującym niemieckie cesarstwo konser- watywno-militarne. Naturalnie z drugiej strony wystąpią tu do wal- ki: mieszczaństwo kupieckie, ze swemi dążnościami wolno-handlowe- mi, oraz warstwy materialnie uzależnione, pod naciskiem wielkiej własności ziemskiej i kapitalizmu zostające, a usiłujące przełamać przewagę klas uprzywilejowanych. I oto te grupy społeczne, które tworzą obóz przeciwny, które z jednej strony wyobrażają liberalizm „laissez-faire'yzmu,“ a z drugiej reformę socyjalną, tak samo połączyć się mogą w sprzymierzoną gromadę, szturmującą do warowni agrar- no-kapitalistycznej. Ściśle więc biorąc, całość społeczeństwa nie- mieckiego, które będzie miało głos w tej sprawie, składa się z czterech pierwiastków: 1) agraryuszów, 2) producentów kapitalistycznych, chroniących się pod skrzydła opiekuńcze państwa, 3) mieszczań- stwa, hołdującego wolności handlowej i 4) stronników daleko idącej reformy społecznej. Te cztery pierwiastki przedstawiają wszyst- kie współczesne kierunki gospodarczych dążności, bo każde społec- zeństwo nowoczesne złożone jest jeszcze z takiego konglomeratu grup o rozbieżnych interesach. Tem też uwarunkowana jest polityka ekonomiczna każdego państwa, lecz w Niemczech, jak się zdaje, konserwatyzm rolny, sprzymierzony z industrializmem, a korzystający

z faworów korony i rządu, ma siłę, która w znacznej mierze odbić się musi na systemie traktatowym. Na siłę tę składa się duża jeszcze żywotność Niemiec, jako państwa agrarnego, oraz polityka mocarstwowa, rachująca się z wpływami stronniczymi wielkiej własności ziemskiej.

A teraz z kolei należy rozważyć kierunki społeczno-gospodarcze, panujące w państwie Rosyjskiem. Tutaj ze względu na określone dążności polityki ekonomicznej, uwarunkowane wskazówkami rządu, oraz na stan gospodarstwa narodowego, stosunek ogólny interesów do sprawy traktatowej jest mniej skomplikowany. Rosya ze stanowiska gospodarczego przedstawia państwo, przedewszystkiem wydatnie rolnicze, które, produkując olbrzymie ilości płodów rolnych, musi z tego powodu dążyć do uzyskania rynków zbytu dla nadmiarów swej wytwórczości artykułów surowych. Pierwszym więc dla Rosyi warunkiem traktatu jest takie ustalenie cel zbożowych w krajach, z któremi układ handlowy zostaje zawartym, aby cła te przywozu zbóż rosyjskich nie utrudniały i przez wysokość swą nie oddziaływały na rynkach międzynarodowych na zniżkę cen płodów rolnych. Tu bowiem wyjaśnić trzeba, że cła zbożowe podnoszą wprawdzie ceny zboża (może nie w stosunku całej wysokości cel) na rynkach krajów, cła przywozowe pobierających, ale, utrudniając jednocześnie zbyt płodów rolnych na ogólnych rynkach, wywierają zniżkowy nacisk na ceny. Tym sposobem wysokie opłaty celne w danym kraju są dla państw, które wytwarzają na wywóz, nie tylko szkodą bezpośrednią, lecz też pośrednią, i stąd wygórowane stanowisko protekcyjne Niemiec mogło-by nie tylko ścieśnić dowóz zboża rosyjskiego na targi niemieckie, ale też przyczynić się do obniżenia wartości płodów rolnych wogóle. Zniżony poziom cen zboża na rynkach rosyjskich i naszych datuje się od czasu pierwszych cel zbożowych, przez Bismarcka wprowadzonych, a traktat z 1894 w każdym razie skutkował poprawę konjunktur handlowych dla zboża rosyjskiego i polskiego. Samo się więc przez się rozumie, że, ponieważ układ handlowy musi być aktem, na wzajemności interesów opartym, nie można sobie wyobrazić traktatu na warunkach, w których jeden z kontrahentów nie ma nic do ofiarowania drugiemu. W tem położeniu znalazły-by się Niemcy, gdyby nieodmiennym ich zamiarem było podniesienie cel zbożowych. Z drugiej strony Rosya jest krajem przemysłowym, znajdującym się w fazie bardzo znacznego rozwoju produkcji fabrycznej. Ta wytwórczość rośnie i rozszerza się pod wpływem cel opiekuńczych, o ile możliwości ustosunkowanych do warunków rozwoju. Przemysł rosyjski, obliczony na taką protekcję celną, musi z niej w dalszym ciągu korzystać. Rosya nie może w swoim syste-

nie taryfowym czynić wylomów gwałtownych bez wywołania wstrząśnięć na polu działalności ekonomicznej. Ale mając przemysł niejednolity, nierównomiernie wzrastający, w pewnych zakresach już dojrzały, w innych zaledwie zapoczęty, mając przytem olbrzymie rynki spożycia, których wewnętrzna produkcya w pełni zaspokoić nie może, Rossya bez szkody dla swego przemysłu jest w możności ofiarowania kontrahentowi ustępstw celnych pod względem całego szeregu artykułów przywozowych, które albo wcale współzawodnictwa nie czynią wyrobom rossyjskim, albo słusznie konkurować powinny z przemysłem krajowym, już dostatecznie wygórowaną opieką<sup>7</sup> celną w przeszłości popartym.

Dlatego też uprzednio przyznana Niemcom i dotychczas obowiązująca dla wszystkich krajów, traktatowo uprzywilejowanych, taryfa konwencyjna Rossyi zawiera znaczne zniżki celne w porównaniu z taryfą generalną. Korzyści przemysłu niemieckiego, mającego najłatwiejszy dla Rossyi przystęp, były tu widoczne. Gdy w r. z. skutkiem wydatków wojennych na wyprawę chińską rząd rossyjski uciekł się do wyżek celnych, mógł to uczynić tylko w zakresie tych artykułów, których cło traktatowo nie było ustalone, a więc tych właśnie, które dla wywozu niemieckiego mniejszy interes przedstawiają. Oczywiście wszystkie główne przywileje mogły-by być przy odnowieniu traktatu w dalszym ciągu udzielone Niemcom, a nadto, ponieważ doświadczenie przekonało już, jak w praktyce układ oddziaływał, można-by go ściślej jeszcze pogodzić z interesami obu stron. W każdym razie ze strony Rossyi nic nie stało na przeszkodzie do odnowienia układu. Nie wyłoniły się tutaj żadne nowe prądy polityczne, ani gospodarczo-społeczne, które-by zalecały wkroczenie na pole zmienionych kierunków ekonomicznych, warunkujących przeistoczenie zasad traktatowych. Ale zarazem trzeba się było tylko umocnić w przekonaniu, że Niemcy posiadają dla Rossyi jeden tylko ekwiwalent traktatowy: niższe cła zbożowe, i że bez tego warunku wzajemności Rossya nie miała-by żadnej potrzeby i żadnego interesu odnawiać konwencyi z cesarstwem niemieckiem.

Zdajmy sobie teraz sprawę, jak ukształtowały się tymczasem stosunki polityczne w Niemczech, i jakie jest tu stanowisko dominujące wobec sprawy układu handlowego.

Przygotowaniami do traktatów zajął się już rząd niemiecki na początku r. b. Powołano w tym celu odpowiednią komisję rządową (*Wirtschaftlicher Ausschuss zur Vorbereitung der Handelsverträge*), a równocześnie urząd skarbowy cesarstwa przystąpił do rewizyi przepisów celnych, aby stosownie ustalić warunki zasadnicze, w których pomieścić się ma nowy układ. Ale i koła polityczne tudzież

sfery zawodowe jęły się gorączkowej i agitacyjnej pracy nad sprawami, z układem handlowym mającemi związek. Zawrzało więc w stowarzyszeniu rolników („Bund der Landwirte“), w „Towarzystwie traktatowem“ („Handelsvertragsverein“), na niemieckim sejmiku handlowym („Deutscher Handelstag“), a wreszcie na różnych wiecach. Tu właśnie zarysowały się dążności i teorye, które wyżej już scharakteryzowaliśmy. Sprawę wniesiono za pomocą interpelacyi stronnictw zachowawczych na porządek dzienny sejmu. I wtedy to zaszła pierwsza niespodzianka sensacyjna; ministrowie: Miquel, Hammerstein i Posadowsky obwieścili reprezentacyi narodowej, że rząd nietylko sprzyja zamiarowi podniesienia ceł zbożowych, lecz bierze już na się poniekąd zobowiązanie, iż podniesienie takie nastąpi. Pokazało się, że komisya urzędowa do sprawy traktatów ma stanowczą większość za podwyżką, a naturalnie większość tę wytworzył nacisk agitacyi junkrów. Ministrowie bez żadnych już ogródek oznajmili, że obecne cła na pszenicę i żyto, wynoszące 3½ m., zostaną podniesione do 5. Pod tem wrażeniem szal radości owładnął stronnictwami junkierskiemi, lecz zarazem zaostrzyły się apetyty nienasycone. Uroszczenia jeszcze wzrosły. Już i cła podwójne niezadowolili-by właścicielei wielkiej własności pruskiej. Chcą oni ceł 8-mio, ba nawet 10 markowych, i chcą nietylko ceł, lecz takiego unormowania na swą korzyść taryf przewozowych, aby i w nich zawierała się ochrona rolna. Uważają oni za szkodliwy dla rolnictwa, za niekonstytucyjny nawet, artykuł traktatu handlowego, zastrzegający, że w komunikacyi bezpośredniej i tranzytowej nie będą pobierane opłaty przewozowe niższe od opłat lokalnych. Słowem, widząc dobre skutki swego nacisku, agraryusze pretensye swoje podnieśli do takiej potęgi, że wprost żądali ceł i taryf zakazowych. W tem mieści się oczywiście tylko charakterystyka nastroju psychicznego pod wpływem odniesionego już w zasadzie zwycięstwa, bo takich uroszczeń i junkrofilski rząd uwzględnić-by nie mógł; nie mniej jednak zobowiązanie zwyżki ceł istniało, a niebawem zostało jeszcze wzmocnione. Przyszedł do władzy nowy kanclerz, hr. Bülow, i jednym z pierwszych czynów jego brawury politycznej było solenne oznajmienie, że rząd całkowicie uznaje niepomysłny stan rolnictwa niemieckiego, a dlatego skłonny jest do odpowiedniego podniesienia ceł na płody rolne. Wtedy sejm pruski większością imponującą oznajmienie to, będące odpowiedzią na interpelacyę hr. Limburg-Stirum, powitał i przypieczętował. Bądź jak bądź, stało się faktem, że rząd rzeszy niemieckiej z całą stanowczością dąży do wygórowanej ochrony rolnej. Stało się więc faktem, że rząd ten zaofiaruje kontrahentowi, jako kompensatę za przemysłowe ustępstwa celne, znacznie ze swej stro-

ny podwyższone opłaty cła od płodów rolnych. Liczono widocznie w Berlinie na to, że kontrahent będzie miał pobłażanie dla postawy politycznej, wytworzonej przez konjunktury wewnętrzne.

Kontrahent nie okazał jednak słabości. W odpowiedzi na deklaracje rządu niemieckiego ukazały się w organach rosyjskiego ministerium finansów (w „Wiestniku Finansow“ i w „Torgowo-Promyszl. Gazecie“) wyjaśnienia, które powinny-by rozwiać złudzenia berlińskie. „Ten, kto z góry oznajmia, — czytamy w tych artykułach, — że postanowił podnieść opłaty celne na przywożone towary, oczywiście rozważył, że, jeśli tego oręża użyje przeciw mocarstwu silnemu i niezależnemu, to wzajem spotka się z całym szeregiem środków, krępujących wywóz jego towarów...“ „...Gdy sprawa przejdzie na grunt międzynarodowy, — czytamy dalej, — trzeba będzie zważyć siły ekonomiczne nie stronnictw, lecz państw, i wyrozumieć, kto komu, przy obecnym ustroju gospodarczym stosunków międzynarodowych, jest potrzebniejszy, i dla kogo dotkliwsze będzie zerwanie stosunków układowych. Wówczas cały istotny stan interesów na jaw wyjdzie i uwydatnią się realne potrzeby, a szale osobistej sprawiedliwości tego, czy innego ministra, nie będą wtedy określały równowagi sił stron, zawierających umowę“. „Jeśli jedna strona pomija grunt korzyści wzajemnych i pragnie zadowolić się zaspokojeniem interesów egoisty znych, niebaczna, że wyrządza szkodę stronie drugiej, to na takich warunkach mogła-by ona zawrzeć traktat z państwem bezsilnym i zależnym od niej, ale nie z Rosyją, która, wprawdzie sama czerpie korzyści z handlu, lecz i innym otwiera rozległe i zyskowne rynki. Jeśli utrudnione zostaną warunki zbytu towarów z państwa rosyjskiego do innego państwa, to samo przez się rozumie się, że i Rosya utrudni przywóz tamecznych towarów, co dla strony przeciwnej będzie stratą tem dotkliwszą, iż właśnie w czasie ostatnim dowóz z za granicy do państwa rosyjskiego znacznie się wzmógł, pod wpływem rosnącego przemysłu, którego potrzeby machin, narzędzi, towarów surowych i różnych innych artykułów wytwórczych powiększyły się...“ „...Niektóre państwa, jak naprzykład Niemcy, znakomicie skorzystały na tym popycie rosnącym; gdyby więc one wyrzekły się stosunków handlowych z Rosyją, to wszystkie te przedmioty z łatwością można-by uzyskać u współzawodników Niemiec, a zarazem można-by im odprzedawać zboże rosyjskie“.

Prócz tych ogólnych ostrzeżeń, organy ministerium finansów poruszyły jeszcze temat zasadniczego znaczenia układu handlowego. „Traktat — przypominają one — nietylko określa warunki wymiany towarów, lecz także stosunki cywilne i społeczne dwóch narodów. Osoby, urodzone w jednym z państw układowych, a stale, albo tymczasowo-

wo przebywające na terytoryum państwa drugiego, korzystają z praw równych z krajowcami pod względem handlu i przemysłu... Korzystają one ze wszystkich praw, przywilejów i wyjątków, przyznanych poddanym państwa, najbardziej uprzywilejowanego. Rossya jednak nie używa w tej mierze tak znacznych korzyści, bo poddani jej rządu wyjeżdżają do krajów obcych, by tam prowadzić handel i przemysł. Przeciwnie, do Rossyi obcokrajowcy przybywają w znacznej liczbie; młody przemysł i handel rossyjski ma szczególną siłę przyciągającą dla przedsiębiorczości poddanych tych państw, którym coraz trudniej na miejscu znajdować zarobkowanie. Na wypadek zerwania traktatu, cudzoziemcy utracili-by te korzyści. Rossyi strata nie dała-by się prawie odczuć, ale poddani innych państw, a w szczególności Niemcy, oddawna uprawiający na terytoryum rossyjskiem różne przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe, doznali-by dotkliwego uszczerbku". „W ogólności—czytamy w dalszym ciągu—w całym bilansie bogactwa narodowego Niemiec interesy ich poddanych, przebywających w Rossyi, stanowią sumę znaczną, a wartość jej warunkuje się także w dużym stopniu temi rękojmiami, które cudzoziemcom nadaje układ handlowy“... „...Rossya bezwarunkowo więcej i szczerzej daje kontrahentom traktatowym, niżeli sama odbiera; ani kupcy rossyjscy nie prowadzą znacznych przemysłów i obrotów handlowych za granicą, ani poddani rossyjscy nie udają się tam w pogoni za kawałkiem chleba, ani kapitały rossyjskie tam nie szukają pomieszczenia, gdyż dość jeszcze pracy, miejsca i interesów jest na własnem terytoryum“... „...Chociaż zaś Rossya wysoko ceni pokojowe obcowanie handlowe z innemi państwami, skoro jej grożą dotkliwe szkody dla zbytu płodów jej wytwórczości głównej, potrafi ona znaleźć sobie równoważnik na szalach współczesnego ustroju spraw ekonomicznych“.

Z tych obustronnych wynurzeń urzędowych i półurzędowych wnosić można, że stosunki kontrahentów w tej chwili silnie się zaostrzyły. W Niemczech zdecydowano się na wygórowane cła rolne, w Rossyi uznano cła takie za *casus belli* w sferze wzajemnej wymiany handlowej i z całą stanowczością stwierdzono, że pod warunkiem opłat celnych, szkodliwych dla wywozu zboża rossyjskiego, traktat nie może przyjść do skutku. I jest to fakt bardzo naturalny. Warunek ceł, krępujących wywóz płodów rolnych, był-by warunkiem, sprzecznym z prawem bytu traktatu. Bez przedmiotu kompensacyjnego, bez wzajemności, jak wyjaśniliśmy, nie może powstać umowa, której osnową i zasadą jest interes wzajemny. Wykroczone-by przeciw maksymie: *do ut des*, stanowiącej społeczno - gospodarcze



uwarunkowanie układu międzynarodowego, który dąży do rękojmi w zakresie udogodnienia handlu.

Po tych pierwszych starciach politycznych nastąpiło na czas dłuższy zawieszenie broni. W Niemczech nie przestano się wprawdzie sprawą traktatową zajmować, ale w publicznych wywnrzeniach nastąpiła przerwa, a wogóle prasa przybrała ton powściągliwszy i umiarkowańszy. I z drugiej strony nie było już powodów do silnego akcentowania swego stanowiska, bardzo wyraźnie i z wielką mocą w swoim czasie wyrażonego. Zaszedł tylko jeden ważny wypadek, mogący mieć pośredni z traktatem związek.

W rządzie pruskim dokonano się zmiany ministrów, wywołane niezadowoleniem Korony z nieprzejednanego stanowiska stronnictwa zachowawczego i jego bezwzględnej opozycji w sprawie kanałów, pomimo, że ministrowie (Miquel, Hammerstein i Biefeld) czynili liczne temu stronnictwu ustępstwa. Można przypuszczać, że nawet zobowiązania w przedmiocie cel zbożowych miały być też ceną za zjednanie sobie przychylności agraryusów. Tymczasem ci, mimo te obietnice, nie przelamali oporu swego. Stąd następuje się wniosek, że ustępczość względem oponentów junkierskich była taktyką chybioną, i że rząd, nabrawszy takiego przeświadczenia, skłania się ku zmianie kursu. Czy zmiana ta aż tak daleko zajdzie, że cofnięte zostaną obietnice w kwestyi traktatów, to pytanie jeszcze przedwczesne; ważnem jest jednak, iż ze związanych przyrzeczeniami celnymi względem reprezentacji narodowej ministrów pozostał u władzy sam tylko kanclerz, hr. Bülow, który dał zresztą zobowiązanie zasadnicze, lecz się co do wysokości cel nie obligował. W tem położeniu nowy rząd ma w każdym razie zadanie ułatwione na wypadek, gdyby ostatecznie przyszło mu zmienić postawę w sprawie ochrony przemysłu rolnego.

Sprawa szans zawarcia nowego traktatu wyświetli się jednak dopiero później, bo obecny układ, jak wiadomo, upływa na początku roku 1904, a wypowiedziany być powinien na rok wcześniej, dość więc czasu jest do namysłu i do utorowania drogi porozumieniu.

Ale uświadomiwszy sobie już teoretyczne znaczenie traktatu i warunki polityczno - ekonomiczne, które w tej chwili utrudniają nawiązanie układu nowego, należy jeszcze rozważyć bezpośrednio interesy kraju tutejszego, skojarzone z traktatem i wogóle wkraczające w sferę wzajemnej wymiany handlowej między Niemcami a całym Państwem Rossyjskiem.

Jeżeli w ciągu ostatnich lat kilkunastu radykalnie przeistoczyły się stosunki rolne Królestwa Polskiego; jeżeli z kraju, wywożącego znaczne nadmiary swoich plonów za granicę, Królestwo stało się krajem, zniewolonym już pokrywać braki spożywcze przywozem z Cesarstwa

zbóż; jeżeli najnowsze badania statystyczne (ob. „Bilans handlowy Królestwa“ Żukowskiego i prace delegacyi statystycznej przy sekcji handlowej) przekonywają, że saldo naszego bilansu handlowego w ruchu płodów rolnych czyni na naszą niekorzyść około 20 milionów rubli; to takie gwałtowne przejście „od kraju agrarnego do przemysłowego“ — by tu użyć określenia Wagnera — za objaw prądowy uznane być nie może. Zaszczepił się wprawdzie tymczasem przemysł, rozwinął się ustrój przedsiębiorczości i kapitalistycznej, położyła się nawet zamożność ogólna kraju, lecz przełom był nadto raptowny, i dla tego nie oszczędził nam dotkliwych skutków przesilenia przemysłowego, które przechodzimy jeszcze dotychczas po okresie spekulacyjnej gorączki przemysłowej. Kraj z dawien dawna rolniczy, w ziemiańskich tradycjach kulturalnie wyrosły, dzięki swym warunkom przyrodzonym do pracy na roli przeznaczony i przyuczony, nie może i nie powinien nigdy utracić tego charakteru swojego, a jeśli ujawniają się tu zwroty tak nagłe, to niewątpliwie obok prądu kapitalistycznego wchodzi w grę i wyjątkowe okoliczności, niezależne od wewnętrznych stosunków. Wzrost przemysłu jest zjawiskiem ekonomicznie pomyslnem, lecz w kraju, mającym warunki gleby, klimatu i tradycyi społecznych, tak dla przemysłu rolnego dodatnie, należało-by dążyć do współmiernego rozwoju wytwórczości rolnej i przemysłowej. Dzieje się atoli inaczej, bo zaznaczyła się widoczna reakcyja na niekorzyść rolnictwa, nawet pomimo umiejętnego zwalczania wielu przeciwności, pomimo postępów wydatnych na licznych polach wytwórczości rolnej, oraz pomimo znacznego rozwoju intelektualnego i fachowego młodszych pokoleń rolników naszych. A ujemny ten przewrót jest w samej rzeczy następstwem z jednej strony ceł zbożowych niemieckich, z drugiej zaś współzawodnictwa na rynkach wewnętrznych taniego zboża z odległych gubernii Wschodu i Południa. Tym właśnie sposobem odcięci zostaliśmy od przyrodzonych pól zbytu, od żeglugowego przewozu zbóż po przez całą długość Wisły, od tradycyjnego dla nas portu Gdańska. Zarazem na rynkach handlowych Państwa Rossyjskiego nasze płody rolne prawie zrównały się z wartością płodów z tych okręgów, które obfitują w tanią ziemię stepową i w tanią robociznę. To zniwelowanie różnic cen zboża, pomimo nadzwyczajnej różnicy kosztów wytwórczości, pochodzi stąd, że taryfy różniczkowe na kolejach żelaznych rossyjskich sprzyjają łatwemu przerzucaniu ładunków zbożowych z najdalszych punktów państwa, skutkiem czego ceny wszędzie normują się podług wartości ziarna w miejscach najtańszej produkcji więcej koszty przewozowe.

Z tego więc stanowiska rzeczy oceniając, nastrecza się domniemanie, że dla Królestwa mogło-by być obojętnem, jak się ustala cła zbożowe w Niemczech; narzucal-by się bowiem wniosek, iż, skoro obecnie nie mamy już nadmiarów, nadających się do wywozu, lecz, owszem, posiłkujemy się na własne potrzeby spożywcze zbożem rosyjskiem, nie obchodzi nas eksport do Niemiec. Ale taki wniosek był-by zgoła błędnym. Przedewszystkiem Królestwo nie może się wyrzec nadziei, iż z czasem powróci do swej naturalnej roli gospodarczej, do roli produkowania zbóż na wywóz, gdyż chwilowy zastój jest tylko wynikiem zbiegu niepomyślnych okoliczności zewnętrznych; powtóre, pomimo tego, że wywozimy tylko ekwiwalent stosownego przywozu z Cesarstwa, jesteśmy eksportem zainteresowani, bo właśnie wtedy wywozimy, gdy konjunktury sprzyjają na naszą korzyść takiemu wyrachowaniu handlowemu; nadto za granicę wychodzą nasze nasiona, do czego przystosowano już produkcję wobec upadku eksportu zbożowego, a i cła od nasion uległy-by podwyżce; nakoniec zaś, jak to już wyjaśniliśmy wyżej, całe normowanie się cen płodów rolnych na wszystkich rynkach świata zależy od poziomu ciał w Niemczech, gdyż im wyższe będą te cła, tem niżej kształtować się muszą ceny na rynkach bezcelnych. Te wszystkie względy podtrzymują nasz bezpośredni interes w zakresie ustalenia ciał traktatowych. I dla kraju tu-tejszego cła rolne są najważniejszym równoważnikiem za te korzyści ekonomiczne, które Niemcy wyciągają z udogodnionego z mocy traktatu obcowania handlowego z Królestwem.

Naturalnie uporządkowany stosunek handlowy z państwem pogranicznym jest w zasadzie już prawidłem, do którego dążyć należy, a więc i z tego punktu widzenia musimy pragnąć traktatu. Wtedy jednak będzie on istotnie pożytecznym, gdy korzyści się zrównoważą, gdy upośledzenia nie będą po jednej tylko stronie, a przywileje największe po drugiej, gdy na szali przedmiotowej oceny zobopólnych interesów zostaną zważone przedmioty kompensacyjne.

Królestwo, jako bezpośrednio sąsiadujące z Niemcami, jest głównym gruntem, na którym skutecznia się mnożstwo obrotów, wynikających ze stosunków pogranicznych. I tu pokazuje się, że zachodzą liczne nieprawidłowości i brak równowagi, że cała przewaga korzyści jest po stronie Niemiec. Z wiarogodnych i dobrze powiadomionych kół posiadamy w tej mierze bardzo charakterystyczne wskazówki. Domy handlowe pograniczne po naszej stronie zapewniają, że Niemcom udało się przy pomocy całej sieci doskonałych urzędzeń z centrów swego kresowego handlu: z Katowic, Wrocławia, Bydgoszczy, Bytomia, Królewca, Torunia po prostu zeskamotować wszelki przemysł i handel w znacznej części okręgu, przylegającego do ich

terytorium. Stało się więc, że główny handel drzewny znalazł się w ich rękach! że przeszło połowę wszystkich obrotów zbożem, mąką, otrębami i makuchami oni zagarnęli; że eksport nierogaczyny, ptactwa domowego, gęsi, jaj, skór, wełny, chmielu i t. p. jest przez nich prowadzony; że nawet przedmioty wywozu, przeznaczone do Francji, Belgii i Anglii, przedewszystkiem przejść muszą przez pośrednictwo ich komisyonerów. W tym względzie pomocni im są urzędowi konsulowie, którzy na każde pytanie kupców bezzwłocznie odpisują, dając jak najszczegółowsze wiadomości o stosunkach handlowych. Niemcy założyli w Toruniu port i giełdę drzewną, dzięki którym stali się panami całego spławu i rynku drzewa w Królestwie. Zaszło tu takie szczególne zjawisko, iż w państwie obcym dokonywa się cały handel hurtowy płodami kraju naszego. To, co z położenia kraju geograficznego i z natury stosunków należało się Warszawie, wydarte jej zostało przez pruskich handlarzy, którzy w Toruniu tak te obroty zorganizowali, iż tam skupia się ruch drzewny, tamtędy tylko drzewo przepływa, tam odbywa się przeładunek z wagonów szerokotorowych na wązkotorowe. Podobne anomalie panują tak samo w handlu lnem, kopiami, wełną. Nawet w zakresie obrotów bankierskich banki pruskie na pograniczu zawładnęły wszystkimi obrotami, wynikającymi z wzajemnego ruchu handlowego. Jeszcze znamiennejsze jest to, iż Prusacy pośredniczą w całym handlu żelazem, cynkiem i blachą hut polskich, i że wykupują olbrzymie ilości węgla dąbrowskiego, aby je potem ze znakomitym zyskiem znowu odprzedawać... Częstochowie, Łodzi i Warszawie. Wszystkimi temi operacyami kierują firmy pograniczne przeważnie tylko za pomocą korespondencyi, tak, że często noga kupca pruskiego nie staje na gruncie tutejszym, a tem bardziej nie ponosi on żadnych ciężarów państwowych, ani obowiązków obywatelskich, wyciąga zaś z tego handlu korzyści nadzwyczajne.

Stosunki takie są w znacznej mierze wynikiem przemysłowości kupieckiej Niemców, a zarazem dowodem braku umiejętnej organizacyi w handlu tutejszym. Ale zbadajmy z drugiej strony, jakie za to wszystko równoważniki otrzymujemy od Prusaków. I te wskazówki i wyjaśnienia udzielone nam zostały przez doskonale obznajomionych z położeniem właścicieli firm krajowych na pograniczu. Owóż sąsiedzi nasi płacą nam za swoje zdobycze następującymi dogodnościami: Gdy poddany tutejszy osiedla się w Prusiech w jakimś małym, blizkiem granicy miasteczku, policya niemiecka tak troskliwą opiekę nad nim rozciąga, że wkrótce zmuszony jest sprzedać dobytek i opuścić państwo gościnne. Jeżeli nie czyni tego dobrowolnie, następuje kuratela bezpośrednia, mianowicie transport przymusowy pod strażą i egzekucya za koszty konwoju. To samo dzieje się z polskim termi-

natorem, pracującym u majstra w Prusiech. Robotnicy polscy są bardzo często potrzebni do robót sezonowych, — gdy więc potrzeba zachodzi, ściągają się ich za pomocą agentów i różnych werbowników, ofiaruje się im nawet stosunkowo wysokie zarobki, ale kontrakt po największej części nie jest dotrzymywany, werbownik zdziera robotnika, a władze co tydzień zabierają haracz na „Invalidität - Casse“ i „Orts-Versicherungs-Casse“, choć instytucje te nie mają obowiązku wzajem rozciągać swych dobrodziejstw na robotników polskich. Tym sposobem opłaty ubezpieczeniowe muszą być uiszczone, ale ubezpieczenie względem przybysza nie obowiązuje. A gdy robotnik pracę sezonową ukończył, stosowany jest doń znowu przymus rugów. „Der Mohr hat seine Schuldigkeit gethan, der Mohr muss gehen“... Kto w Prusiech nie włada językiem niemieckim, ten na każdym kroku doznaje upośledzeń i szykan. Urzędnik kolejowy i pocztowy, choćby rozumiał język interesanta, jest głuchym, a nawet grubiańskim na dźwięk mowy, sobie niesympatycznej. Jeśli dodamy do tego prześladowanie nawet emigrantów polskich, przejeżdżających tylko przez Niemcy, poddawanie ich w sposób brutalny i szkodliwy dla zdrowia różnym praktykom i kąpielom dezynfekcyjnym i pobieranie za to opłat wysokich; jeśli dodamy wydalanie studentów polskich z politechniki w Charlottenburgu, z niektórych uniwersytetów i różnych innych zakładów naukowych, a przynajmniej utrudnianie im nauk i zajęć praktycznych; jeśli zważymy nakoniec różne upośledzenia, doznawane przez tutejszokrajowców w handlu z Niemcami, wyjątkowe warunki procedury sądowej, stosowane do tutejszych dłużników. w Niemczech chwilowo przebywających, gdy przeciw nim wierzyciel niemiecki wytoczy skargę, nawet bez należytego usprawiedliwienia akcji, — to będziemy mieli acz szkicowy, lecz już dość charakterystyczny obraz ekwiwalentów za korzyści, które Prusacy z handlu tutejszego wyciągają. Taką jest równowaga we wzajemnej wymianie usług społeczno-gospodarczych.

Ale mimo wszystko jesteśmy zwolennikami traktatu, który poczytujemy za akt, sprzyjający kulturalnemu i pokojowemu pożyciu ludów. Jeżeli w układzie handlowym uwzględnione zostaną warunki równowagi stron, jeżeli położy on kres nierównym szansom kontrahentów, jeżeli uszanuje prawa i obowiązki obu stron, to będzie ważną zdobyczą cywilizacyjną. Gdyby zaś nawet nie udało się całkowicie tą drogą rozwiązać zagadnienia sprawiedliwego podziału korzyści, gdyby tylko najpilniejsze sprawy ekonomiczne traktat uregulował, gdyby zapewnił niskie cła zbożowe i zastrzegł się przeciw najdotkliwszym upośledzeniom w zakresie stosunków cywilnych i społecz-

no-gospodarczych, a zarazem pomyślnie dla handlu i przemysłu ustalił warunki taryfy celnej, — to i wtedy spełnił-by zadanie bardzo doniosłe. Resztę pozostawić można-by zmianom prądów chwili, naturalnym prawom postępu etycznego, wierze, że różne epidemie szowinizmu junkierskiego w polityce, oraz ultraagraryzmu i sobkowstwa handlowego w ekonomii, że wszelkie postacie wstrętu słowiańskiego, hakatyzmu i „Polenkoleru“ są zjawiskami przejściowymi, które czas leczy.

ST. A. KEMPNER.

---

# NA WIOSNĘ.

---

Otwórz, dziewczę, ktoś Cię woła...

To królewicz maj!

Pęki blasków ma u czoła

I porannych mgieł zawoje,

Otwórz, dziewczę, okno swoje:

To królewicz maj...

Patrz, gałęzią czeremchową

Puka w okno twe,

I kochania cudne słowo

Śle z jutrzenką do twej chaty...  
Zbudź się, dziewczę, maj skrzydlaty  
Puka w okno twe!

Czy nie słyszysz nic, dziewczyno,  
Czy nie czujesz nic?  
Pocałunków szmery płyną,  
Jak piosenka wiosny pusta...  
Czy ci we śnie nie drżą usta?  
Czy nie czujesz nic?

Czy ci w piersi żar nie wstaje,  
Nie przerywa snu?  
Upojeniem szumią gaje,  
Upojeniem ziemia płonie...  
Czy ci krew, bijąca w skronie,  
Nie przerywa snu?

Zbudź się, cicha i pragnąca,  
Niech nie czeka maj!  
Z pocałunkiem złotym słońca,  
Z pieśnią bujną, niby wino,  
Niech nie czeka maj, dziewczyno,  
Niech nie czeka maj!



\*

\*

\*

Rozpleć, proszę, dziewczę moje,  
Złotych włosów zwoje,  
Niech na twarz mi padną one,  
Jak słoneczne zdroje...

Niech na twarz mi się położą  
Złotych blasków zorzą,  
Niech ja patrzę przez twe włosy  
Na tę ziemię Bożą.

\*

\*

\*

Chodź, dziewczę, w nocy mgłę siną,  
Drogą błękitną,  
Gdy gwiazdy cichy świat złocą,  
Gdy fale upojen płyną  
Majową nocą...  
Słuchaj, bzy kwitną, dziewczyno,  
Słuchaj, bzy kwitną!

Zatop w błękitnych mgieł toni  
     Swe oczy duże,  
 Słuchaj, jak majem świat dyszy,  
 Słuchaj srebrzystej bzów woni,  
 I słuchaj ciszy...  
 Pij czar, nim jutrznia się spłoni  
     W krwawej purpurze.

Chodź, dziewczę, w nocy mgłę siną,  
     Drogą błękitną,  
 Chwytaj wiosennych snów chwile,  
 Co barwnym rojem w dal płyną,  
 Niby motyle...  
 Słuchaj, bzy kwitną, dziewczyno,  
     Słuchaj bzy kwitną...

\*

\*\*

\*\*

Poszła-bym ja z tobą, maju,  
     Poszła-bym ja z tobą,  
 Z białej chaty precz za siolo,  
 Jeno ptak, lecący z gaju,  
 Od mogiły na rozstaju,  
 Cień swój rzucił mi na czoło  
     Czarnych piór załobą...

I już pójść nie mogę, miły,  
I już pójść nie mogę,  
Do słonecznej baśni kraju...  
Pióra ptaka z nad mogiły  
Cień na oczy mi rzuciły:  
Zagubiłam, złoty maju,  
Twą kwiecistą drogę...

BRONISŁAWA OSTROWSKA (MIEBZ.).

---

# Aleksander Gierymski.

---

## III.

Twarz i postać ludzka są gliną, w której rzeźbi czas i zdarzenia, są kartą na której życie pisze dramat, jasny i szczytny poemat, lub trywialną farsę. Na tle zasadniczej budowy rysów tworzą się fałdy i zmarszczki, odpowiadające wyrazowi pewnych uczuć, pewnych stanów duszy. Im te uczucia silniej się przejawiają, im częściej się powtarzają i trwają dłużej, tem dobitniej i głębiej wrzynają się w skórę i mięśnie twarzy, tworząc typowy wyraz człowieka, odpowiadający jego najistotniejszym, pierwiastkowym właściwościom indywidualnym. Ale życie jest tak wielostronne w pomysłach, że jego rzeźba na ludzkiej twarzy komplikuje się niesłychanie i na tło typowego wyrazu wprowadza całe mnóstwo odcieni, które twarz dobrze znaną i ostro w pamięci wyrytą przykrywają chwilami, jakimś nowym, często nietrwałym, subtelnym, zagadkowym blaskiem, lub mrokiem.

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt majowy, str. 215.

Błada twarz Gierymskiego, jego szeroko otwarte, patrzące hardo i z jakimś złowrogiem niedowierzaniem oczy; boleśnie lub złośliwie zaciśnięte usta; ruchome, często pogardliwie skrzywione nozdrza; cała ta maska, wyrażająca jakiś męczący niepokój, przesłaniała się czasem nikłym blaskiem wypogodzenia duszy i spokoju, w krótkich chwilach lepszych dni życia.

Kiedy w roku, zdaje mi się 1875, Gierymski przyjechał do Warszawy, był całkiem innym, niż w Monachium, w szkole Pillotego. Eleganckie ubranie, ślicznie przez fryzjera wygładzona i rozczesana grzywka, lśniący cylinder, odznaczały go nazewnątrz. Miał on wtenczas chwilę powodzenia. Miał jakąś pewność siebie, w kieszeni trochę pieniędzy, więc niezależność materialną, elegancki wygląd, więc nie przerażał mecenasów sztuki możliwością żądania zaliczki, a jako nadatek, jako wdzięk towarzyski i społeczny, dwa tęgie obrazy na wystawie: „Austerya w Rzymie“ i „Gra w Mora,“ obrazy z figurami, jak w „Austeryi“, prawie naturalnej wielkości, co w naszych owoczesnych wyobrażeniach o sztuce znaczyło bardzo dużo. W jego wyglądzie i zachowaniu się niezależnie od rzeczywistego chwilowego rozjaśnienia, czuć było jeszcze trochę rozmyślnej pozy na brawurę, trochę świadomego może cynizmu, którym się odgradzał od natrętnych, chcących zajrzeć mu bliżej i głębiej w duszę. Mało się zadawał z żyjącą po psiemu w Warszawie garstką malarzy, od razu miał otwarte stosunki towarzyskie, był przez chwilę, — krótką, bardzo krótką, — znanym i cenionym. Panna Dukszyńska zrobiła w owym czasie jego portret, właśnie z tą piękną grzywką, w granatowem ubraniu, ślicznymi kołnierzykami, kremowym krawatem i wygładzoną powodzeniem twarzą. Po wielu latach potem Gierymski palił się ze wstydu, wspominając ten pobyt w Warszawie. Wyjechał on znowu z powrotem za granicę, do Rzymu, i tam przez lat kilka pracował, nie dając znaku życia, nie przysyłając obrazów, ani też wiadomości o sobie, za pomocą usłużnych korespondentów, zwiedzających pracownię i utrzymujących uwagę publiczną w ciągłym oczekiwaniu ukazania się arcydzieł.

W kilka lat potem, do pracowni w hotelu Europejskim, gdzieśmy pracowali z Owidzkim, ktoś zapukał, drzwi się uchyliły i wszedł Gierymski, poprosił o pozwolenie pozostania w cylindrze — była to jego maniera zachowania się, co nadawało pewną sztywność i dalekość stosunkom.

Znowu w jego twarzy wybijał się na wierzch niepokój, a na ustach boleśne skrzywienie szybko się zmieniało ze złośliwym świadomym uśmiechem. Ale wygląd był jeszcze dość staranny, prawie elegancki. Mówił, że wraca na stałe do kraju, że będzie malował

Polskę, i dodał z szyderstwem.—To jest żydów i... A przytem wyłożył swój program życia.

—Ja tym d r i a n i o m, mówił, swego nie daruję. Ja chcę żyć i używać. Naprawdę, będę żył z bogatymi żydami, kanalie—ale płacą. Do dyabła te skromności i szlachetności!—Kiedym mu powiedział co wogóle myślę o bogatych żydach, i jakimkolwiek kompromisie z „drianiami“, Gierymski zawołał:—A! rozumiem!—i wydobyl z kieszeni kartkę, na której spisany był program niemieckiej partji socjalno-demokratycznej...

Nie znałem wtenczas Gierymskiego. Jego cynizmy, jego bezlitośne szyderstwa, jego zimny obrachunek z ludźmi, brałem na seryo. Nie wiedziałem, nie mogłem się domyślić, że on przyszedł do mnie dla tego, że szukał kogoś blizkiego, żeby nie żyć w pustce i samotności; nie wiedziałem, że pod temi cynizmami kryje się wzruszenie, że pod tą szorstką skorupą ukrywa się natura uczuciowa i żenująca się, a zarazem harda, więc ukrywająca swoją słabość pod brutalnemi formami. Nie rozumiałem tego, i ja, który też—bym chętnie spotkał się z kimś, z kim można-by było się zrozumieć, nie mogłem do niego się zbliżyć.

W dalszej rozmowie uważałem, że Gierymski mnie się przygląda, bada, czasem z niedowierzaniem, lub zdziwieniem słucha zdań, z którymi może się godzić, jak żeby mówił:—Patrzcie, jednak pan takie rzeczy rozumie!—Spytałem go, czy pozwoli przyjsć do pracowni:—O, nie warto!—odpowiedział—no, ale jeżeli pan chce—proszę.

Pracownię Gierymski urządził w wielkiej mansardzie, wznoszącej się na narożnym domu przy zbiegu Chmielnej, Brackiej i Szpitalnej. Po haniebnych, wązkich, ciemnych, kręcących się schodach wychodziło się na poddasze, z którego drzwi otwierały się do pracowni, która od razu, od progu, uderzała świetnością talentu, błyszczącego z płócien, pokrywających ściany.

Nawprost drzwi wisiał wielki obraz, w którym, na tle tkanki plecionej z trzciny i liścia, przesianej słonecznemi połyskami, rzucała się w oczy pyszna figura jakiegoś pana w czerwonym r o c o c o fraku. Słońce lało się blaskami z za krawędzi obrazu, obrzeżając świetlnemi pasmami figurę, której cień zimny mżył się na trawie, wśród liści świetnie nakrapianej begonii. Po stole nakrytym białym obrusem rozsypywały się smugi i krążki słonecznego światła, świecąc na figurze, siedzącego przy stole, jakiegoś pudrowanego pana i włoskiego księdza, i na jedwabnych sukniach dam r o c o c o. Wszystko lśniło się światłem, skrzyło się barwami, migotało pozłotą połysków i uderzało pysznem sformułowaniem plam dekoracyjnych i kapitalnem opanowaniem tonu. Cała wysoka i długa ściana zawieszona była pysz-

nemi, z zaciekłością przyrodniczą malowanemi studyami głów i figur ludzkich; begonii w słońcu, lśniących się połyskami, barwnymi plamami i świetlnemi, na przezrocz świecącym, liśmi; studyami jakichś ryb oślizgłych, mieniających się tęczowemi refleksami; studyami marmurowych cystern, opleśniałych, omszonych, pokrytych zieloną patyną wiekowej wilgoci. Wisiał wśród tego inny obraz zaczęty, przedstawiający grupę ludzi w strojach renesansowych, siedzących na schodach i tarasie pałacu, na tle ciemnych sylwet cyprysów. Wszędzie, z najmniejszego skrawka płótna, widniał ogrom pracy, zaciekłego badania natury, samodzielnej analitycznej roboty dla wydarcia jej tajemnic. W kącie stał ogromny zwój zamalowanych płócien, postrzępionych i pomiętych. Na lewo od wejścia ściana była obwieszona mnóstwem kostiumów, starych jedwabnych sukien, fraków rococo, ułańskich mundurów, olbrzymich myśliwskich butów, różnych sprzętów, wśród których widniało wielkie czerwone siodło, znane z obrazów Maksa Gierymskiego. Łóżko usłane porządnie, wsunięte było w kąt.

Pracownia była wspaniała, jako wyraz talentu, bez żadnej mekskineryi, bez bibelotów i dywanów, była dostatnia, przepelniona, ale tyłko talentem i osobistością malarza.

Gierymski, w cylindrze, ubrany porządnie, przyjął mięgrzecznie, lecz z rezerwą i chłodem. Pytał o zdanie; na zrobione uwagi odpowiadał jednak z pewną ironią: — Pan znajduje? — I dodawał: Ale to tak być musi.--To znaczy, tak, jak on namalował. Słowem był nieprzystępny, nie do wzięcia, nie do zbliżenia się. Odchodząc, czuło się, że jakieś konieczne słowo nie zostało powiedziane, że coś jest nie prawdziwego, coś sztucznego, nie wyjaśnionego w stosunku, jakieś nieporozumienie, którego nie można wyjaśnić. Chciało się wrócić ze schodów i spytać: — Panie, co panu jest? i czemu pan przemawia do mnie, jak do psa?

Ostatecznie przychodziło się do przekonania, że to jest ogromny talent, przytem człowiek inteligentny ale niedostępny, zimny, nie dający się poruszyć, szukający tego właśnie używania, o którym mówił, i stosunków w tym świecie, który dla nas był wstrętny, a który stanowił błyszczącą powierzchnię społecznego życia.

Było to fatalne nieporozumienie.

Gierymski osiadał w kraju, i od pierwszego dnia rozpoczynał przeżywać bolesny dramat bezwzględnej niezgody między swoją duszą, wszystkimi swemi najserdeczniejszymi dążnościami, a otoczeniem, a środowiskiem, które, według teorii, ma być kołyską talentów, przyczyną ich istnienia i formą, nadającą treść i kształt ich osobowości. Rozpoczynał walkę o istnienie, o miejsce wśród społec-

czeństwa, które go ciągle miało wyrzucać, jak woda wyrzuca korek, rozpoczynał ciężką pracę dla utrzymania przy życiu swego talentu, wśród „temperatury moralnej“, która była zabójczą dla wszelkich czysto artystycznych dążeń.

„Lepiej być koniem wyścigowym w Polsce, niż malarzem!“, — pisał potem Gierymski, i w wykrzykniku tym streszcza się rzeczywisty stosunek do sztuki owoczesnego społeczeństwa.

Niema może wyrazu, którego znaczenie było-by bardziej nadużyte, bardziej niewłaściwie pojmowane w stosunku do istoty zjawiska, które ma oznaczać.

Mówimy: społeczeństwo, i wyobrażamy sobie ściśłą całość i jedność pewnej części ludzkości, objętej pewnymi granicami ziemi. W rzeczywistości jednak, społeczeństwo, jako całość, która zbiorowo może być rozważana i może być pociągnięta do odpowiedzialności za pewne zjawiska, lub też za inne czczona — nie istnieje. Społeczeństwo jest zbiorem jednostek, lub grup jednostek, które utrzymuje w spójni inercya pewnych sił wewnętrznych i nacisk sił zewnętrznych. Części i cząsteczki społecznego ciała są w istocie obdarzone taką dążnością wzajemnego odpychania, taką prężnością, jak cząsteczki gazów.

Według przyjętego komunału, człowiek jest zwierzęciem, czy istotą towarzyską, i rzeczywiście jest takim, gdyż się zbija w wielkie stada, żyjące jednak w nieustannych walkach, na podobieństwo błotnych ptaków, zwanych Bojownikami. Nieustanne napięcie jednostkowych egoizmów, żywiołowe niechęci różnych ras, wstręty temperamentów i usposobień; tworzenie się klas, to jest grup, mających swoje szczególne zbiorowe egoizmy, zaspakajane kosztem egoizmu innych grup; kapitał i praca, mała i wielka własność, handel i przemysł i jak się to tam wszystko nazywa, — ile nazw, tyle ognisk nienawiści, ile grup ludzkich, tyle zarzewi walki. Na każdą myśl, powstającą w czyimś umyśle, czyha myśl przeciwna, przeciw każdemu rzutowi do czynu wnoszą się mury przeciwieństw i hamujące pięście. Zgodność dążeń we wszystkich cząsteczkach, składających społeczną masę, przejawia się rzadko, zwykle pod wpływem zewnętrznego nacisku, przejawia się rzadko jako powszechna miłość jakiejś idei, lub człowieka, najczęściej treścią jej jest nienawiść. „Nie wahałem się rozbudzić nienawiści do Francji, jako jedyne go cementu, którym mogła być spojona jedność Niemiec“, — mówił kiedyś Bismarck, jeden z najbardziej złowrogich szerzycieli zła i upodlenia między ludźmi.

Niejasne uświadamianie tego faktu niespójności społeczeństwa, nierozróżnianie tych warstw i warstewek, rozdzielonych przepaściami obojętności, lub nienawiści, niedoceniając ich rozkładowej siły



w dążeniu do jakichś ogólnych celów, prowadzi nieraz do fatalnych zdarzeń, tak w życiu jednostki, jak i w życiu publicznem.

Uogólnianie pewnych zarzutów, oskarżeń, dotyczących jednej jakiejś warstwy, na całe społeczeństwo, niemożność zrozumienia stosunku wzajemnego, tak nieraz wrogo dla siebie usposobionych, lub tak od siebie oddalonych grup pojedynczych, wywołuje nieporozumienia, zniechęcenia i niedające się wygładzić przeciwieństwa i niezgody.

Każda jednak doba historyczna ma pewną grupę ludzi, pewną wyróżniającą się część społeczeństwa, która stoi, jakby na czele, która w danej chwili uważa się właśnie za społeczeństwo, za treść i wyraz całej sumy jego dążeń i potrzeb, która stanowi i przednią ścianę, i znak tej fatalnej budy, którą przywykliśmy uazywać społecznym gmachem.

Ludzie ci, ci naczelni i firmowi, w rzeczywistości mają nieraz tyle wspólnego z głębią społecznego życia, co płynący po rzece filister, w łódce, ubranej dzieciinną chorągiewką, ma wspólnego z żyjącymi w głębi wód jesiotrami...

Mickiewicz wyraził to w ten sposób: kiedy jedna z osób poematu, patrząc na tych właśnie naczelných ludzi, woła z oburzeniem:

Patrzcie,

Otóż to jacy stoją na narodu czele.

Inna odpowiada:

Powiedz raczej: na wierzchu. Nasz naród, jak lawa,  
Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa.

. . . . .

Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi!

W tych czasach, kiedy Gierymski i wielu innych usiłowało żyć w kraju, skorupa była sucha, brudna i plugawa, bardziej może, niż kiedy, i kto ją tylko znał, kto nie wiedział, co się dzieje w głębi, ten pluł i wzdrygał się ze wstrętu, lub tonął w rozpacz.

To, co wtenczas stanowiło naczelną warstwę społeczeństwa, przedstawione jest z taką nadzwyczajną prawdą w „Rodzinie Połanieckich“. To społeczeństwo, z którego wypruto wszelkie idee i zastąpiono je interesem, społeczeństwo płaskich spekulantów, płytkich miłostek, uganiań się za łatwym powodzeniem i robienia sobie cnoty obywatelskiej ze zręcznego bogacenia się; to społeczeństwo, w którym zdaje się szczęściem, jasnością i weselem umrzeć, jak Litka, lub pogrzebać się żywcem w rezygnacji, jak pani Emilia; to społeczeństwo było takie, że żyć z niem było niepodobna, trzeba się było powiesić, uciekać — lub, żyjąc wśród niego, żyć poza niem, co jest łatwiejszem, niż się na pozór wydaje.

Jednostka, zwłaszcza taka, której potrzeby i dążenia ograniczają się do sfery idealnej, umysłowej, ma dziś tyle swobody, że byle-by nie naruszała swoim istnieniem spokoju i zadowolenia społeczeństwa, może na własny rachunek nurzać się, w jakiej chce nędzy, w jakim chce dziwaetwie pojęć, nikt o to się nie zatroszczy, nie trzeba tylko narzucać się, chcieć reformować, stawać na placach i pokazywać dziur w butach i ran w duszy.

Myśmy też używali tej biernej swobody, tego życia poza społeczeństwem w zupełności, tylko każdy inaczej reagował na to otoczenie, na to środowisko, które jakoby miało nas wydać, które jakoby miało być klimatem, dzięki któremu sztuka nasza powstała.

W istocie zaś było to aklimatyzowanie się jakichś egzotycznych roślin, które, wbrew wszystkim owoczesnym warunkom klimatycznym, postanowiły, bądź co bądź, żyć i rozwijać się.

Chcąc nie być jednostronnym w sądach o własnem społeczeństwie, koniecznie trzeba stan jego w danej chwili porównać ze współczesnym stanem innych społeczeństw. Otóż, jeżeli u nas wskutek szczególnych, bezpośrednio nas dotykających zdarzeń, poziom życia w owych czasach tak bardzo był niski, niemniej w reszcie świata znikał z życia publicznego wszelki ślad wyższych, idealniejszych, to znaczy będących zawsze wyrazem porywu naprzód, dążeń. I nie tylko, że ludzkie czyny stawały się marne i niskie, ale jednocześnie znikają wielkie hasła, to znaczy, że znika z serc ludzkich nadzieja lepszej przyszłości, i celem stają się najmateryalniejsze interesa, zaspakajanie najgrubszych zachceń, najniższych rodzajów używania. Ludzkość zdaje się mówić: Żadnych złudzeń! Jesteśmy i będziemy podli i marni, i tylko w upodleniu i marności jest zbawienie i ochrona przed zgubą i nieszczęściem. Utrzymanie każdego istniejącego bezprawia, pod mianem porządku społecznego, uznanie każdej przewagi za nienaruszalne prawo, usunięcie entuzjazmu i bezinteresownych pobudek

czynu, trzeźwe i ciasne obliczanie własnej korzyści — to wszystko staje się treścią czynów i treścią hasel. Z religii — pozostaje tylko zabobon i kwestya organizacyi kościelnego urzędu, ze społeczeństwa — tylko walka interesów, z państwa — tylko groźna pięść dla innych.

Życie się mroczy i dusi.

Pokolenie, do którego należał Gierymski, widziało stopniowe zaciąganie tej chmury mroku, która się rozpościerała równomiernie ze wzrostem potęgi i przewagi Niemiec, chmury, która tem ciemniejszą się zdawała, że pokolenie to widziało jeszcze ostatnie blaski zory, poprzedzającej to straszne wytrzeźwienie się ludzkości.

W tej chwili trzeźwość dochodzi szczytu. Wiadomości o stosunkach międzynarodowych nie można czytać bez rozpaczliwego oburzenia. Ton, jakim się pisze: zabito tylu Boerów, zabito tylu i tylu Chińczyków, targi chrześcian z Chińczykami o rodzaj męki śmiertelnej, która ma być zadana obrońcom chińskich interesów, Hakatyzm i „listy Humnów,“ — są to wszystko objawy tej trzeźwości, tego zniknięcia złudzeń, tego cynizmu, z jakim pewni ludzie patrzą na swoje istnienie.

Mówię tu o tem, gdyż Gierymski, pomimo całego zatopienia się w sztuce, namiętnego związania z nią całej swojej wielkiej ambicyi, podporządkowania pod sprawy sztuki reszty spraw życia, miał jednocześnie wielką inteligencyę i duszę szeroką, która odczuwała wszystko, co się w ludzkości działo i po swojemu przerabiała to na męczącą i bolesną treść myśli.

„Głupio jest żyć — pisał kiedyś — z wymaganiami trochę lepszemi, kiedy się jest starszym, a żyło się dotąd w świecie, którego się chciało, pragnęło żeby był, przyzwyczaiło się do niego, jak gdyby był. Jeżeli nie tam, gdzie my jesteśmy, to gdzieindziej. Gdzie, nie wiadomo — ale się go nie znajdzie!“

Gierymski, nie tylko jako artysta i nie tylko wyłącznie w stosunku do swego społeczeństwa, był w niezgodzie i walce, pojmował on i odczuwał życie powszechne w jego objawach etycznych i umysłowych, a przy swoich skłonnościach do uświadamiania przedewszystkiem złej strony zdarzeń, znajdował wszędzie stwierdzenie swoich rozpaczliwych wniosków i wszędzie w końcu pozostawał samotny, w rozterce z otoczeniem.

„Moja cała Polska, — pisał w tym samym liście z Wiednia — to Dziekońscy (Józef i Prosper) i Wy; na to drugie, przyznasz, można się trochę uśmiechnąć. Mnie łatwo jest być emigrantem, nie biorę żadnego prawie bagażu ze sobą. Im więcej mam sił, tem więcej widzę pustkę, jaką koło siebie zrobiłem. Szczerze, nie mam żadnego żalu. Nie

przypuszczam, żebym mógł pasować do jakiegokolwiek ludzi na świecie, tak samo więc w Warszawie. Nic więcej.“

W gruncie rzeczy było to znacznie „więcej“. Niezgoda z obcym człowiekiem, lub całym obcym społeczeństwem wywołuje oburzenie, gniew, pogardę, ale niezgoda z człowiekiem bliskim i własnym społeczeństwem to nieustanny ból i niedająca się ukoić szarpanina i męka. Kiedy nas dotknie zło od człowieka obcego, oburzamy się, lub z rezygnacją mówimy: Trudno!—ludzie zawsze jednacy...; kiedy nas skrzywdzi człowiek kochany, wijemy się z bólu, a cierpienie podnosi z dna duszy cały męt najgorszych, najbardziej gryzących uczuć...

Podobnie jest ze społeczeństwem. Podłość i głupota są zjawiskami wszechludzkiemi; ale głupoty swego społeczeństwa człowiek się wstydzi, jak własnej, a podłość hańbi go bezpośrednio, aż do bólu.

„Jakiż to trudny naród (Francuzi) do zrozumienia—pisał Gierymski z Paryża w r. 1891,—tyle jest powodów do wściekania się na nich i tyle dobrego w sobie mają, bogate natury, ale cóż za inne od naszych! Tośmy przecie kmiotkowie w porównaniu z nimi. Cóż za inna etyka, ale to tak szeroka, że gdzieby u nas napewno skończyło się na domu poprawy, tu—zwyczajna rzecz. Dyabło ci ludzie mają skalę życia szeroką, ale tak daleką od naszej, szczególnie, kiedy się jest starszym. Źle tu żyć, jak wszędzie, ale może lepiej, niż między Niemcami, już nie mówię o naszej kochanej ojczyźnie, W a r s z a w i e.“

Gierymski widzi jasno, co są warte stosunki ludzkie w Paryżu, charakteryzując je, przerywa sobie nagle wykrzyknikiem:—Dostyc tego świństwa! Ale przypomnienie podobnych stosunków w Warszawie boli go i szarpie, i wywołuje wybuch gniewnej ironii. Pomimo to, Gierymski umiał być sprawiedliwym i słusznie oceniał niektóre różnice stosunków naszych i zagranicznych.

„Artykuły twoje dobre, — pisał z Wiednia,—ale wymagania od tych ludzi straszne.—Tu sztuki wiele więcej, a recenzje jeszcze gorsze. Tu sprzedajni, tam przynajmniej naiwnie cieszą się z postępu sztuki krajowej, no i chwałą wszystko, więc i durniów“.

Rozstrzygającymi czynnikami zewnętrznymi w życiu jednostki są jej stosunki do reszty ludzi, do społeczeństwa, jako sfery najszerszych podstaw i najkardynalniejszych warunków życia; do rodziny, ciaśniejszego węzła społecznego ustroju; w końcu do kolegów, towarzyszy i przyjaciół, do tych wszystkich jednostek, z którymi człowiek się spotyka przypadkowo, z którymi stosunki normują się na podstawie nieuchwytnych źródeł sympatii, dobrowolnego i świadomego swojej niezależności formalnej, współżycia.

Wrodzone, fatalne właściwości jednostki, jej najistotniejsza treść duszy, godząc się, lub przeciwstawiając się tym pierwiastkom stadowego życia ludzi, wytwarza pewną typową dla danej jednostki kolej życia, pewną sumę zdarzeń i czynów, które są wypadkową zetknięcia się życiowych dążeń jednostki i społecznego stanu tłumu w danej chwili.

W niezgodzie Gierymskiego ze społeczeństwem, oprócz przyczyn wspólnych wszystkim ludziom, dążącym do jakichś nowych celów, lub mającym inne, niż ich otoczenie, pojęcia społeczne, czy umysłowe, główną rolę grała sprawa sztuki, jego dążenia artystyczne, podzielane zresztą przez większą grupę, pracujących tak, jak i on, w pustce, malarzy; to zaś, co nadawało szczególne, wyłączone piętno temu boleśnemu zatargowi, wynikało z jego indywidualnych właściwości, wyjątkowej organizacji psychicznej i pewnych wpływów zewnętrznych, jego tylko dotyczących.

Gierymski, jak każdy inny, zdolny i pracujący w sferze dodatniej i pozytywnej, człowiek, może się spodziewać od społeczeństwa, co najmniej, zapewnienia materialnego bytu, zrozumienia swoich dążeń i słusznej oceny wartości swoich czynów.

Żadnego z tych warunków życia i twórczości, nie znalazła, wśród naszego społeczeństwa, rozwijająca się właśnie, sztuka polska.

Była to chwila fatalna dla zaszczepiania, tak napozór niekoniecznej idei, jak sztuka. Właśnie robiono trzeźwy i surowy rachunek z romantyzmem, ze wszelkimi marzeniami i wskazywano ruiny, któremi zasypane były drogi życia społecznego, po przejściu cyklonu poezji.

Wskutek fatalnego zaślepienia, nie widziano zupełnie znaczenia twórczości artystycznej; nie widziano, że nawet zredukowawszy cel wszystkich ludzkich dążeń do materialnych jedynie interesów, że mierząc wartość wytwórczą pracy tylko ekonomicznymi względami, to i tak jeszcze sztuka ma w życiu społeczeństw olbrzymią doniosłość. Wpływowi publicyści rozumowemi dowodami wyjaśniali, uzasadniali i wspierali tępą obojętnością na to, co właśnie było objawem żywotności, niepoohamowanej siły czynu i zdolności odradzania się plemiennego pierwiastku.

Zdawało się, że ideałem społecznym jest grubo-skórna istota, ograniczona, upasiona, mająca pełne spichrze i kieszenie, najeżona egoizmem, istota, która nie chce ani czasu, ani bogactw, ani pracy zmarnować na „marzenia“, na żaden cel umysłowy, niemający bezpośredniego wpływu na pomnożenie groszy i złotych, na zbytek idealny, jedynie godny ludzi. Wołano na artystów, na twórców, żeby robili małe obrazki i figuryunki i sprzedawali je tanio, wychodząc z fałszy-

wego- wyobrażenia o ubóstwie i ekonomicznej niemocy społeczeństwa. Tymczasem to właśnie, co stanowiło społeczeństwo, ta warstwa, która stała „na przedzie“, wcale nie była w tak złych interesach. Reforma społeczna przyniosła sporo kapitałów za wykup ziemi, przemysł wzrastał gwałtownie, rolnictwo cieszyło się wysokimi cenami na produkty; bogactwo tych właśnie warstw, do których należało wolać:—Nie bądźcie barbarzyńcami!—wzrastało—ale sztuki nie potrzebował nikt.

Podobno jakieś miasto greckie obległ niegdyś nieprzyjaciół i zgadzał się odstąpić, pod warunkiem, żeby mu oddano wszystkie dzieła sztuki. Grecy odmówili i bili się do upadłego, ze świadomością, że bronią największego, najistotniejszego swego bogactwa. Gdyby owoczesną Warszawę spotkał los podobny, nie tylko oddała-by dzieła, ale przyrzuciła by w dodatku ich twórców, jako inwentarz całkiem w jej życiu zbyteczny.

Jest to fakt, dający się nieraz zauważyć, że pewne formy zbytku wydają się lekkomyślnem trwonieniem bogactwa, rozrzutnością, inne zaś zdają się koniecznymi, niezbędnymi potrzebami życia, bez których nie można się obejść. Właściciele olbrzymich fortun będą się długo zastanawiali nad kupieniem jakiejś rzeźby, lub obrazu i ani na chwilę nie zawahają się nad wydaniem balu, sprawieniem zbyt kosztownych strojów, które w jeden wieczór pochłoną sumy, mogące pokryć kosztą wytworzenia niejednego dzieła sztuki, którego wartość nie tylko nie maleje, lecz zwiększa się z przebiegiem wieków i staje się wprost bezcenną.

Ktoby widział owoczesną Warszawę z jej wspaniałymi sklepami kosztownych jedwabi, pluszów, aksamitów, futer i koronek, angielskich kortów i paryskich kapeluszy; ktoby zliczył magazyny, sprzedające wykwintne i drogie jadła i napoje; ktoby wiedział, ile ten biedny, na pozór, kraj wydawał na zmianę ubrania za każdym sezonem, na zmianę nowalii na stołach, odpowiednio do pory roku, na nowe typy karet i wyścigowych breków, na angielskie uprząże, konie pełnej krwi, wyścigi i polowania, ile przegrywał w karty w noc jedną, ile wydawał na całe to używanie, w którym chodziło albo o najgrubsze zmysły, albo o próżność, tenby się zdumiał, dowiedziawszy się, co się w tym samym czasie działo ze sztuką.

Były to przecie czasy, kiedy kupiec tabaczny, Dawid Rozenblum, kupował „Grunwald“; kiedy Siemiradzki darowywał muzeum narodowemu obraz, stanowiący wartość dużego majątku; kiedy nasi malarze zaczęli robić fortuny za granicą, a kiedy w Warszawie dwóch pierwszorzędnych malarzy zjadała nędza, paralizująca wszelkie wy-

silki coraz liczniejszej garstki ludzi, którzy się rzucali w świat sztuki.

Żeby bogactwo prywatne mogło podlegać jakiejś społecznej kontroli, która-by powstrzymywała jego marnotrawstwo na niskie i marne cele, pokazało-by się, że, nie naruszając w niczem słusznych praw jednostki, ani normalnego biegu spraw ekonomicznych, można-by miliony zużywać na najidealniejsze cele, na sztukę, lub rozmyślania o najbardziej oderwanych zagadnieniach umysłowych. Czasem, jak się spotyka pewnych ludzi, o których się wie, ile ich życie kosztowało tysiący, ba! milionów, człowiek się zdumiewa i pyta: — I to za takie skarby wyhodował się taki okaz?! Pracę tysięcy ludzi żyjących, oszczędzone dziedzictwo pokoleń wymarłych, wszystko to pochłania taki jeden żołądek, taki jeden splot grubych zmysłów i niskich namiętności.

Nie, nigdy nam nie brakło pieniędzy, — jeżeli czego brakło kiedy i braknie, to ludzi odpowiednich, czasem tych, którzy tworzą, czasem tych, którzy twórców rozumieją, czczą i potrzebują. Tymczasem, ciasne pojmowanie dobra publicznego, nierozumienie, że niekiedy użyteczniej jest wytworzyć dobry obraz, lub posąg, niż karmnego wieprza, źle przeprowadzony rachunek rzeczywistego stanu społeczeństwa, wszystko to rozgrzeszało je z ciężkiego niedbalstwa o coś tak cennego, jak sztuka, z ciemnoty i niskiego pojmowania zbytku.

W owych-to czasach Chełmońskiemu, który miał sześć obrazów na wystawie, zarząd Towarzystwa zachęty sztuk pięknych nie chciał dać na ewiknę tych obrazów 50-ciu rubli pożyczki. W owych-to czasach, jeden z niesłychanie wytwornych kolorystów polskich był płacony za swoje obrazy w naturze, to jest: staremi majtkami i surdutami. Zapał, energia, siła talentu wszystko się rozbijało o niedające się naruszyć fatalne stosunki materialne, zmuszające albo do ucieczki za granicę, albo do zarabiania tandetą ilustracyjną, lub obrazkową, gdyż na „tani pędzel“, amatorowie się jeszcze znajdowali.

Gierymski, osiedlając się w tych mniej więcej latach w Warszawie, miał może z początku trochę pieniędzy, pozostałych po bracie, lecz wkrótce znalazł się na łasce tego skąpego budżetu sztuk pięknych, który można było zwiększyć jedynie pieczyeniarstwem i upodleniem. Gierymski sprzedał wprawdzie kilka obrazów, ale co to znaczyło w stosunku do jego pracy i wartości artystycznej tego, co ona wytworzyła.

Ostatecznie, kiedym po kilku latach zeszedł się z nim bliżej i mogłem zajrzeć w jego życie, Gierymski był nędzarzem.

Jeszcze w roku 85-ym, kiedy udało mu się wyjechać do Wiednia dla zdrowia, pisał: „pieniądze od was (od redakcyi „Wędrowca“)

przyszły mi bardzo na czasie. Dyabło było kruchło ze mną,—gdyby nie Paderewski, zdechłbym. Przez tydzień nie miałbym co jeść. Kapitałny chłopak, jemu zawdzięczam dużo polepszenia zdrowia i humoru. Bezwarunkowo, było-by mi bez niego tu o wiele gorzej. Szkoda mi Paderewskiego, dodaje, bez niego będę znowu prawie sam!“ Wyjeżdżając wtenczas za granicę, Gierymski miał tylko takie pieniądze z zaliczek, lub nadzieję na sprzedanie paru rysunków: na razie, zanim się gdzie na dłużej osiedlił, dał się poznać i wyrobił stosunki, jeszcze się oglądał na możliwość jakiejś pomocy z kraju. Tymczasem oto co pisze z Monachium w roku 1890: „Drugie szujowstwo względem mnie. Przed miesiącem była u mnie taka bieda, aż trzeszczało,—dalej siostra chora, pisałem do ciebie o „Babę“. Ponieważ między sześcioma obrazami i studjami, jakie mam na wystawie w Warszawie, mam dwa jeszcze niesprzedane, więc napisałem list w formie prywatnej—wydawało mi się za głupio w formie urzędowej—prosząc o pożyczkę na obrazy. Odpisała mi małpa w formie urzędowej, dodając, że na takie tylko obrazy dają pożyczki, które mogą się kwalifikować do zakupu Towarzystwa. Jechał że cię kat!—a ja myślałem, że mogą się kwalifikować, i że na sesji przedstawi moje żądanie. Trzy tygodnie minęły — żadnej wiadomości. Teraz mam to gdzieś! To wszystko widzisz, jak dobrze wpływa na sentyment dla tych ludzi i wszystkiego co tam jest“.

Powtórzyła się znowu historia podobna, jak z obrazami i pożyczką Chełmońskiego.

„Baba“, o której Gierymski wspomina, jest jednym z niesłychanie charakterystycznych epizodów jego życia. Będąc raz u niego w pracowni, w owych czasach kiedy jawnem już było, jak wielka bieda go gniecie, zobaczyłem róg niewielkiego blejtramu, sterczącego z kupy leżących na ziemi starych butów, zmiętych kapeluszy, zgniecionych kołnierzyków i płócien zamalowanych, podartych na strzępy. Wyciągam ostrożnie płótno ciemne, zasute kurzem i błotem, ale z pod tej warstwy brudu majaczy jakieś światelko, jakaś twarz ludzka. Ścieram delikatnie brud i ukazuje się przepysznie rysowana i malowana głowa „Baby“, siedzącej na stołku, w nocy, przed żelaznym piecykiem, z którego dobywa się blask ognia. Czarny kot, wyginając grzbiet ociera się o jej nogi, na stołku faszka i lichtarz z dopalającą się świecą,—w głębi jakieś nieokreślone plamy jasne. Figura kobiety, jej twarz, ręce, wszystko to skończzone z niesłychaną finezyą, ton nocy, promieniowanie światła z piecyka i przezieranie granatowego mroku przez szyby—wszystko malowane z majsterstwem wielkiego talentu i umiejętności. Gierymski naturalnie zaczął mówić o „Świństwie“, nie pozwalając mi tego ruszać, ale ja powiedziałem, że stanow-



czo zabieram i zabrałem. Była wtenczas w Warszawie pani Modrzejewska, która natychmiast kupiła za paręset rubliową „Babę,” strzegącą nieboszczyka, który tymczasem był tylko zbiorem plam. Gierymski nie chciał oddać obrazu przed skończeniem głębi. Otóż „Baba,” tułając się za nim między Warszawą, Wiedniem i Monachium, wykończona wreszcie, znajdowała się na kilku wystawach w Niemczech, w końcu znalazła się na wystawie Monachijskiej. Gierymski był w biedzie, miał wprawdzie dwa inne obrazy, ale „Baba” szczególnie się podobała. Pisze więc do mnie:—„piszę głównie w kwestyi „Baby” Modrzejewskiej, i chciałbym cię prosić o radę, jak mam postąpić. Ona (t. j. pani Modrzejewska) za daleko, a przez pośrednictwo twoje sprzedałem ją. Otóż taka rzecz. Paulus, sekretarz wystawy, radził mi, żeby dać cenę na „Babę,” odpowiedziałem, że muszę zapytać. Mógłbym Modrzejewskiej zrobić drugą taką samą. U mnie z pieniędzmi licho (może sprzedam Teatr), siostra chora, nie pracować nie może, muszę ją wysłać gdzie na lato. To pewna, że gdybym był w lepszych interesach, nie proponowałbym tego. Doskonale pamiętam, w jakich warunkach byłem, kiedy odebrałem za „Babę” pieniądze od ciebie. Zresztą, proszę cię, napisz mi zupełnie szczerze Twoje w tym względzie zdanie—być może, żem się ani spostrzegł, jak się zaświńiłem, żyjąc w trochę lepszych warunkach“. Słowem, nędza i nędza. A jednak były to już rzeczywiście czasy lepsze. Hr. Milewski z Wilna zaczął wtenczas zbierać swoją kolekcję i kupił był kilka obrazów Gierymskiego. W tym wypadku Gierymski nie potrzebował, ani czekać dłużej na pożyczkę z Warszawy, ani też tej „Baby” sprzedawać z ciężkiem sercem i niepewnością, „czy się nie zaświńił“, gdyż z biedy wydobyl go zakup obydwu obrazów z wystawy. Z tych jeden kupiony został przez rząd bawarski do Monachijskiej pinakoteki.

Gierymski nie był ani lekkomyślnie rozrzutnym, ani nieopatrznym, i jeżeli go cisnęła bieda, to nie dla tego, żeby wyrzucał gdzieś na marne pieniądze, tylko dla tego, że, pomimo wyteżonej nieraz pracy, nie mógł zarobić na życie, a z drugiej strony, ta nędza, trudności, przeciwności i ciągła potrzeba myślenia o tych rzeczach podrywając energię i niszcząc stan duszy, konieczny dla tego, żeby tworzyć, więc i dla tego, żeby tą twórczością zarabiać. Kto jeszcze ma tyle młodości i zdrowia, że głód wywołuje w nim tylko pewien stan nerwowej podniety, ten może przetrzymywać takie życie, inaczej, zwłaszcza przy skłonności do pesymizmu — ciężko.

Tak więc jednego z warunków istnienia i tworzenia w kraju w owych czasach nie było. Stan materyalny artystów wyrażał się jednym słowem: N ę d z a.

Każdy twórca, nawet ten, co mówił: „sobie śpiewał, nie komu“, nawet ci, co dzisiaj z tak bezwzględną pogardą mówią o tłumie i tak stanowczo zapewniają, że im najzupełniej obojętnym jest, co o nich myśli ich otoczenie, każdy twórca właściwie nie może być w zupełności obojętnym na to, czy jego dusza znajduje, lub nie, współczucie, czy jego myśli i dzieła wywołują jakiś oddźwięk. Całkowite zjawisko tworzenia obejmuje dwie sprawy. Wyrazić swoją duszę i poruszyć inne dusze do harmonijnego z nią uczucia. Potrzeba być rozumianym, potrzeba współczucia, strach przed pustynią, samotnością, obojętnością są tak powszechnymi i koniecznymi zjawiskami ludzkiego życia, że ludzie, o których można powiedzieć to, co mówiono o Williamie Morrisie, że nie potrzebował nikogo, „ani mężczyzny, ani kobiety“, należą do niesłychanie rzadkich wyjątków. Na to trzeba mieć tak zadziwiająco wszechstronność umysłu, tak niesłychaną pobudliwość do czynu i tak absolutnie niedającą się wyczerpać i zmordować energię i zdolność do pracy, jaką miał Morris, trzeba zresztą mieć siłę zdobywców i ich wolę narzucania swojej myśli innym.

Gierymski, przeciwnie, potrzebował i szukał współczucia, zrozumienia i uznania. Pustka, obojętność i milczenie wobec jego sztuki, która była takim szczerym objawem jego duszy, a wydobyłym na wierzch z taką męką, pustka, obojętność i nierozumienie dręczyły go i w końcu oburzały i rozgoryczały. Gierymski był ambitnym, był bardzo ambitnym, ale nie był próżnym, nie chodziło mu o to, żeby ludzi, bądź co bądź, załapać, i być chwalonym i wywyższanym nad innych; był on dumnym i pochwała, wypowiedziana przez głupca, jak i chwala, robiona przez ludzi, którzy nie się na sztuce nie znali, ta chwala, która jest reklamą, napelniały go wstrętem i pogardą, — a innej pochwały i innej chwały nie było wtenczas u nas do wzięcia.

Nie wyrażano mu uznania kupowaniem jego obrazów, a te zdania o sobie, które mógł słyszeć, lub czytać, nie mogły go złudzić ani na chwilę. Treść tego, co się pisało o sztuce, była rozpaczliwie licha, a pożywszy parę lat w Warszawie, znało się wszystkie pobudki sądów, wszystkie źródła pochwały i nagany, cały fałsz i nicosć wszystkich, będących w obiegu pojęć estetycznych.

Psychologia ludzka jest taka, że to, co uważamy za fałsz, musimy nienawidzić, nawet w sferze na pozór czysto rozumowych zagadnień, do krytyki ujemnej, przeprowadzonej na drodze ścisłego, przedmiotowego badania, miesza się w końcu pewien stopień afektu, i występuje nienawistne drgnienie duszy. Cóż mówić o Gierymskim, człowieku tak wrażliwym, uczuciowym, drażliwym i subiektywnym, a którego działalność z natury swej jest nieodłączna od ciągłego podniecenia uczuciowości. Każdy sąd ujemny o ludziach, ich czynach,

o zjawiskach społecznych, o rzeczach sztuki, lub życia, do którego musiał przychodzić, w tej-że chwili wywoływał bolesny skurecz duszy; przyplływ goryczy i wybuch pogardy, a czasem dręczącego żalu.

Opinie, istniejące w danej chwili o człowieku i jego czynach, ujawniają się w wielkich ruchach tłumów, w zdaniach, wypowiedzianych prywatnie i w prasie, w krytyce, którą zwykle całkiem niesłusznie bierze się za rzeczywisty wyraz pojęć, istniejących w danej chwili u ogółu. Krytyka nasza stała wtenczas na najniższym poziomie, na jakim stać może. Nie rozumiała ona absolutnie sztuki, nie wiedziała, po co i jak się maluje obraz, lub rzeźbi posąg, nie mogła nic powiedzieć o tem publiczności, nie mogła ją niczego nauczyć, nie mogła pomódz w porozumieniu się ze sztuką, owszem, przeciwstawiając szczerem, bezpośrednim wrażeniom swoje błędne sądy, wywoływała zamieszanie pojęć i kolizye, nie dające się usunąć. Ponieważ strona artystyczna obrazu nie istniała dla niej wcale i nazywała się *t e c h n i k ą*, o której kilka komunałów powtarzała bezmyślnie, pozostawała więc dla niej do opisywania anegdotyczna strona obrazu i ujawnianie dalszych kolarzeń się wyobrażeń etycznych, czy umysłowych, które dzieło sztuki wywołuje, lub też wypowiedzanie własnych wzruszeń każdego krytyka. To, co miało w tej krytyce pozory naukowe, były to ciężkie spekulacye niemieckie, resztki wyszarzanych systematów filozoficznych, to, co Nietzsche nazywa *B e g r i f f s m u m i e n*, pojęcia obumarłe, małżowiny, z których dawno wygniło życie, pozostawiając tylko duszną tchlinę fałszu.

Wśród publiczności były powagi artystyczne, kopalni znawcy z dawnych czasów, którzy służyli za źródło wiadomości i sądów dla piszących krytyki sprawozdawców. Kiedy obrazy Maksa Gierymskiego ukazały się w Warszawie, jeden z bardzo dobrych ludzi i szanowanych, jako powaga, znawców, mówił: „I u nas tak malują, malują dachy, szyldy!..“. Z jednej strony było absolutne nieuctwo i niedołęstwo myśli, z drugiej szalona blaga frazesów, — między temi dwoma biegunami obracała się cała nasza estetyka.

Cóż taka krytyka mogła powiedzieć o Gierymskim? Przy zupełnie nawet dobrej chęci i woli, nie mogła wyjść ani kroku poza chwalebny frazes. Ale chwalić, to nie znaczy rozumieć. Gierymski nosił już, bądź co bądź, nazwisko poważane, i nie można było o nim mówić zbyt lekceważąco; ale to, co krytyka miała o nim do powiedzenia, mogło obudzić w nim tylko wstręt i szyderstwo.

Z drugiej strony, nie rozumiejąc sztuki, a tem samem nie wiedząc, na czem polega hierarchia wartości artystycznej, nie mogła krytyka nasza wyznaczyć mu tego miejsca, które mu się należało, i o którym Gierymski, nawet gdyby w nim nie grała tak wielka ambi-

cya, wiedział-by doskonale, jako człowiek inteligentny i znający sztukę na wylot.

Gierymski nie był ani zazdrosny, ani zawistny, i nie to go mierziło, że innych chwałą i wznoszą na ołtarze, podczas kiedy on jest ciągle w cieniu, mierziło go to, że co innych chwałą i czczą, i za co go lekceważą, lub traktują z pobłażliwym poważaniem. Dodajmy do tego, że nie zawsze temi sądami kierowała zupełnie czysta i dobra wiara, chociaż Gierymski miał zupełną słuszność, twierdząc, że krytyka ta nie była przedajną. Nie była przedajną, ale była za to uczuciową; umiała kochać, lub niecierpieć i zabarwiać tem swoje sądy, co w rezultacie prowadzi do fałszu i okłamywania opinii ogółu.

Kiedy nakoniec przebrała się miara i kiedy, wskutek objęcia przez p. Artura Gruszeckiego wydawnictwa „Wędrowca“ zostaliśmy dopuszczeni do głosu, stoczoną została rozstrzygająca walka z tem wszystkim, i ostateczny obrachunek wartości i znaczenia tej krytyki został zrobiony — z jakim wynikiem, wiadomo. Gierymski, oczywiście, interesował się tem bardzo — to przecie zaczęła o jego najboleśniejsze osobiste wrażenia i najbliższe sprawy życia, gdyż sprawy sztuki.

„Mój Boże, — pisał z Paryża, — czytałem Twoją książkę tyle razy, potem spotykałem się w paru pismach polskich z artykułami o sztuce: nic, ani na krok nie ruszyli, ciężkie, obmierzłe natury.”

„To nie sprawa klasycyzmu i romantyzmu, lub inna, to zupełnie co innego, to w sztuce, nie kwestya sztuki, jak myślałem, to ciągle sprawa egzystencji narodowej w innej formie, obawa utracenia dawnych pojęć, dawnych ideałów. Jest to nieszczęście, które na nas trafiło, że żyjemy wśród tego świata, ale oni mają rację, nie chcieć się zmodernizować, spojrzij na Polskę zdaleka, coby się stało z zupełną modernizacją; nie wiem, może się mylę, nie było-by Polaków“.

Gierymski rzeczywiście się mylił i w sędzie o krytyce, i w ocenie społeczeństwa. Gierymski, pomimo wszystkich osobistych rozrachunków z tą krytyką, bierze ją zbyt na seryo i przypisuje jej zbyt świadome, wprawdzie ograniczone, ale zawsze dodatnie cele. Jaką była ta krytyka i jej etyka, pokazało się z chwilą, w której w walce, przyparta do muru, broniąc się, wysypała wszystkie swoje strzały, tak często zatrute prostem nieuctwem, lub przewrotnem przekręcaniem faktów, z niezrównaną złą wiarą. Jeżeli w pewnej części miała ona taki cel, o jakim mówi Gierymski, to wprędce zginął on w tej plątaniu fałszów, którą trzeba było zadzierzgnąć dla obrony stanowiska. Pod tym względem historia owoczesnego sporu nie zostawia żadnych wątpliwości.

Z drugiej strony, Gierymski, przypuszczając, że każda nowa idea, po prostu każda prawda, podniesienie poziomu umysłowego, zrównanie się, lub wyprzedzenie innych europejskich ludów, mogło być zabójczym dla plemienną treści naszego społeczeństwa, myli się i zbyt lekko, zbyt niesprawiedliwie ocenia jego siły i żywotność. Pod tym względem doświadczenie wielu lat dowiodło, że siły te są wytrzymałe ponad wszelkie takie, lub inne eksperymenta, a żywotność nie daje się sparaliżować zaszczepianiem najbardziej nawet ryzykownych prądów umysłowych; treść zaś plemienna wystarcza nie tylko na poruszenie dusz własnych, ale ma w sobie pierwiastki wszechludzkiej doniosłości, co się pokazało w stanowisku, jakie zajął Sienkiewicz we wszechświatowej literaturze. Siły narodów nie tracą nic na wzajemnym przenikaniu się wyższych objawów cywilizacji, powstających u różnych społeczeństw, tylko zastój i zaskorupianie się w wyjąłowych kierunkach myślenia, prowadzi do upadku i martwoty. Zresztą, cała nasza estetyka nie miała nic swojego, cała była sposzyta z niemieckich strzępów i polskimi wyrazami broniła niemieckiej myśli.

Dalej, Gierymski, szukając przyczyn tego stanu umysłów, tego stosunku do sztuki, wypowiada w sposób dobitny i oryginalny zdanie, w którym jest dużo słuszności:

„Jest jeszcze co innego. To to, że w sztuce dostali naraz wszystko, jeżeli nie wszystko, to przynajmniej dużo rozmaitych obcych sobie elementów sztuki, a nie byli przy rodzeniu się ich, przynajmniej nie patrzali, jak one gdzieindziej się rodziły. Cóż chcesz, mówię na kpiny: renesans Rafaela znają z Krudowskiego, wenecki z rozpasianiem Makartowskimi u Żmurki, cały melanz klasycyzmu liniowego z modern Alma Tademą i czort wie jeszcze co w Siemiradzki i t. d., i t. d. To, co my uważamy za parszywstwo, kradzenie, kompilowanie, lub co innego, dla nich ma właśnie wartość, jakby Ekstraktu Liebiga“.

Do kwestyi, wynikających z tej walki polemicznej, Gierymski z różnych powodów wracał nieraz, dziwiąc się, że skutku jej nie widzi bezpośrednio w prasie, że o książce milczą. Gierymski nie uświadamiał jednego znamienego faktu naszej umysłowości. Mianowicie, że łożyskiem, którym przyływają i rozchodzą się po społeczeństwie nowe prądy myśli, nie jest wyłącznie prasa. To społeczeństwo wyprzedza nieraz kierowników swojej opinii, i tym sposobem, jak pisał kiedyś „Przegląd Tygodniowy“, prasa zasiada niekiedy „na estradzie tem dziwnej, że zstępującej w głąb, niżej poziomu powszechnego“. Kiedy nasze społeczeństwo przeczytało Taine'a, prasa jeszcze przeżuwała niemiecką starzyznę, kiedy społeczeństwo

poszło dalej i przejęło się nowymi prądami myśli, powiedzmy prosto, przeczytało Sztukę i krytykę, i od indywidualności rasy przeszło do indywidualności artysty; krytyka, albo przeżuwa po większej części Taine'a, albo, wchłaniając nowe pojęcia, ignoruje jednak zupełnie ich źródło. Postęp w tym kierunku jest trudny, wskutek subtelного związku, który w sędzi o sztuce zachodzi między wzruszeniem, doznawaniem od dzieła sztuki, a wnioskiem przedmiotowym, opartym na odnalezieniu pewnych psychologicznych podstaw twórczości i stałych, zasadniczych właściwości dzieła sztuki. Jednak postęp jest. Mnóstwo błędów, naiwnych nieuctw zniknęło z naszej krytyki, dzięki głównie temu, że więcej jest artystów, którzy piszą i którzy w każdym razie są obeznani z elementarnymi warunkami tworzenia się malarstwa, lub rzeźby. Nie jest to jednak równomierny, celowy rozwój teorii sztuki, tylko przypadkowe trafianie, lub mijanie właściwych kolein, po których powinno się dążyć do jej poznania.

Są naturalnie przytem i cofania się do dawnych błędów, które, jak się zdawało, powinny były być całkiem usunięte z pola dyskusyi. Założone niedawno w Warszawie pismo, „Chimera“, które z taką bezwzględnością ogłosiło swoje szczególne kwalifikacye do zajmowania się sztuką, swoją jakąś uprzywilejowaną rolę jedyne go źródła słusznych pojęć i jedyne go ogniska prawdziwej sztuki, to pismo, w dziale krytycznym, w tem, co mówi o sztuce, o jej teorii i zadaniach krytyki, wraca do wszystkich fatalnych błędów niedawnej estetyki. Sądząc z tego, co dotąd w tem piśmie o sztuce się czytało, trzeba przyznać jego krytykom dużą dozę charakteru, co jest wielkim krytyka przymiotem, jeżeli poza odwagą wypowiedzania swoich przekonań ma on jeszcze rzeczywiście słuszne o sztuce pojęcia. Niestety, krytycy „Chimery“ wracają do dawnej metody nadużywania frazesów, do absolutnego nierozumienia sztuki, i stawiają jako program, nie badanie sztuki, tylko wypowiedzanie przypadkowo skupiających się i rozlatujących się wyobrażeń, jakie w nich wobec dzieła sztuki powstaną. Nie było-by jeszcze w tem nic ostatecznie złego. Można być poetą, który tworzy z wrażeń, odebranych, nie od natury i życia, lecz od sztuki — ale trzeba nim być. Tymczasem naiwność niektórych wyobrażeń krytyków „Chimery“, odbiera im wszelką poezję. Jeżeli p. Z. P. wyobraża, że grube malowanie i realizm, to jedno, a p. Miriam w powszechnem obowiązkowem nauczaniu ludu widzi jedną z przyczyn upadku (?) sztuki i grasowania fałszywych o niej pojęć; to tego nie można w żadnym razie brać za poezję, jest to po prostu niewiedomość. Mimowoli nasuwa się wobec tego pytanie: Jeżeli pismo, wyłącznie sztuce oddane, nie mające żadnych innych dążeń, ani celów, tylko utrzymanie na najwyższym poziomie sztuki i jej teorii, jeżeli to

pismo będzie wypowiadać takie opinie, w takim razie cóż ma pisać „Przegląd Kucharski“, lub „Gazeta Krawiecka“. Oczywiście, nie trzeba wobec tego rozpaczać i źle stąd wnioskować o przyszłości sztuki. Sztuka rozwija się wbrew wszelkim teoryom i niezależnie od całej ich nicości. Sztukę tworzą talenty, nie teorye. Ale teoria sztuki jest niezależnem, nader ciekawem i koniecznem polem myślenia i badania, i szkoda je tak strasznie zanieczyszczać, z taką lekkomyślnością siać na niem puste, bezmyślne frazesy. Nie zabije to sztuki, ale może wywołać znówu nieporozumienie między nią a widzami i słuchaczami, nieporozumienie, które zawsze fatalnie odbija się na życiu artystów.

Gierymski ciągle się interesował postępem tej sprawy zmiany pojęć i drażnił się tem, co czytał. W końcu, widząc, co się dzieje, wybuchnął i pisał między innymi:

„Żyć w kraju obcym jest podle, ale jest wielkie szczęście nie patrzeć na tę kanałię estetyczno-artystyczną u nas. Czytając Twoją książkę, o co i z kim się biłeś, doznawałem obrzydzenia, jakiego nigdy przedtem nie miałem. Tu, albo reklama, albo baty na zimno, zawsze lepiej brać w skórę, jak racya, niż być smarowanym miodem i tylko muchy człowieka osiada, — nie mówię o sobie, bo już ja tam miodu nie miałem!“.

Dziś stwierdzić należy już zmianę pojęć ogromną i postęp niewątpliwy. Ta skwapliwość, z jaką dziś są uznawane nowe talenty, bez względu na krańcowe przeciwieństwa ich cech indywidualnych, wielkie i znacznie szersze zainteresowanie się sztuką, wielostronność tego ruchu, są zjawiskami, których bez niesprawiedliwości nie można nie uznać i które stanowią rażącą różnicę między tem, co jest dzisiaj, a tem, co było w owych czasach, kiedy Gierymski męczył się w Warszawie. Jak się myśli o tamtych latach, kiedy ten ruch artystyczny u nas się rozpoczynał i kiedy ostatecznie ułożyły się pojęcia Gierymskiego o stanowisku, jakie sztuka może zająć wśród naszego społeczeństwa; to się ma wrażenie, że my wówczas zśliśmy samotni, głębiną jakichś ciemnych podziemi, podczas kiedy nad naszymi głowami, gdzieś poza ciężkiem sklepieniem, był blask, życie i radość, — ale nie dla nas, — i żal bierze takiej nieszczęsnej duszy, jak Gierymskiego, która już nie zdołała wyjść na to światło i ukoić żrącego ją żalu i rozterki.

A co dziwniejsza, to, że tego społeczeństwa nie można obwiniać było o bezwzględną niezdolność odczuwania artystycznych wrażeń, o zupełną obojętność na ten świat zjawisk, które stanowią sztukę. W owych-to latach przecie z taką siłą promieniowało tak świetne ognisko sztuki, jakim był wtenczas Warszawski teatr. Przecież były czasy nieźrównanego blasku talentu Modrzejewskiej, czasy Bakało-

wiczowej, Popielówny, Żółkowskiego, Królikowskiego, najlepsza do-  
ba Rapackiego, Ostrowskiego, i tylu innych, mniejszych, lecz w każ-  
dym razie doskonałych, artystów. Publiczność, która zapełniała teatr  
od paradyżu do parteru, przedstawiała wszystkie warstwy społeczeń-  
stwa i wszystkie jednako porwane siłą, wzniosłością i pięknem gry  
Modrzejewskiej, przeżywały najszczytniejsze stany ludzkiej duszy, do-  
chodzące do kresu wrażeń—do zachwytu, i zdawało się, że siła i za-  
kres tych wrażeń powinny otworzyć oczy i na resztę zjawisk arty-  
stycznych. Tak jednak nie było. Między teatrem a malarstwem nie  
widziano związku, szukano w nim tylko wzruszeń; przychodziły one  
w cudownych kształtach, o których można było śnić, ale przede-  
wszystkiem publiczność ta chciała płakać, rozpaczać, nienawidzić i ko-  
chać; cieszyć się do upojenia i przerażać do obłędu, przeżywać krań-  
cowe stany uczuć, których życie codzienne nie daje, szukała ona  
szczytnych i kojących wrażeń w świecie, o wiele piękniejszym i do-  
skonalszym, od dni powszednich. Teatr zresztą, wskutek swojej orga-  
nizacji materyalnej, był już dostępny dla wszystkich. Największy bo-  
gacz za oglądanie tych arcydzieł płacił najwięcej parę dziesiątków  
rubli, i nie tylko widział, ale pokazywał siebie; teatr dla „społeczeń-  
stwa“ jest częścią salonu, ta zaś rzesza, która społeczeństwa nie sta-  
nowi, za swoje kilka złotych nurzała się w wymarzonem świecie,  
którego blask łączył się z dźwiękami najcudniejszych strof wielkich  
poetów. Żeby wszystkie, niezrównanego piękna, pozy Modrzejewskiej  
i wyrazy jej twarzy, zmieniły się w posągi i obrazy, materyalny roz-  
brat między niemi a społeczeństwem wystąpił-by natychmiast i sztuka  
taka nie mogła-by istnieć,—nie mogła-by nawet przejść nikomu  
przez myśl, tak dalece było to dalekie od tego, co społeczeństwo na  
sztukę wydawało. Teatr, ponad malowniczością, daje przedewszys-  
tkiem w r z u s z e n i a, które pokrywają wszystkie inne wrażenia od  
sztuki, i po te wzruszenia ludzie tam idą. Konwencyonalna malowni-  
czość owoczesnego teatru, przystosowana z gruba do potęgowania  
wzruszeń, była tak pozbawiona artyzmu, że nie mogła otworzyć oczu  
na sztuki pokrewne i nauczyć, jak na nie należy patrzeć. Zresztą  
i w tej sferze krytyka, teoria teatru, ma dużo na sumieniu i niedbal-  
stwa, i nieuctwa, i rozmyślnego fałszu. Owszem, nigdzie może tyle  
świadomego zła nie było, co w tej krytyce, która tak bezpośrednio  
dotykała człowieka, tak łatwo schodziła ze stanowiska artystycznej  
krytyki na stanowisko osobistego oszczerstwa. I tu między publicz-  
nością a krytyką był nieraz zupełny rozłam, publiczność bowiem,  
wbrew krytyce, dawała się bez zastrzeżeń nieść wrażeniom i miała  
możność wypowiedzieć swoje zdanie burzą entuzjazmu i wdzięczności.



Taką publiczność, choć mniej liczną, miało malarstwo, ale ona nie mogła niczem dać znać, że gdzieś istnieje i nic też o niej nie wiedzieliśmy. Zatem otaczała nas zupełna pustka i obojętność.

Ostatecznie więc Gierymskiego nikt nie rozumiał, nikt, poza może paru przyjaciółmi, mu nie współczuł, nie potrzebował go i nie mógł słusznie ocenić i oddać mu tego, co mu się należało. Jakim było to jego życie w Warszawie, dają miarę te wspomnienia, te uczucia, które kołatały się później już, kiedy mieszkał za granicą. Nie dająca się ukoić gorycz, gryząca ironia i żal za tem wszystkim, co się traciło w tej rozterce, w tem osamotnieniu, drżą w każdym jego liście.

„Nie odebrałem od ciebie żadnego listu,—pisał z Paryża wr. 91, —szkoda. Nie podobałem ci się? Czy co? Widzisz, moje stosunki w Warszawie znasz, moich przyjaciół także, uprzedzam, że nie chcę po nich jeździć, bo nie było-by za co, przynajmniej po przyjaciółach. Co mnie jednak może ciągnąć do kraju? Nic.—Pisałem do ciebie, jak mi było źle i jak mi było trochę lepiej, chciałem się poskarżyć i pochwalić, to potrzeba, to ani słabość, ani głupota. Jestem człowiekiem, który żyje ambycją i tem, co chce zrobić w życiu. Na to nie mam ani pola, ani możności w kraju. Wywnętrzać się przed ludźmi, z którymi chociaż się dawniej żyło, ale którzy mnie nie rozumieją — znudziłem się — nie koresponduję więc z nikim. Do ciebie pisałem, bo żyjesz w podobny sposób, nie żądam od ciebie sympatii, bo na nią nigdy nie pracowałem, ale rozumienia mnie. Nie jestem zdolny nienawidzić ludzi, ale mogę niecierpieć i lekceważyć z całej duszy ideę, którą oni żyją. Szkodę, jaką oni mi mogą wyrządzić, jako człowiekowi, mogę odczuć, ale i zapomnieć—artyście nie—tego się nie da odrobić, życie jest za krótkie, a to straszne ślady zostawia na talencie. A ignorowanie ciągle?.. Odczuwam to i piszę o tem, bo to głupie uczucie jest rzucić to, o co się dawniej dbało, zostawić tam gdzieś większą część życia, które było tylko męką i szukać nowego dla siebie miejsca, a to tak trudno. Nie mam moralnie jednego, a do drugiego przystępuję, jak akademik wychowany w licej szkole.“

Miejsca tego Gierymski nie znalazł i ze swoją naturą znaleźć nie mógł. List ten, tak boleśny, pisany zmienionym charakterem, zdradzającym wielkie rozdrażnienie, ma ołówkiem nakreślony następny dopisek: „Gdybym się z życiem i słowami rachował, może-bym listu nie posłał—ale, cóż robić, jutro może będę w podobnem usposobieniu, dziśco prawda nie: e n e r g i e v o l l ! Mam to wszystko gdzieś, com pisał,

ale do licha tożbym z ludźmi nie rozmawiał, albo parę razy do roku, gdybym czekał chwili zupełnej równowagi.“ Zdaje się, że się słyszy Słowackiego: „Cierpię, lecz jeszcze gardzę“. I rzeczywiście, w męce Gierymskiego odzywają się tony tak podobne do klątw, szyderstw i złorzeczeń, któremi ciska Słowacki, że można-by tym „rymem, co kąsa aż do jelitów“, dosłownie wyrazić udręczenia, niepokoje i żale, które szarpały Gierymskim. Analogia ta opiera się na podobieństwie pewnych cech psychicznych i podobieństwie zdarzeń. Wielka ambicya, która paliła się w jednym i drugim, ambicyanie zaspokojona i obrażona, drażliwość i wrażliwość, oddawanie się bezwzględne chwilowemu porywowi namiętności, która niosła myśl podnieconą znacznie dalej, niż człowiek-by chciał w chwili otrzeźwienia, stanowią znamienne cechy podobieństwa. Głęboka uczuciowość i rzewność, obok bezmiłosiernego szyderstwa, ciągle polaryzowanie się uczuć, a jednak nie dające się niczem ułagodzić poczucie krzywd, i to nieraz bezmiłosierdzie, ta możność bycia „bez łez, bez litości dla zwyciężonych“, nie mniej stanowią wspólne cechy Słowackiego i Gierymskiego. Kiedy Słowacki woła:

Gdybym nad sobą miał więcej litości,  
 Gdyby mi nawet w krew nie przeszła wzgarda  
 Tego, co teraz jest i co w przyszłości  
 Być może, — lutnię szalonego Barda  
 Skruszył-bym, wzięwszy pod zgięte kolano,  
 I nową harfę wziął niepokalaną.

To zdaje się, że się słyszy Gierymskiego, który mówi: „po co ja się tak nad sobą pastwiłem!“ i żali się że nie może już wrócić, że nie ma do czego wracać, gdyż ten świat blizki przejadła gorycz i pozostał w pustce, na rozdrożu, w samotności. W tych podobieństwach źródeł i cech cierpienia, jest jednak jedna, ale olbrzymia różnica. Słowacki, chociaż mówił, że „Z mojego życia poemat dla Boga“, już zaraz w następnym wierszu prządl z tego życia cudowną, skrzącą się barwami tęczy i blaskami promieni słońca, załamanego w porannych rosach, nić swojej poezji. Kto może wszystkie swoje uczucia, cierpienia i męki zamienić na „fajerwerk z gwiazd kilku tysięcy“, ten ma niestetychaną w życiu ulgę. Rozkosz, jaką daje twórczość, przyglądanie się cudnej budowie strof, wsłuchiwanie się w świetną harmonię wiersza, który „łśni jak mozaika, śpiewa jak słowiki“, wszystko to

sprawia, że ból i rozpacz, które były pobudką tworzenia, giną w tej świetności i bogactwie arcyzmu.

Bo kiedy grzebię w ojezyzny popiołach  
A potem ręce znów na harfie kładnę,  
Wstają mi z grobu mary — takie ładne!

Takie przejrzyste, świeże, żywe młode,  
Że po nich płakać nie umiałbym szczerze;  
Lecz z nimi tamec po dolinach wiodę,  
A każda, co chce z mego serca bierze:  
Sonet, tragedję, legendę lub odę.

. . . . .

Gierymski tej ulgi nie miał. Między jego sztuką, a tem, co czuł, co cierpiał, między jego niepokojem, tęsknotą, samotnem wyciem w pustce, a jego wyobraźnią artystyczną, jego talentem brakło pośredniczącego kółka, którego tryby mogły-by poruszyć jego twórczość zgodnie ze stanem uczuć i kierunkiem myśli. Zjadał się też i męczył na prawdę, nie mogąc z tego zrobić poetycznego frazesu, czasem tylko, w listach, wyrzucając z siebie z taką siłą i szczerością, nieraz brutalną, bolesną treść życia. Tę wzgardę dla tego „co jest“ odczuwało wielu, ale u Gierymskiego, jak i u Słowackiego, komplikowała się ona świadomością własnej wartości i ambicyą, to jest żądzą, by tę świadomość podzielali inni; i to właśnie nadaje taką gorycz, taki zgrzyt osobisty, każdemu odczuwaniu przez nich ujemnego stanu społeczeństwa.

Nie pamiętam, com odpisał Gierymskiemu na jego tak już bardzo bolesny list, dość, że odpowiadając mi pisze: „Co do tego, coś mi odpisał w liście, w kwestyi wymyślania na społeczeństwo nasze, to główna niekonsekwencya była, żem pomieszał, pieując się, dwie rzeczy ze sobą: kwestję ambicyi (dosyć zabawne pisać do kolegi) a więc namiętności nie rządzącej się żadną loiką, i moich pojęć ogólnych...“. I dalej, z tą jasnością myślenia i zdolnością odczuwania, gdzie jest

wznioślejsza strona sprawy, rozwija Gierymski swój pogląd na kwestię stosunku narodowości. Gierymski doskonale rozumiał niebezpieczeństwo, jakie tkwi w tej idei, dla pojęć wyższego rzędu etyki, dla sprawiedliwości i dla ukształtowania się rzeczywiście doskonałych stosunków między ludźmi. Rozumiał on, że tą samą ideą mogą kierować rozmaite zasady etyczne, że kiedy za tę ideę wezmą się narody silne i, jak Prusacy, stojące na niskim stopniu kultury, idea ta będzie wyrażała zupełnie coś innego, niż kiedy za nią szły w ogień Grecya, Węgry, Włochy i inne ludy. Ta sama idea obowiązuje w Poznaniu, co i w Berlinie, ale tam oznacza ona sprawiedliwość — tu, przemoc. Pod tym względem Gierymski podzielał wstręt Mickiewicza do „patryotyzmu starozakonnego“, i poglądy Tołstoja na tę zawiłą sprawę.

Lecz na to tło ogólnych pojęć ciągle występują jaskrawe plamy, do żywego zadraśniętych uczuć osobistych. Każde wspomnienie pobytu w Warszawie wywołuje bolesny zgrzyt, lub piekącą ironię.

„Zdawało mi się, wyjeżdżając,—pisze z Monachium, — że będę mógł zachować z Warszawą stosunek trochę lepszego gatunku, że mnie już popuścili—gdzie tam!“ Gierymski boleśnie odczuwał jeden ze sposobów, któremi publicystyka stara się sponiewierać talent i zasługę, to jest *ignorowanie*, to rozmyślne zamilczanie o pewnych ludziach i czynach, którzy jednocześnie czegoś dokonali razem z innymi, o których pisze się szeroko i dużo.“

Nie jeden Gierymski pracował tak, otoczony zupełną pustynią obojętności, nie on jeden rwał się do czynów, które były nikomu niepotrzebne; nie on jeden czuł i myślał głębiej i dalej, niż otoczenie. Byli i inni artyści, ludzie idący myślą naprzód, którzy wśród owoczesnego społeczeństwa byli całkiem samotni, którzy wiedzieli, że ich artystyczne dążenia rozbijają się o zupełny brak współczucia, a ich społeczne marzenia, żeby się ujawniły i żeby to społeczeństwo było w możności z nimi się rozprawić, rozprawilo-by się w sposób bezwzględnie wrógi i niemiłosierny. Jednak ludzie ci inaczej odczuwali swój stosunek do społeczeństwa: z jednej strony ambicya grała w ich życiu mniejszą niż w życiu Gierymskiego rolę, z drugiej, mieli oni nad nim tę przewagę, że byli ludźmi ze wsi.

Kto w danym społeczeństwie widzi tylko ludzi obecnych, tylko ludzi chce kochać i tylko od nich chce być kochanym, dla kogo cała idea swego kraju streszcza się w ludziach, w ich umysłowości w danej chwili, ten bierze pojęcie społeczeństwa ciasno, jednostronnie i pozbawia się potężnego związku z krajem, olbrzymiego źródła dodatnich wrażeń i kojącej siły, jaka leży w bezinteresownem współ-

życiu z naturą, która wiekami oddziaływania wpiła się w dziedziczne instynkty. Co robił Mickiewicz w czasach „o których pomyśleć nie miał duszy?” Uciekał do „kraju lat dziecińczych“, do „lipy, która koroną wspaniała, całej wsi dzieciom użyczala cienia“, do „każdego strumienia, kamienia“, gdzie „każdy kącik był znajomy, aż po granicę, po sąsiadów domy...“, kiedy mu dusza przegorzkała strasznie wrażeniami, kiedy inni „utraciwszy rozum w mękach nazbyt długich,“ zjadali się we wzajemnych oszczerstwach i nienawiściach,— On napisał „Pana Tadeusza“, co dla jego duszy było, jak żeby wyszedł za miasto, w pole i oddał się czystym wrażeniom swojskiej natury.

Słowacki miał też:

Jedną maleńką wieś pełną ruczajów,  
 Pełną łąk jasnych, gdzie kwitnie wilgotna  
 Konwalia... pełną sosen, kalin, jodeł;  
 Gdzie róża polna błyszczy się samotna,  
 Gdzie brzoza jasnych jest kochanką źródeł...

Miał i uciekał do niej myślą zmęczoną w goryczy życia. I jeszcze jedno: zżycie się ze wsią było to zżycie się ze swojskim obyczajem, ze swojskimi formami bytu; uświadomienie jakiejś wspólności z tą stroną życia już wytwarza chwilę jasności, przyjemnego odczuwania, że ci ludzie są do mnie podobni, bliżcy, że choć w pewnych, choćby nie licznych punktach możemy się zetknąć i sobie współczuć. Czasem w porę powiedziane: P s i a k r e w! otwiera taki świat pokrewieństwamiędzy ludźmi, jakiego całe traktaty głębokich, wspólnie przestudyowanych myśli, nie mogą zaszcześcić.

Gierymski tego nie miał, nie znał. Był on prawdziwym „Cita-dino“, mieszczaninem, nie w znaczeniu społecznego stanowiska, tylko z powodu zżycia się z miastem od urodzenia, z wychowania, z upodobań i stosunków. Moja ojczyzna, — mawiał — Szpital Ujazdowski! Koledzy z Monachium śmieli się z niego, że kiedy wróci do kraju, i idąc gdzieś szosą za miastem, spotka polskiego chłopca, uchyli cylindra i powie:— „Pardon! czy nie wie pan, gdzie tu jest Oberża?“ Rzeczywiście wsi nie znał i właściwie nie lubił, miał więc zamknięty przed sobą cały świat wrażeń kojących i odgradzony był od olbrzymiego źródła zjawisk, które pozwoliły-by mu czuć się jeszcze u sie-

bie, mimo, że jego malarstwa nikt nie chce, a jego pojęć nikt nie rozumie.

Kiedy nam kilku, którzyśmy tak samo byli bici przez nędzę i dręczeni przez niezgodę z otoczeniem, kiedy nam to życie dogryzło tak, że już wytrzymać nie można było, uciekaliśmy za Wisłę na prakie targowisko, w tłum i gwar wiejskiego jarmarku; brnąc w błocie, szarpani wiatrem, sieczeni przez deszcz, cieszyliśmy się gwałtownością wrzaskliwego życia, całą tą tak bajecznie typową, oryginalną, tak bardzo swojską atmosferą wsi, która się tu stykała z miastem i przeciwstawiała się swemi plemiennymi cechami kosmopolitycznym formom miejskiego życia. Uciekaliśmy za Pragę w bagna i zarosłe oczeretem łachy, wrzynające się w piaski za Siekierkami; szliśmy do wsi, jarzącej się od czerwonych chust i welniaków dziewczynek, którym płowe warkoczyki okalały z dwóch stron śmiejące się twarze, i nie mogliśmy się oprzeć tej żywiołowej energii, młodości i wesołości, która biła z całej wsi, dygocącej od oberka, śpiewanego przez dzieci, zamknięte w chałupach, podczas kiedy starsi kopali gdzieś ziemniaki na szarej roli. Szliśmy dalej przez jesienne ścierniska, przez nasypy żółtych piasków, aż ku dalekim borom sosnowym. Szliśmy bez celu określonego, naprzód i nazad, za wrażeniami, za obrazami, „gadając z ziemią, która głucha dla mieszczan, tysiącami głosów szeptała nam do ucha“; brnęliśmy w nocy przez podszycia leśne i wracaliśmy do miasta gdzieś nad ranem, do miasta, drzemiącego w rudej mgłę kurzu i dymu, wracaliśmy zmęczeni, z bolącymi nogami, ale z duszą ukojoną, pełną jasnych i niczem nie zbrukanych wrażeń, i z krwią oczyszczoną wdychaniem, przepojonego żywicą, powietrza sosnowych gąszczy. Gierymski tego wszystkiego nie znalazł. Zamknięty w mieście, skoro wyszedł z pracowni, gdzie oczywiście malując, nie przestawał się dręczyć pamięcią tego, jakim jest jego życie, a jednocześnie walczył ze sztuką, której stawiał wielkie i skomplikowane wymagania, skoro wyszedł na miasto spotykał się z całym tym nienawistnym tłumem ludzi, o których wiedział, że im wszystko jedno, co się z nim i jego sztuką dzieje; spotykał się z pospolitością myśli i wyrazów, a skoro wziął gazetę do ręki, czytał potworne głupstwa o sztuce; nie mógł nigdzie się ukryć przed tem męczącym środowiskiem, w żaden sposób od niego się odczepić; niczem przegrodzić mrocznego biegu swoich myśli, zatrzymać swoich uczuć staczających się bez końca w ciemną głęb rozpacz.

Kiedy już był za granicą, ciągle w listach wracał do tych wszystkich bolących, nie wspomnień, bo Gierymski nie przestawał być zwią-

zany z krajem, nie przestawał go odczuwać, ale wracał do tych chwil, kiedy ten jad złych uczuć w nim się zaszczepił.

„Co się robi z człowiekiem! — pisał z Paryża. — Dawniej obchodziło mnie dużo rzeczy oprócz sztuki, dziś już nie; a ze sztuki coraz więcej tylko ta, którą sam produkuje; nużą i nudzą mnie cudze obrazy, mógłbym ich wcale nie oglądać. To nic, to wielkie szczęście żyć z daleka od masy tych spraw, które, wyznam, albo nie, albo mało obchodzi, a któremi przez otoczenie ciągle jesteś karmiony, mieszkając w kraju. Tu przynajmniej żyję naturalnie dla mojego temperamentu. Żeby tu można zostać! Wejść w stosunki artystyczne i pieniężne. Tu, nie w Niemczech, można żyć swobodnie... Dosyć mam tego, chcę żyć swobodnie, niech mnie ludzie nie nudzą! — Podczas kiedy Gierymski przeżywał w Warszawie te ciężkie, męczące dnie w samotności, ja, mieszkając o kilka ulic od niego, nic o tem nie wiedziałem. Pierwsze zetknięcie było takie, że do zbliżenia przyjść nie mogło. Ja przypuszczałem, że on swój program życia urzeczywistnił, że się obraca w jakimś świecie towarzyskim, odpowiadającym jego upodobaniom i poglądom niegdyś wypowiedzianym, że wogóle jest człowiekiem, który żyje w sferze sobie właściwej i zapewniającej mu egzystencję. Widywałem go na ulicy, — prawda, wygląd jego coraz bardziej oddalał się od spokoju i elegancji. Twarz blada mroczyła się surowym i złośliwym wyrazem, z oczu patrzył znowu złowrogi niepokój; paltó coraz bardziej rudniało na grzbiecie, z pod nastawionego kołnierza widać było ogromną, rozdartą dziurkę od guzika, a cylinder tracił połysk i okrągłość. Ale zbliżyć się nie było sposobu. Gierymski mijał prędko, czasem się nawet nie kłaniał, chociaż przechodząc otarł się ramieniem. Raz przyszedł do pracowni i proponował, żebym mu namalował konie w jego obrazie. Nie może malarz malarzowi dać wyrazu większego uznania. Nie mogłem jednak tego się podjąć, ponieważ nie miałem pewności, że podołam i potrafię dociągnąć się do doskonałości malowania Gierymskiego. Z zupełną szczerością powiedziałem mu to. — Zresztą, dodałem, — nie chcę, żeby pan potem mówił: Ten kanalia Witkiewicz!.. Gierymski rozśmiał się jakoś boleśnie i powiedział: — Doprawdy?! Czy ja tak mówię? — I tym razem do zbliżenia nie przyszło.

Kiedy jednak wszystkie te zapory się usunęły i znowu przyszedłem do pracowni Gierymskiego, przedstawiała się ona inaczej, niż przed laty. Wielkiego, świetnego obrazu nie było śladu, została tylko jeszcze jaśniejsza plama po nim i strzęp płótna, uczepony na jednym gwoździu; w obrazie, przedstawiającym renesansową siestę, wyciętych było kilka dziur, kwadratowych okien; inne płótna wydarły

własnym ciężarem górne gwoździe i zwiślały melancholijnie na dół, świecąc odwrotną stroną zakurzonego płótna; połowa świetnych studyów znikła, wszędzie ze ścian obnażonych wyzierała jakaś niszcząca i rozpraszająca siła; jakieś złowrogie widmo zdawało się rozpościerać i gasić świetne blaski talentu, które tu promieniowały przed kilku laty. Kostiumy, ciężąc przez czas długi, wydarły w końcu gwoździe i haki, i zsunęły się w wielką, zmiętą i zakurzoną kupę łachmanów, dokoła obnażonej i podziurawionej ściany. Kłęb starych ubrań, zmiętych kołnierzyków, dziurawych butów leżał tuż na przejściu, a z niego sterczał róg bleitramu, na którym odkryłem potem ową „Babę”. Łóżko z kołdrą podartą i brudną pościelą stało jawnie i bezwstydnie, nie dbając o nikogo; nie zamiatana podłoga zarzucona była ogarkami papierosów, niedopałkami zapalek, szczątkami studyów, papierów i wyciśniętymi tutkami farb. Było zimno, a prostopadle światło z dachu, przesiane przez ściekające strugi deszczu, nappełniało wszystkie kąty bladą, zimną jasnością. Gierymski, w cylindrze, w wyszarzanym paltocie, bladej, zielony, obrośnięty, z niestrzyżoną brodą, spozierał z pewnym, chwytającym za serce wstydem po tych ścianach, po całym tem swoim otoczeniu, świadczącym, jak przeszły te lata jego życia ..

Z programu życiowego, który Gierymski sobie stawiał, nie ziszcilo się nic. Przedewszystkiem ten program był tak dalece niższym od rzeczywistego poziomu jego duszy, że w żadnym razie nie mógł go Gierymski przeprowadzić. Na zdobycie sobie stanowiska towarzyskiego trzeba było innej natury, trzeba było być giętkim, pozwalać się klepać po ramieniu i przyjmować to, co dawali ludzie, chętnie zresztą „protegujący“ sztukę, to jest obiady; trzeba było zgodzić się na „spuszczanie“ obrazów i obrazeczków przy pomocy znajomych dam z towarzystwa, lub jakichś dobrych ludzi, którzy, dowiedziawszy się o biedzie dorożkarza, czy malarza, chętnie przychodzą z pocziwą pomocą. Może być, że Gierymski przez czas jakiś utrzymywał pewne stosunki towarzyskie, ale on z natury swojej, ze wszystkich swoich potrzeb czuciowych, mógł żyć tylko w nielicznem i serdecznem otoczeniu ludzi, których już się zupełnie nie bał, z którymi się znał do końca i którzy mogli z dobrocią, ale i stanowczością, utrzymać w pewnej równowadze jego szarpiącą się duszę. Dość, że podczas, kiedy ja wyobrażałem, że on spokojnie bywa na rantach, maluje obrazy, które gdzieś posyła, lub sprzedaje na miejscu, żyje dostatnio i spokojnie, on szarpał się w biedzie, niepokoju i zgryzocie, zjadał się ambicyą, obrażoną do żywego tem, co się z nim działo, zapadał coraz głębiej w gorzyc i mroczną, rozpaczliwą nienawiść.



Malował i dręczył się; wieczorami, zamiast rautów w wytwornych salonach, grał w bilard, grał znakomicie – w cukierni Paraviciniego, w zadymionych ciasnych izbach; grał z ludźmi, dla których on był tylko „panem G.” i niczem więcej, „panem G.”, który robił świetne karambole, podziwiane przez panów H. J. K. i t. d. Kiedy wyszedł stamtąd zmęczony i wyczerpany, na ciemnej ulicy ogarniała go reakcja, obrzydzenie, wstręt, pogarda dla siebie i wszystkich tych panów z alfabetu. Nerwy, zdręzione i zdławione napięciem uwagi nad karambolami, wybuchały w jakiejś burzy niepokoju. Wracał do swojej pracowni, i idąc po ciemnych kręconych schodach bez końca, czuł dokoła siebie wyzierające z każdego załomu widmo strachu; zdyszany, dochodził wreszcie do swoich drzwi, ciągle się bojąc, że gdy wyciągnie rękę, trafi na czyjeś ciało, dotknie jakiegoś złowrogiego człowieka, jakiegoś wstrętnego andrusa - złodzieja... Kiedy zapalił świecę, stado wron, śpiących na żelaznym grzebieniu, wznoszącym się nad oknem w dachu, zbudzone blaskiem, zrywało się z krakaniem i, łopocąc, ślizgało się po szybach po nad jego głową... Gierymski nie spał już do rana.

Takie było życie jednego z najświetniejszych polskich malarzy...

Gierymski opowiadał raz, jak muchy w jego pracowni martwieją z chłodu, i przygrzane zapalką, odżywają i zaczynają bzykać, i znowu zapadają w martwość, skoro zapalka zgaśnie, — tak też było z Gierymskim. „Temperatura moralna“ w stanie normalnym była taka właśnie, jak temperatura zapadania much w letarg; czasem coś przygrzało i przez chwilę można się było ruszać, ale temperatura znowu spadała i ciemna martwota ogarniała duszę, i stopniowo wyczerpywała się siła życia.

Jego dusza w tych latach przesiąkła tak temi złemi wrażeniami, tak głęboko zasiadła w niej gorycz i poczucie krzywdy, która mu się działa, że gdziekolwiek potem był, cokolwiek z nim się działo, uświadamianie tej niewyrównanej rozterki, tego niezalutwowanego rachunku, tego strasznego rozbratu, którego nikt nie starał się złagodzić, którego nic nie zatarło, zawsze i wszędzie było dla niego równie bólem.

Uświadamiając ciągle, że jemu, jako malarzowi, jest lepiej w Paryżu, że pewna przynajmniej strona życia jest zaspokojona, nie czuje się on ani na chwilę zwolnionym z bolesnego stosunku do kraju, nie może się zdobyć na obojętność względem niego, nie może zapomnieć, kim jest i co traci, zrywając naturalną i nierozzerwalną łączność z własnym społeczeństwem.

Z Paryża pisał do Zakopanego:

„Zazdrościłem czasami tego spokoju wśród natury, zasypanej śniegami, tam musi być dobrze żyć. Jak sobie trochę pieniędzy zbiorę, trochę obrazów namaluję, tak samo zakopię się na wsi. Wielkie miasto męczy, nie żyjąc w niem naprawdę, patrząc tylko na życie ludzkie“.

Więc znowu jest on w sferze, na którą patrzy, z którą jednak nie żyje, która mu jest obcą. Zdawało-by się, że znalazłszy tam i uznanie, i dobrą atmosferę artystyczną, mógł-by, on, który z taką wzdargą o tym kraju mówił, zdawało-by się, że może o nim zapomnieć. Nieprawda! Z listów widać, że się z tamtym światem nie zżył; mówi z tych listów ta rozpaczliwa pewność, że:

...i tu, i tam, za morzem i wszędzie...

Gdzie tylko poślę przed sobą myśl biedną,

Zawsze mi smutno, i wszędzie mi jedno;

I wszędzie mi źle — i wiem, że źle będzie.

Jeżeli jaki kraj i społeczeństwo, poza Polską, Gierymskiego ciągnęły i rzeczywiście były mu miłsze—to Włochy. Ten ocean sztuki, te nieprzerwane miasta, stykające się granicami swoich przedmieść, ten ogrom starej kultury i malowniczego, dzikiego życia społecznego, a zresztą nie wiem już jakie nieświadomione pierwiastki sympatii, wszystko to go ciągnęło. Mówił po włosku dobrze i chętnie się z Włochami stykał i rozmawiał,—z naszymi cukiernikami naprzykład, lub wędrownymi odlewaczami rzeźby i modelami. Kiedy oddział wojska włoskiego, z okrzykiem: E viva Italia! zginął do nogi w piaskach Abisynii, Gierymski był dumny, cieszył się, że jego Włosi tak dzielnie się zachowali. Ta jego sympatya do Włochów ma jedną ważną stronę: jest absolutnie bezinteresowną—nie zarobił na niej nic. Gierymski, plując bezmiłosierną goryczą na własne społeczeństwo, nie był jednak zdolnym do żadnych niskich kompromisów. Nie potrafił-by on pogodzić „zdrowego postępu z tradycją“ i, będąc tem, czem był z urodzenia, malować jednocześnie pruskie zwycięstwa i polowania.

Gierymski mógł zginąć tak, jak zginął, w bolesnej rozterce z życiem, z tem, co mu było pomimo wszystko drogiem, choćby, jako najgłębszy, najserdeczniejszy ból; ale nie mógł utonąć w czemś pła-

kiem i marnem, — w jakimś pospolitem bagnie ludzkich sto-  
sunków.

Ich weiss es wohl, die Eiche muss erligen,  
Derweil das Rohr am Bach durch schwankes Biegen,  
In Wind und Wetter stehn bleibt, nach wie vor,  
Doch sprich, wie weit bringt's wohl am End solch Rohr.  
Welch Glück! als ein Spazierstock dienst's dem Stutzer,  
Als Kleiderklopfer dienst's dem Stiefelputzer.

(Heine).

Gierymski też się złamał.

STANISŁAW WITKIEWICZ.

---

# Dawne powieści i romanse polskie.

---

## SZKIC LITERACKI.

---

### I.

Niezbyt odległe to czasy, kiedy romans i powieść, które dziś piśmiennictwem pięknem zawładnęły zupełnie, dla tego piśmiennictwa wcale jeszcze nie istniały, kiedy sama estetyka, wzorująca się na Arystotelesowej, a więc nie znająca romansów, nie wiedziała też, co z tym mieszańcem począć właściwie, gdzie go umieścić, to jest jakie mu przepisy narzucić. I powiedziano sobie, że romans, to epos w prozie, że powstał z rozkładu materji wierszowanej, że podpada więc pod reguły epickie, wymagające nadludzkich bohaterów, cudownej akcji, sentymentów heroiczych.

Definicja ta i przepisy są słuszne, skoro je ograniczamy do romansów średniowiecznych. Istotnie bowiem, gdy samo rycerstwo z ideałami swemi dogorywało, podniecano tęsknotę za zanikającym światem, rojenia o jego blasku i dzielności, zachwyty nad jego złudnym urokiem, wskrzeszaniem pomników literackich, jakie świat ten niegdyś wydał. Ale chansons de geste same straciły już powab, prze-

starzał się ich język i forma; więc odnawiając je, wiersze prozą zastępowano; tak powstał romans i powieść rycerska—innych na razie nie było. Nowa forma znalazła poklask; poezya — i to jest walny krok w rozwoju literatur europejskich—ustąpiła przed prozą nareszcie i na tem polu, na którem do niedawna jeszcze panowała wyłącznie. Ze zmienioną formą jednak nie zmieniło się na razie samo przeznaczenie, służba, utworów powieściowych. Dzisiaj każda książka zwraca się wyłącznie do czytelnika, gdy dawniej tylko traktat uczony z nim się liczył, każda zaś inna rzecz literacka nie czytelnika, lecz słuchaczy oczekiwała. Nikt nie czytywał dla siebie, czytano głośno dla wielu, dla całego kółka. Stałe więc zwroty po dziełach dawnych: **słyszcie starzy, słyszcie młodzi, lub naprzykład:**

wszytcy ludzie posłuchajcie...  
 przykład o tem chcę powiedzieć,  
 słuchaj tego, kto chce wiedzieć  
 i t. p.

to nie frazesy, sposoby mówienia, przenośnie, lecz istotna treść rzeczy, sam jej stosunek. Marcin Bielski daje naprzykład w roku 1537 komedię w różnych miarach, i ostrzega o tem „czytelnika“, aby wedle miary wiersze czytał, gdyż „złem czytaniem dobry wiersz zepsuje“ — naturalnie czytaniem głośnem, i mówi do swych wierszy:

dobre rzeczy powiadajcie...  
 nie dajcie się czytać skrycie...  
 który pismo waży lekce,  
 czytających słuchać nie chce  
 i t. d.

Jeszcze w półtora wieku później upraszał bajkopisarz Niemirycz podobnie czytelnika, aby wierszy czytaniem nie psuł. Dziś zaś czytamy wszyscy „skrycie“, każdy dla siebie, nawet wiersze, i już ich nie psujemy, za to i harmonii ich nieraz nie odczuwamy należycie.

Inna różnica między dziś a wczoraj występuje jeszcze dobitniej. Biorąc powieść do rąk, po kilku wierszach poznajemy, choćby tego na tytule nie wyrażono, dla kogo powieść przeznaczona, dla ludu, czy

dla wykształconych, dla dojrzałych, czy dla dzieci, dla chłopców, czy dziewcząt, gdyż tylko jedną księgę mamy wszyscy wspólną, Ewangelię. Dawniej żadnego takiego dzielenia (prócz jedyne go: dla uczonych i dla laików) wcale nie znano; więc księgi, które jeszcze w połowie XV wieku książę, lub hrabina dla siebie pisać, lub przekładać kazali, spadały w ciągu niespełna wieku aż na sam spód społeczeństwa, czytali je wszyscy piśmienni, na zamku, w warsztacie, na prządkach, i tak zeszyły romanse i powieści rycerskie z grodów pod strzechy; przejście to umożliwił i ułatwił niesłychanie wynalazek Gutenberga, największy, najistotniejszy popularyzator na świecie.

Obok tak wybitnych różnic są jednak i podobieństwa, nie mniej znamienne. I tak datuje już od XV-go wieku przewaga Francji na polu belletrystyki prozą, jak niegdyś poezją epiczną Francya górowała. Jak z niewyczerpanego skarbcza francusko-normandzkiej tradycyi czerpali Niemcy, Hiszpanie i Włosi od XII i XIII-go wieku, tak rozpoczął się w XV nowy świetny pochód prozaicznej powieści francuskiej, torującej sobie drogę w licznych przekładach i przeróbkach aż do Azji; co my „powieścią ludową“ nazywamy, wyszło w najpiękniejszych swych okazach z rokosznej Prowancyi, z zycznego Poitou, z przemysłnej Normandyi, i spłacił Zachód, czem się niegdyś od Wschodu zapożyczył. Otóż o tych powieściach, które i nasz romans polski wykołysały, które przez całe wieki karm umysłową warstw najszerszych stanowiły, pomówimy, ograniczając szkic nasz do czasów najdawniejszych, do XVI i XVII wieku, a nawiązując do tego, cośmy o jednej kategorii tej powieści ludowej poprzednio <sup>1)</sup> skreślili.

Sowizdrzał i Marchołt, wraz z Ezopem, owym figlarzem średniowiecznym pod maskarą starożytną, przedstawiają tylko jedną stronę życia średniowiecznego, rubaszną, plugawą niemal, przedrzeźniającą świętość biblijną i mądrość świecką w imię prawdy brukowej, szyczącą z bliźniego, z jego nieopatrzności, zarozumiałości, słabości.

Z tą przebiegłą prostotą Saneho Pansów kłóciła się dziwnie wyniosłość, awanturniczność, rycerskość ich panów, odbita w nieskończonych opowiadaniach o idealnych rycerzach Okrągłego Stołu i dworu Karolowego, zwalczających potwory, pogany, rywale, szukających Grału, czy Grobu świętego, wzywających świat cały do hołdów dla bogdanki, kruszących niezliczone kopie w jej imię i odbierających w zachwyceniu najwyższem podwiązkę z rąk Dulcinei. Tego-to życia

<sup>1)</sup> Por. „Bibliotekę Warszawską“ zeszyt listopadowy, rok 1900, str. 201 — 244.

rycerskiego, uświetnianego przez trubadurów i minnesängerów, nie zaznała jeszcze daleka, uboga, szaraczkowa Polska XII i XIII wieku; gdy zaś zupełnie na tory europejskie wkroczyła, wybiła była już dawno ostatnia godzina owego dziwnego, fantastycznego, idealnego życia nawet we Francyi i Niemczech, nie mówiąc o Włoszech, gdzie się ono właściwie nigdy nie przyjęło należycie. Mimo to nie uszła i Polska zarazie i manii ksiąg rycerskich, które zwalczali we Włoszech liczni paradyści (od Pulci do Folengo), we Francyi Rabelais, a w Hiszpanii Cervantes; wprawdzie, wobec braku gruntu odpowiedniego, nie dorosły one u nas potwornych rozmiarów obczyzny, nie zaznano u nas owych Tristanów, Lancelotów i Parsiwalów, Amadysów i Rolandów, ani trzeba było aktów parlamentu, czy zakazów władz przeciw drukowaniu, a biczów satyry na czytelników; mimo to wyrzuciły fale literatury rycerskiej i na daleki brzeg polski jedną i drugą jej perłę.

Do pereł takich należy romans o Meluzynie, najmłodsza niemal, a najsłynniejsza ze wszystkich tych powieści, najciekawsza zarazem, dla licznych jej przeróbek, dramatycznych i epickich, dla tłumaczeń, badań, nawet dociekających pierwotnej jej osnowy i znaczenia. Nam dziś „Meluzyna“ czczym dźwiękiem została, lecz nie zapominałmy, że ją Warszawa w herbie nosi; że w zeszłym stuleciu nie było ani podsędka, ani panny z fraucymeru, którzy-by „Historyi o szlachetnej a pięknej Meluzynie“ nie czytali, że i postać, i imię jej dostały się do tradycyi ludowej, czeskiej i ukraińskiej; że Ruś moskiewska, przebierająca w powieściach polskich, odrzucająca Marcholta i Sowizdrzała, Meluzyny się oburącz ujęła. W jej ojczyźnie zaś, we Francyi zachodniej, wywodziły się domy Lusignan'ów, Rohan'ów i Parthenay'ów od Meluzyny, a wieżę jej w zamku Lusignanskim dopiero w XVII wieku rozebrano; dziś jeszcze miesięcznikowi dla „folkloru“ (literatury ludoznawczej, jak nasza „Wisła“) nazwę „Meluzyny“ nadano. Ale i poza Francją, w Niemczech naprzykład, romans ten nadzwyczajną zyskał popularność, gdy go na żądanie Margrabiego Rudolfa p. Thuring von Ringoltingen roku 1456 przetłumaczył: tłumaczenie jego wyszło nawet wcześniej w druku (rok 1474), niż oryginał francuski. Nie wspominamy o późniejszych wydaniach, bo i któżby na świecie zdołał je wyliczyć. Meluzyna, to najbardziej typowy okaz owych „Volksbuchów“, drukowanych bez wyrażenia miejsca i nakładcy, jakby zażenowanych, zawsze „tego roku“, sprzedawanych po najobskurniejszych kramikach, czytanych, nie wiedzieć przez kogo, a rozchodzących się w tysiącach egzemplarzy, jak żadna inna książka na świecie, ani biblia i katechizm nawet. Nie wspominamy tu, z obawy przewlekłości, o najrozmaitszych jej przeróbkach, począw-

szy od Hans Sachsa aż do Tiecka, Grilparzera i późniejszych; o malarzach (Schwind cykl obrazów jej poświęcił), o cytatach „Meluzyny przy źródłu“, które i w Werterze Goetego odnajdziemy. A cóż powiedzieć o badaniach umiętnych, odnajdujących w Meluzynie indyjską Miluszę i fenicką Melitę, bóstwo wodne czy nadpowietrzne, rodzoną siostrę naszej Wandy, albo też panią de Chabot, zmarłą w roku 1229. Między temi badaniami wyróżnijmy, prócz pracy doktorskiej pani Nowakowej, pracę znakomitego jurysty, etnologa i poety, Koble-  
ra (berlińskiego), który, zachwycony Meluzyną, ślady jawne totemizmu i matryarchatu w niej odszukał, na czoło wszystkich tradycji świata ją wystawił i najgłębszych związków z najpierwszem zaraniem ludzkości w niej się dopatrywał.

Nam przetłumaczył „Meluzynę“ z niemieckiego Marcin Siennik, czyli Heuwrecher, znany kompilator, r. 1569 w Krakowie, niemiecki bowiem tekst stanowił zawsze fazę przejściową dla tłumaczeń czeskich, duńskich, szwedzkich itd.; polskie tłumaczenie przeszło znowu do Rusi moskiewskiej, naprzykład w roku 1677 „Istorija bła-hoprijatnaja o bła-horodnoj i prekrasnoj Meluzinie i t. d.“; polskie druki posiadamy dziś późne, dopiero z lat 1671, 1763, 1768, 1769 i t. d., wcześniejsze zaginęły bezpowrotnie.

„Meluzyna“ zbudowana, mimo całej swej krótkości, równie nieforemnie, jak Amadysy w XVI, a w XIX wieku niektóre romanse Dumasa i innych; mieszcząc bowiem historię dwóch pokoleń, niby jakie „Dwadzieścia lat później“, mogła-by dać się przedłużać i na następne pokolenia. Oto co stanowi jej treść. Młody hrabia Rajmund zabił na łowach nieszczęśliwym trafem stryja, opiekuna i pana swego, hr. Emeryka z Poitiers; zrozpaczony, tulając się nocą w borze głębokim, gdzie go oczy poniosą, przystanął nad „Zdrojem pragnących“, pod skałą, gdzie najpiękniejsza dziewica, czekając nań z całym swym fraucymerem, zdziwionemu oznajmiła, że, jeśli ją poślubi, dojdzie potęgi i bogactw, pod jedynym warunkiem, aby na każdy dzień sobotni, skoro się pobiorą, nigdy jej nie szukał, ani podpatrywał, jeśli nie chce jej i szczęścia stracić na zawsze. Gdy Rajmund to zaprzysiągł, kazała mu wrócić do Poitiers, udać, że o śmierci Emerycha nic nie wie, potem od syna Emerychowego za służbę długoletnią żądać tylko tyle ziemi około Zdroju Pragnących, ile-by skórą jelenią przykrył, którą miał na cienkie rzemienie pokrajać. Była to Meluzyna, a Zdrój Pragnących miejsce, gdzie „złe mieszkało i mamilo“, jak ludzie okoliczni powiadali.

Rajmund, otrzymawszy na wieczystą własność ziemię około źródłu, odwiedził tam Meluzynę, wychodzącą z kaplicy,—bo ta teraz i dwór jej liczny stały się widocznymi na zawsze, — i umówili dzień



Ślubu, na który hrabinę wdowę z synem Bertramem i sąsiadów zaproszono; podejmowała ich Meluzyna z niesłychanym przepychem w namiotach w lesie. Po odprawionem weselu, kazała natychmiast Meluzyna zamek warowny budować, a około niego miasto; w zamek wmurowano Zdrój Pragnących, uczyniwszy nad nim „sklep warowny, gdzie Meluzyna swe zawarcie miewała czasu sobotniego, bo tam w nim zwykła swe kąpanie miewać, nikomu się nie dając widzieć“. Od jej nazwiska nazwano zamek i miasto „Lozaną“ (zamiast Lusignan).

Upływały lata Rajmundowi i Meluzynie w największem szczęściu; dokupywali ziemi, budowali zamki, a synów przybywało im co rok, wszyscy dzielni i mężni, lecz każdy z nich dziwnie nacechowany, jeden o trzech oczach, drugi o jednym oku wśród czoła, trzeci z kłem wieprzowym i t. d. Gdy dorastali, wypychała ich żądza sławy i czynów z domu, a rodzice wyprawiali ich bogato i błogosławili na drogę. Wyruszyli najpierw najstarszy, Uryon (Uriens) i trzeci, Gijon (Guiot); wyprawili się z La Rochelli galerą do Cypru, gdzie właśnie „żołdan“ egipski Famagostę oblegał; odsiecz ich przybyła w sam czas, gdyż poganie, zraniwszy króla cypryjskiego strzałą jadowitą, byli-by opanowali miasto, gdyby nie szalone męstwo Uryona i Gijona, którzy i żołdana zabili, i zastępy jego rozgromili, i skarby obozowe posiadli. W nagrodę za ten czyn oddał umierający król państwo i rękę jedynej dziedziczki, córki swej, Herminy, Uryonowi; Gijon otrzymał niebawem królestwo ormiańskie, osierocone śmiercią brata króla cypryjskiego, gdyż panowie radni, słysząc o waleczności Gijona, wyswatali za niego dziedziczkę ormiańską, Florę. Za starszymi opuścili dwaj inni synowie, Reinhard i Antoni, dom rodzicielski, i uzyskali w podobny sposób, zwalczając nieprzyjaciół, jeden księstwo luksemburskie, a drugi królestwo czeskie z rękami ich dziedziczek; pod Pragą powtórzyło się niemal to samo, cośmy już na Cyprze widzieli: zbyt wiele urozmaicenia bowiem wyprawy podobne nie dopuszczały.

Szósty i siódmy syn poszli jednak koleją odmienną; „Gofroj z kłem“ był najsroźszym z ludzi, nieukróconym w gniewie, lecz w zamian za to najsilniejszym i najmężniejszym, i nie z ludźmi, lecz z olbrzymami wojował; Fraimund zaś obrał stan mniszy.

Jednej soboty przyjechał do Lusignan starszy brat Rajmunda, który właśnie po zejściu ojca hrabstwa „podlaskie“ (Forest) był objął; przyjął go gościnnie Rajmund, lecz bez Meluzyny, jako w dzień sobotni. Odwiódł go brat na osobność i zaczął mu przedstawiać, że Meluzyna co sobotę pełni niewiarę z kimś innym, od którego te bogactwa posiada; trudnoż nawet wierzyć, żeby jej dzieci były własne

Rajmondowe; niech się więc przekona naocznie, niech się nie da więcej błaźnić i zwodzić. Rajmund, uniesiony gniewem, rzucił się do wody Meluzyny i przez szczelinę ujrzał żonę w kąpielu, po pas w zwykłej postaci, a od pasa z ogonem smoczym, czy rybim, mieniającym się, jak węzowy. Oprzytomniał; w serdecznym żalu za wiarołomstwo wybuchł srogim gniewem na kusiciela brata, który natychmiast uchodzić musiał; sam zaniemógł, i tylko pieśczęoty Meluzyny, która wiarołomstwo milcząc przebaczyła na razie, do zdrowia go wróciły.

Strapiły go bardzo „oblóczyny“ syna Frajmunda, i doniósł on o nich Gofrojowi, który, pokonawszy właśnie w Normandyi straszego olbrzyma, wybierał się w drugą podobną ekspedycję do Norwegii. Na list ojcowski zakapiał gniewem; miałby brat własny zdradzić zakon rycerski, aby wstąpić do mniszego, w tak rycerskim rodzie miał-by się znaleźć taki zbabiały wyrodek! — Pisze ojciec, że on do wielkiej dostojności duchownej dojdzie, oj, wywyższę ja go i z tymi mnichami! Wyruszył więc do klasztoru, zwołał mnichów, oskarżył ich, że uwiedli mu brata na własne próżnowanie i łotrówstwo, i cały klasztor z bratem i stu mnichami spalił. I on żałował po niewczasie <sup>1)</sup>, tem rychlej za to wyruszył przeciw norweskiemu olbrzymowi, Grimoldowi.

Rajmund rozpaczał nad zbrodnią Gofroją, a gdy Meluzyna obojętniej ją przyjmowała i z orszakiem panów i pań cieszyć go przystąpiła, wywarł on żal swój nad nią: „o niecnotliwy robaczy <sup>2)</sup> narodzie, — zawołał on, — byś ty prawym człowiekiem, a nie obludą była, nie życzyła-byś takiej okrutnej śmierci tylu świętym osobom i własnej krwi, którzy poginęli przez ten niecnotliwy zębaty rodzaj, w którego zwycięstwie sobie podobasz“. Wyjawieniem tajemnicy przed wszystkimi zelżona Meluzyna, zemdląła; ocucona, czyniła wyrzuty Rajmundowi, niewdzięcznikowi. „Związek nasz zerwany, nigdy mnie więcej nie oglądasz; tylko gdy Lusignan nowego pana będzie miał otrzymać, trzykroć go (w piątek, przed zgonem starego dziedzica) oblecę, kwiląc żałośnie — (stąd urosło podobne podanie o Wandzie krakowskiej); mnichów nie żałujcie, sam Bóg miał ich za występki i nie-

<sup>1)</sup> Z takich-to czynów urosła owa sława o „Gofroju“, naprzykład w Morokozmeach babińskich J. A. Kmity z roku 1617: kto z męstwa się chwalił nielada jakiego (wołu pięścią naprzykład tak uderzał, że mu ręka przez wołu przechodziła), temu polne hetmaństwo dawano i od takiego męstwa Gofrojem go zwano. Albo w „Poselstwie z dzikich pól“ r. 1606 czytamy o Gofrojach, u których błędy więcej popłacają, niż zasługi i t. d.

<sup>2)</sup> Niemieckie „Wurm“ robaka i smoka oznacza.

cnoty gromem porazić; Gofroj wystawi większy klasztor i osadzi go lepszymi". — Poczem wskoczyła na okno, wzbila się w powietrze, opadły jej szaty i okazał się długi ogon smoczy, zwięzający się stopniowo. Nigdy jej więcej Rajmund nie obaczył i straty tej przeboleć nie mógł; ona jeszcze nocą przylatywała, aby karmić najmłodsze swe dziatki, Dytrycha i Rajmunda, którzy potem na mielkich rycerzy urosli.

Gofroj tymczasem po wielkich trudach zabił w Norwegii owego olbrzyma, który w swej jaskini, rozszerzającej się w wielki zamek, skarby i ludzi więził; w jednym z gmachów ujrzał on grobowiec króla Helmesa z napisem, objaśniającym całą tajemnicę Meluzyny. Król Helmes ślubował był żonie, że jej w połogu nie nawiedzi, lecz gdy ona mu same córki rodziła, on przysięgę złamał i wdarł się do położnicy, aby ją ofuknąć; wskutek tego uniosła ją moc jakaś do owej jaskini, wraz z jej trzema córkami. Najmłodsza z nich, Meluzyna, namówiła obie starsze, aby matkę pomściły; wszystkie uniosły ojca do owej jaskini, gdzie on i skonał. Tę srogość własnych córek musiała znowu matka skarać; przeklęła więc Meluzynę, by co sobotę w ową potworę z ogonem smoczym się przemieniała, mając potworą zostać aż do sądnego dnia, gdyby ją mąż jej przyszły tak ujrzał i innym to wyjawił; córkę Meliore, żeby w ziemi ormiańskiej strzegła skarbów na zamku, z krogulcem: który rycerz przy tym krogulcu trzy dni i trzy noce bezsennie wytrwa, może od niej skarbów i zamku się upominać; trzecia strzeże skarbów w Aragonii, aż przyjdzie rycerz z jej rodu, aby skarbów tych na wybawienie Jerozolimy z rąk niewiernych dobył.

Powrócił zwycięzca Gofroj do Lusignan, do ojca, który mu rzecz o zniknięciu matki wyprawił; Gofroj mu opowiedział, co w Norwegii wyczytał. Tem większym gniewem zawrzeli obaj przeciw hrabiemu „podlaskiemu“, sprawcy wiarołomstwa Rajmundowego. Gofroj zamek podlaski napadł; stryj w ucieczce spadł i zabił się. Przygnębiony tem więcej Rajmund rzucił świat, poszedł do Rzymu i za poradą papieża Leona osiadł w pustelni, w Aragonii. Niebawem widziano Meluzynę, okrążającą Lusignan po trzy dni, znak odmiany rychłej, pana nowego, i rzeczywiście przybyli posłowie do Gofroja z wieścią o ciężkiej chorobie ojca; umierający oddał mu Lusignan. Gdy Gofroj na miejsce spalonego klasztoru większy i bogatszy wystawił, umyślił on wydostać owe skarby aragońskie, których przed nim inny, nadzwyczaj mężny rycerz napróżno, gdyż nie był z rodu „luzińskiego“, dobywał; więc brata Dytrycha na swoje miejsce w Lusignan osadził, i znowu widziano krążenie i słyszano kwilenie Meluzyny, gdyż Gofroj zapadł w ciężką chorobę i umarł, zanim się jeszcze w drogę do Aragonii wybrał.

Szczegóły romansu są historyczne; panowie z Lusignanu zostali rzeczywiście królami cypryjskimi i ormiańskimi (w tak zwanej Małej Armenii, dokąd wysiedleńcy ormiańscy przed Turkami uszli), a po wdowie ostatniego z Lusignanów, Wenecyance, Katarzynie Cornaro, przeszedł też Cypr w posiadanie Rzeczypospolitej weneckiej. Nazwisko Meluzyny powstało z Melicendis, jak się kilka pań z rodu książęcego poatewskiego nazywało, między niemi i ta, przez którą Lusignanowie z królami jerozolimskimi się spokrewnili. I zabicie jednego z synów (którego Meluzyna zgładzić kazała, aby kraj od nieszczęścia uwolnić) jest historycznym, również jak i spalenie opactwa Maillezais (Malerza polskiego) przez Geoffroi La Grand'dent, syna Luzynianki, i jego podróż do Rzymu; nawet nazwę Melusine z mère Lusigne (to jest Lusignan) objaśniano, podczas gdy ludowa tradycja, odwrotnie, Lusignan od Melusine wywodziła. Lecz, mimo tych szczegółów historycznych, „Meluzyna“ jest wierutną bajką.

Wierzy lud powszechnie w boginki, rusałki, nikszy, undyny, świtezianki, czy jak tam je nazywają, po jeziorach, rzekach i zdrojach. Posiadają one skarby, pałace, niedostępne śmiertelnikom, nieraz niewidome im wcale. Wystarczy przypomnieć znaną w całej Europie bajkę Perraulta: „Le chat botté“, gdzie Maciuś bohatera ubożuchnego za królową swatając, w takim pałacu kosztownym wil, smoków, psiogłowców i t. d., jego osadza. Lecz kobiecie — przed emancypacją — bez mężczyzny i raj nie w smak, więc i Goplana szuka kochanka, a znalazłszy go, oddaje mu osobę i skarby swoje; albo też mężczyzna podstępem i gwałtem zmusza ją do związków. Związek jednak między istotą nadprzyrodzoną a śmiertelnikiem trwać nie może, zerwie się prędzej, czy później, i Goplana wróci do swego żywiołu, czy to mąż pochodzenie jej zarzuci, czy odbierze ona naprzykład własne skrzydła, które mąż jej był ukrył, czy dostanie się przez jego nieopatrzność do swego żywiołu, czy złamie się wreszcie warunek, umożliwiający jej pobyt ziemski. Tak zwany „mit“ o Wandzie, a raczej wymysł marny Kadłubka, gdzie też odmiankę wątku Meluzynowego odnajdywano, w żadnej łączności z nim nie pozostaje, gdyż brak mu właśnie cechy istotnej, związku faktycznego między istotą nadprzyrodzoną a człowiekiem.

Poitou miało więc podania ludowe o feach, choćby przy owym Zdroju Pragnących; feom tym przypisywało zwałiska i grody, sięgające nieraz czasów rzymskich, to jest pogańskich. Gdy rodom książęcym i pańskim genealogie ziemskie już nie wystarczały, gdy przyplątywano do nich istoty bajeczne, weszła i „Meluzyna“ do rodu Lusignanów, tem łatwiej, że nosili oni w herbie nad hełmem syrenę, kobietę-rybę (czy smoka), nie rzadką zresztą i po innych rodach, a nawet

po miastach; przynieśli ją może ze Wschodu. Skoro raz feę, bezimienną naturalnie, z rodem owym sprzęgnięto, skoro umiano wylizczać zamki, jakie ona wybudowała, znalazły się niebawem i nazwisko dla niej, i parentela; reszty dokonał kronikarz, truwer, ksiądz kapelan, zbierający na życzenie pańskie tradycje rodowe, lub chcący się niemi panu przypodobać. On dorobi i historję o matce Meluzyny i przeklęciu jej, skalkowaną wedle tradycyi o Meluzynie samej; on nie zapomni wciągnąć i owego dowcipu ze skórą, pokrajaną w rzemień, którą od nieboszczki Dydony, aż do Imé pp. Dowejki i Dowejki świat powtarzał niezliczone razy.

Powieść o Meluzynie jest więc tradycją lokalną, która, ani przybraniem kilku nazw i szczegółów historycznych historyczną nie została, ani też z mitologją indoeuropejską, albo semicką (fenicką) w żadnym związku nie pozostaje; za to doczekała się rozpowszechnienia po świecie, jak żadna inna powieść o podobnym wątku; ani Psyche i Amor, mimo opracowań przez najlepszych mistrzów, ani Lohengrin, mimo muzyki Wagnerowskiej, ani Stauffenberg, i t. d. równać się z nią nie mogą. Że tradycja pierwotna wielorakiego uszczerbku doznała, nim formę romansu przyjęła, to popularności jej wcale nie zaszkodziło: niegdyś już pierwsze złamanie przysięgi katastrofę spowodowało; o dzieciach i ich losach tradycja milczała i t. d.

Z tą „tradycją“ spleciono i drugą, zupełnie obcą. Nie rzadkie są podania o zjawianiu się po zamkach „białych kobiet“, odzywaniu się głosów i skarg, zwiastujących śmierć kogoś z rodu. Tak i Meluzynę słyszano kwilącą w szumie i ryku wiatru. Tu jednak nastąpiło nowe zboczenie. Szum wiatru powtarza się wszędzie, zwiastując nieraz burzę, a z nią szkody na polu i w obejściu; Meluzynę, wyjącą w wietrze, oderwano od zamku luzyniańskiego, od zwiastowania śmierci rodowej i uogólniono jej głos na każdą burzę; niebawem zaczęto ją obdarowywać, składać jej ofiary, aby nie szkodziła, i przypominano, że ona swe niemowlęta karmiła, i rzucano jej mąki, soli, orzechów i t. d., aby to dzieciom odniosła, a nam spokój dała. We Francyi, Niemczech i t. d. czynią to wiatrowi, albo wietrzyicy, ale miejscami we Francyi, a często w Czechach, występuje Meluzyna w tej roli, i tak śpiewają w Czechach: Huczy wiatr w polu, Meluzynę głowa boli, Dajcie jej na okno soli, By wam nie potłukło w polu i t. d.; podobne wzmianki mamy już z XVIII wieku, naprzykład w wierszu ludowym z roku 1771: wiatr dziś „Maloszanka“ — czego Czesi nie zrozumieli. Na Rusi znowu pomieszano Meluzynę z rusałkami i „falaronami“ (to jest Faraonami), zatapiającymi niebacznych, którzy się od nich na morzu skusić dają.

Polska tradycja uboższa; zaczyna ona później, głównie od owego tłumaczenia z roku 1569, które imiona osobowe i miejscowe poprzekręcało nieraz do niepoznania; naprzykład czytamy o rycerzu Stolu Okrągłego (króla Artusa): ten był na dworze u Arxa, króla angielskiego, domu był zacnego, Tafelrundami je zwano, był blizki przyjaciel p. Trystanta i t. d. W ruskiem tłumaczeniu jeszcze lepiej: sej bjasze woin na dworiech u Arta krala angickogo, domu byst' czestna, ta nerludami nazywachu sja, byst' prijatel blizskija gospodina Trista Talanta i t. d. Z Montferratu zrobiono Mozerot i t. d.; na początku hrabiego Podlaskim (Forst) przezwali, potem Fortskim się zadowolili. Niektóre szczegóły, zbyt od historii odbiegające, Polak opuścił; inne, szczególnie przy końcu, nieco skrócił; jedno i drugie może sam dodał, naprzykład że króla czeskiego „Turcy i Słowacy“ zabili — wiek XVI od tłumacza nigdy nie wymagał zbytnej dokładności; nakoniec nie wszystko on najlepiej zrozumiał. Drzeworyt na tytule (w późniejszych wydaniach wedle smaku saskiego bardzo rozszerzonym) powtarza się w niemieckich wydaniach naprzykład Magielony; niema typowej syreny, jak naprzykład w czeskich egzemplarzach.

## II.

„Meluzyna“ to typowy romans rycerski; dziwne przygody, z istotami nadprzyrodzonymi, olbrzymami i feami—wodnicami, wyprawy i walki z poganami i krzywdzicielami wdów i sierot, stanowią treść jego, a sprężyną, poruszającą jego bohaterów, takiego Gofroja np., nie jest chęć zysków i sławy, lecz „politowanie płaczu i ucisku chrześcijańskiego.“ Jak prawdziwy romans rycerski „Meluzyna“ nie ma właściwie końca, bo urywa na śmierci Gofroja, chociaż mógłby prawić dalej o innych synach i wnukach Rajmundowych, a Meluzyna znika już w jego połowie; brak też elementu erotycznego, sentymentalnego; Gofroj umiera, nie skosztowawszy miłości, a miłość Rajmunda i Meluzyny spokojna jest i równa.

Inny romans francuski, *Historia o Magielonie*, królownie neapolitańskiej, jeszcze słynniejszy niegdyś, przedstawia już typ odmienny, bo bez epizodów i dygresyi ześrodkował się około losów jed-

nej pary kochanków i zmienne ich uczucia kreślił wymownemi słowy; zamiast szczyku oręza panują w nim sentymenta.

Nam „Magielona“ znowu nic już nie mówi, lecz ileż-to pokoleń zachwycało się nią! Dotąd paręset wydań ocalało, samych polskich ze dwadzieścia—a ileż to zaginęło bez śladu, skoro np. polskie posiadamy dopiero z XVIII wieku, gdy ruskie tłómaczenia rękopiśmienne z polskiego już z r. 1677 datują a polskie inwentarze księgarskie już w XVI wieku Magielonę wymieniają; drukarz Harder na jednym jarmarku marcowym (we Frankfurcie) r. 1569 sprzedał 176 egzemplarzy. Wydania polskie z olbrzymim tytułem i osobliwszem zalecaniem do czytelnika posiadamy z roku 1710, 1725 r. i t. d.; przeróbkę jej zawiera rękopis Pawlikowskich we Lwowie z drugiej połowy XVII-go wieku.

Żadną cudownością ani tajemniczością, jak „Meluzyna“, lecz gorącą, wierną, wytrwałą miłością i kornem a ufnem zdaniem się na łaskę Bożą pociągała „Magielona“ umysły naiwne:

Piotra z Provence, syna jedynaka księcia Wolfanga i Petrone-li aragońskiej, dzielnego rycerza, pokonywającego wszystkich w turnieju, namawia Neapolitańczyk Ryszard, aby domu nie zalegał, lecz na obczyźnie sławy się dorabiał, wskazując mu dwór króla neapolitańskiego, gdzie dla słynnej z piękności królowny, Magielony, ludzie rycerscy zewsząd się zjeżdżają. Rodzice nie chcą przyzwolić, lecz Piotr przełamuje ich opór prośbami; matka daje mu na drogę trzy kosztowne pierścienie. W Neapolu nie wyjawia Piotr rodu swego, nosi dwa srebrne klucze na hełmie (ku czci patrona, Piotra św.) i słynie pod nazwiskiem rycerza z srebrnymi (w tłómaczeniu polkiem — złotemi) kluczami. Pokonawszy przeciwników, zaproszony do stołu królewskiego, pokochał od razu Magielonę i podobał się jej nawzajem, z czem się ona niebawem piastunce swej, Potencyanie, zwierzyła. Gdy piastunka gorący ich afekt uznała, pośredniczyła między kochankami, przynosząc Magielonie owe pierścienie w upominkach; na schadzce tajemniczej wyznał Piotr Magielonie ród swój i imię. Nowy turniej zwabia najznakomitszą szlachtę, której tytuły polskie tłómaczenia strasznie przekręcają (Antoni, którego zwano Zofoy, to Savoye; brat księcia z Bombaju zamiast Bourbon); Ceter ein Neff des Königs zu Behem, to Piotr Meff, króla czeskiego brat cioteczny itd.); Piotr pokonywa wszystkich rywalów, poczem prosi królownę o pozwolenie odjazdu, aby mógł stęsknionych rodziców oglądać. Królowna, bojąc się, by ojciec jej za kogo innego nie swatał, ofiaruje się z nim razem jechać, nikomu, nawet piastunce, o tem, nie powiedziawszy. Hrabia wykrada szczęśliwie Magielonę; nad morzem zasypia ona na łonie jego, on podziwiając jej piękność ujrzał na piersi

jej zawiniątko, otworzywszy poznał w niem swe pierścienie, które kruk uniósł. Goniąc za nim wsiadł Piotr na jakąś łódkę, lecz wiatr porwał go na otwarte morze; tam naszli go zbóje i odwieźli do Aleksandryi, w darze do sultana babilońskiego.

Przebudziła się tymczasem Magielona i próżno nawoławszy i naszukawszy się rycerza, przekonana, że jakieś nieszczęście jego samego spotkało, gdyż konie z jukami pozostały; noc na drzewie spędziła, z przechodzącą gościńcem pielgrzymką szaty wymieniała. Do domu wracać nie było po co, więc ruszyła do Rzymu, do kościoła św. Piotra, i tam umyśliła udać się do Prowancyi, by się czegoś o hrabi Piotrze dowiedzieć. Dotarłszy szczęśliwie do Aigues Mortes, usłyszała, że hrabia znikł bez śladu, więc udała się w ciężkiej rozpacz na służbę bożą. Naprzeciwko Aigues Mortes była wysepka „Pogański Port,“ gdzie przybijały okręty całego świata; tam wystawiła ona kościółek św. Piotra i szpitalik, w którym obcym chorym służyła. Sława o niej i o cudach, jakie się przed obrazem św. Piotra działy, ściągała ludzi, i starzy hrabiostwo zaszczycali ją odwiedzinami i nie mogli się jej powadze nadziwić. Ułowili byli raz rybacy wielką rybę i ofiarowali ją hrabiemu; gdy ją przyrządano, znaleziono w niej ów węzełek z pierścieniami i oddano hrabinie, która z pierścieni tych pewności o śmierci syna nabrała i w żalu swym utulić się nie dała; dowiedziała się o tem i „szpitalna“, Magielona, i postanowiła życia na owej wyspie dokonać.

W Babilonii zaś uzyskał był Piotr nadzwyczajną łaskę sultańską, chociaż, zawsze głęboko zasamucony, w niej nie korzyścił. Razu pewnego, upatrzywszy chwilę stosowną, uprosił sobie od sultana jako pierwszą jego łaskę, aby mógł rodziców odwiedzić; sultan, acz z wielkim żalem, słowa dotrzymał i skarbami go obsypał. W Aleksandryi kupił Piotr czternaście beczulek soli, w ową sól skarby swe powkładał i umówił się z marynarzem o przewóz do Prowancyi jego i tych beczulek, przeznaczonych dla szpitala jakiegoś, zapłacił kosztą z góry. Wyjechawszy z portu, przybili jeszcze do wyspy dla nabrania wody słodkiej: Piotr wyszedł na ląd, usiadł na dalekiej łące i usnął; marynarz, chąc z pomyślnego wiatru skorzystać, a nie mogąc się jego dowołać, odjechał bez niego; lecz przybywszy do Pogańskiego Portu, a wspomniawszy że właściciel soli miał zamiar szpitalowi ją ofiarować, oddał je w jego imieniu do szpitalika św. Piotra. Gdy raz Magielona soli zapotrzebowała, odbiła beczulkę i znalazła w niej, a potem w każdej innej, bogate skarby; za skarby te powiększyła znacznie i kościół i szpital.

Piotr, ocknąwszy się wreszcie, ujrzał się opuszczonym; blizkiego rozpaczy i śmierci nadeszli trafunkiem marynarze, zabrali ze sobą



i w mieście Krapania w szpitalu zostawili. Bardzo powoli nabierał schorzały Piotr siły; raz przechadzając się nad morzem, ujrzał ziomek, gotujących się do odpyłnienia i uprosił ich w imię Boże, aby go do ojczyzny z sobą zabrali. Po drodze przysła mowa na kościółek św. Piotra z Magielony, bo pod tą nazwą on sływał, i radzono mu, aby się tam ofiarował dla zupełnego odzyskania zdrowia, co on też zrobił. Tam nastąpiło wreszcie poznanie się wzajemne i długi smutek odmienił się w największe wesele; sultan nawet przysłał z bogatemi darami uwolnienie Piotra od służby, tak, że rycerskie słowo uszczerbku nie poniosło.

Kościół św. Piotra na wysepce Magielonie, koło Aigues Mortes istnieje do dziś—jedeny to element historyczny powieści, która przez to historyczną bynajmniej się nie stała, tak samo, jak np. wzmianka o Tyńcu w historyi o Walcerzu i Wisławie niczego nie dowodzi. Powieść sama—zwykły wątek romantyczny o rozłące pary kochających się i o uwięzieniu stałej ich wierności; lecz wątek ten szczegółami swemi, krukiem, bezulkami z solą (czy z owocami) dla skarbów itd., wskazuje na wschód: odnajdujemy go też w powieściach Tysiaca i jednej nocy. Ze wschodu przeniesiono opowiadanie do Włoch (gdzie od końca XV wieku nieraz je przytaczają i opracowują) i do Prowancyi, gdzie je r. 1453 czy 1457 prozą spisano, dokonawszy lokalizacyi jego. Na niemieckie przetłómaczył oryginał francuski Wit Warbeck, ochmistrz saskich książąt, dla pupilów swoich r. 1527; po śmierci r. 1535, wydano prace jego, przekładano na coraz inne języki, czeski, polski itd.; lecz właśnie tekst polski poczyna sobie bardzo swobodnie z niemieckim, rozszerza go dowolnie, tłómacz nie krępował się wcale oryginałem.

Przytaczamy tu próbkę tekstu polskiego, żeby czytelnicy powzięli wyobrażenie, jak „romans“ polski, choć tłómaczony, niegdys się przedstawiał, z najdawniejszego wydania Magielony, którego resztki (dwie kartki) szanowny kusztoz zbiorów Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, dr. B. Erzepki, ze starej oprawy odlepił i nam łaskawie przesłał. Gdy wszystkie późniejsze wydania Magielony, któreśmy dotąd widzieli, około 160 stron liczą, to owo najstarsze, z XVII wieku liczyło ich około 210, tak bujnym był jego gotyk. Tekst karty I 5 (str. 137 i 138) brzmi (królowa dowiedziawszy się o zniknięciu Magielony):

„z wielką pilnością rozkazała krolewny szukać. §. Gdy sie to tak długo tailo, widząc krolewa iż źle, dała wnet tę rzecz znać królowi. Tak owa rzecz, gdy do uszu krolewskich doszła, zasmucił sie okrutnie, a dowiedziawszy sie o odjechaniu rycerza złotych kluczów

wnet zrozumiał, iż on uniosł królową. Rozgniewawszy się tedy, natychmiast przykazał, aby po wszystkim królestwie szukano rycerza onego, którego on chciał bez wszego miłosierdzia śmiercią pokarać haniebną. Gdy takowa rzecz gruchnęła po wszystkim mieście, iż królową rycerz uniosł, wnet się wzruszyło, a zaburzyło miasto wszystko, wnet owi ludzie zacni, co natenczas przy dworze królewskim byli, z trzaskiem jęli się gotować w pogonią za rycerzem. Wszetek dwór królewski bardzo się zasmucił około tego. Król, królowa osobiwą żalością wzruszeni byli, tak iż od wielkiego żalu od pamięci odchodzili a królowa omdlewała.

§. Potym król Potencyany zawoławszy do siebie rzekł ku niej: Na moje królestwo, bezpiecznie to powiedzieć mogę, iżes ty nieslachtetnico o tym wiedziała, gdyż (nikt inny) tam się więcej jej sprawami nie (bawił, jedno) ty, a tak ty tego gardłem przyplacić musisz, jeśli prawdy nie powiesz, wieszli czyli nie wiesz o tem. Potenciana słysząc srogie królewskie słowa, padła wnet na ziemi u nog królewskich, mówiąc: Najjaśniejszy królu, panie, a panie moj, jesliż się wasza jasność królewska tego dowiedzieć raczysz, iżby ja najmniejszą do tego przyczyną była, abo iżbym o tem wiedzieć miała, oto gardło i zdrowie moje jest w łasce waszej królewskiej jasności, a niechaj jako może być śmierć naokrutniejsza wymyślona, jesliżbych ja o tym wiedziała, niechajcibych ja umarła. A wszak biorę sobie na świadectwo królową jej miłość panią moją, iż jakom się skoro wnet o tym dowiedziała, tedym tego przed nią nie tała, a tedyżem jej to oznajmiła.

§. A tak Król dawszy wiarę Potencyanie szedł bardzo smutny do swego pokoju, a przez cały on dzień nic nie jadł, ani pił od wielkiego zamutku. Gdy takowa nowina nietrefna po wszystkim się królestwie rozszerzyła, szukali wszyscy rozjechawszy się wszędzie na wsze strony, ale nic nie znalazłszy, a nigdziej się nic nie dowiedziawszy, wszyscy się dziwiąc mówili: aboć w ziemię żywo wstąpili. Owa jedni w sześci dnioch, drudzy w pięćdnioch wrocili się...

Na karcie I 7 (str. 141 i 142) czytamy o owym węzélku, który rycerz na piersiach Magielony ujrzał, z pierścionkami, bo nie jej nie było tak miło „jedno gdy je sobie oglądała a na nie patrzyła. Rycerz obaczywszy iż to ony pierścionki co jej dał, zawnawszy je położył podle siebie nie daleko, a dziwując się pięknoscią panienki onej zdało mu się jakoby był w zachwyceniu, i tak im więcej patrzył na jej cudność tym się więcej serce jego przychyliło ku zapalczywej miłości. Ale Pan Bog chąc okazać to onemu rycerzowi, iż żadna rozkosz, a żadne kochanie na świecie trwałe być nie może, które jest nad wolą jego, wnet ono lubowanie odwrócił w gorzki żal. Abowiem przyleciał

ptak co ji zową leśny Kruk, ten ujrzawszy czyrwoną kitajkę podle rycerza, a mniemając by mięso, porwał on węzełek i uleciał z nim.

Następuje cała niemal stronica tytułu tj. treści rozdziałów, powtórzonej w krótkości: §. Jako rycerz począł gonić onego ptaka itd., opuszczamy to, str. 142, kończy potem:

Obaczywszy to rycerz iż mu ptak pierścionki porwał, jął sobie wnet myśleć, mówiąc: I cóżem ja uczynił, żem ty pierścienie tak nieopatrznie położył, oto zły nieszczęsny ptak, przyprawie mię do mojej najmilszej, że będzie złego mniemania o mnie. A tak pomaluczku złożywszy na suknię swą głowę krolewny oney, począł onego ptaka gonić, a krolewna tego by namniey nie czuła, bo sie była dziwnie upracowała oną jazdą. Ptak od drzewa do drzewa uciekając odwiódł bardzo daleko w las onego rycerza, aż potym zaleciał za odnogę morską na skałę i z onym węzełkiem. Rycerz potym ciskał nań kamieniami, aż on ptak upuścił on węzełek w wodę. Widząc rycerz...

Przedrukowaliśmy umyślnie szacowny zabytek (z pierwszej połowy XVII wieku?) bez zmiany, modernizując tylko pisownię jego (bez *cz, éi, th* itp.). Romans ten przedstawia typ nieco odmienny od innych; cały interes skupia się wyłącznie około jednej pary, nie rozprasza się uwagi nadzwyczajnymi zdarzeniami; porusza się natomiast tkliwość serca i przeważają mowy i refleksye, od samego początku, gdy rodzice Piotrowi tułaczkę odradzają, od zabiegów Magielony i piastunki jej, od gruchania pary zakochanej, aż do słów, jakimi „szpitalna“ osierociałą matkę pociesza, chociaż raczej sama pociechy by potrzebowała. Ten moment rozstrzygnął: ciekawsza, rycersko-awanturnicza „Meluzyna“ ustąpiła w końcu dosyć banalnej „Magielonie“ i jej sentymentalnemu nastrojowi; jeszcze dziś można opowiadanie o „Piotrze ze złotemi kluczami“ napotkać w żywej tradycyi ludu ruskiego, albo w wydaniach Foltyna wadowickich, któremi lud nasz okarmiając, potrzebę czytania wzbudzają, z czego-by roztropnie korzystać należało.

Trzeci Romans francuski, „Oktawian“—jak poprzednie przerbiony przez Tiecka, którego „Kaiser Octavian“, za ewangielię romantyzmu niemieckiego uchodził—zowie się u nas „Historją piękną i krotochwilną o Ottonie cesarzu rzymskim.“ Treść jego powtarza wątkiem swym legendę o Placydzie i Eustachym, o Genowefie itd., rozszerzając je rycerskimi czynami obu synów „Ottona“, panującego w Rzymie, wedle jakiejś chronologii osobliwszej, za czasów króla

Dagoberta we Francyi. I ten romans bardzo się w Moskwie podobał, przetłómaczono go już w r. 1673 i przepisywano często. U nas stracił on oddawna na walorze, wyrugowała go bowiem „Genowefa;“ egzemplarze posiadamy z XVIII, np. z lat 1746, 1761, 1766 i t. d., a wiemy o dawniejszych (przed r. 1591); rękopis Pawlikowskich z drugiej połowy XVII zawiera najdawniejszy dziś odpis; ich biblioteka posiada i druk z 1746.

Po długiej nieplodności porodziła cesarzowa Alunda bliźnięta, ale „świekra“ oskarżyła ją u syna o niewierność małżeńską i umiała rzecz tak urządzić, że wszelkie pozory przeciw niewinnej świadczyły. Cesarz chciał żonę dać spalić, w końcu jednak, pomny na miłość i przysięgę małżeńską, pozostawił ją przy życiu, lecz wraz z dziećmi wygnał. W lesie porwała małpa śpiącej matce jedno dziecko; rycerz pewny odbił je, lecz stracił do zbójów, którzy je staremu Klimuntowi z Paryża sprzedali: on dał je Florencem ochrzcić i wychował je u siebie, wraz z własnym synem, Klaudyuszem. Próby jednak, aby Florenca do rzemiosła-jakiegoś przyuczyć, nie udawały się, dla rycerskiego animuszu, za to ocalił on Paryż i króla Dagoberta, gdy sułtan babiloński z trzydziestu królami-synami, z prześliczną córką swoją, Marcebilą, obległ. Pośpieszyli byli sąsiedni królowie wraz z Ottonem cesarzem Dagobertowi na pomoc, lecz nikt nie ważył się podjąć walki z olbrzymem, którego Florenc pokonał, a po odniesionem zwycięstwie do Marcebili dotarł i jej pięknością porażony w końcu ją odbił i do Paryża doprowadził. Lecz siły nieprzyjacielskie przemagały i poganie porwali w końcu Ottona i Florenca, i uwiedli związanych do niewoli.

Drugie dziecko utraciła również Alunda, porwała je bowiem lwica, lecz w końcu odzyskała je matka i lwica służyła jak pies dziecięciu, zwanemu dlatego „Leonem, jakoby Lwicem“. I Lion wyrósł na najdzielniejszego rycerza, i wyruszył szukać ojca i pośrednictwa króla Dagoberta, aby matkę do należynej czci przywrócono. Nadszedł on też w samą porę i z lwicą i orszakiem swym taką między poganami rzeź wyprawił, że i samego sułtana uwięził, którego potem w Paryżu, z jego córką Marcebilą, ochrzczono. Tu nastąpiło poznanie małżonków (Lion z matką przyjechał) i dzieci. Florenc zostaje królem angielskim i umiera w sędziwej starości „w lundzkim zamku“, zostawiając po sobie na tronie syna Wilhelma, Lion zaś zdobywa na „turnirze“ rękę królowny hiszpańskiej!

Romans o Ottonie uderza rysem nowym, niezwykłą przymieszką komizmu; komiczną rolę odgrywa Klimunt, ów mniemany ojciec Florenca, tchórz i sknera, straszny filister, prototyp Prudhomme'a, który fetując książąt i panów z okazji pasowania Florenca na rycerza

płaszcz im chowa, niech wprzód bankiet zapłacą; serenadę muzyków kijami, wyzwiskami rozplaszają, a mimo to, jak Zagłoba jaki, śmiałem porwaniem niezrównanego wierzchowca sułtanowego, Butyforta, czy Buntyfeta, do zwycięstwa chrześcijańskiego walczyć się przyczynia. Komicznym jest i wygląd Florencia, wyruszającego do monomachii z olbrzymem, w starej, zardzewiałej zbroi, która w domu Klimuntowym wszelkie kąty wycierała; jeśli Satyr Kochanowskiego zniewieściałym Polakom wyrzuca:

Skowaliście ojcowskie granaty na pługi,  
 A z drugiego już dawno w kuchni rożen długi,  
 W przyłbicach kwoczki siedzą abo owies mierzą,  
 Kiedy obrok woźnice na noc koniom bierzą.

To wydaje nam się ten opis niemal parafrazą z romansu, gdzie gospodyni Klimuntowa w kapelinie (helmie), kokoszki sadza, włócznia żerdzią dla kur służyła („ale może to oskrobać“); przedni „plach“ miasto „siedleczy“ (wiejaczki) używamy ku sypaniu zboża, a zadnim piec zatykamy, miecz zaś został pod łóżkiem, gdy nim myszy straszono. Efekt ten komiczny stopniuje tłumacz wplataniami przysłów polskich, np., gdy myśliwy nieopatrzemu Florencowi za dwa karwy (woły), krogulce sprzedaje, myśli sobie: lepszy gil, niż motyl, a chociaż oba ptacy. Gdy Klimunt „tak się skubł około ostróg mało nie godzinę“, zaklął wreszcie i zaraz mu się z niemi „wzdarzyło“, więc powiedział: lepszy karany; był wesół, gdy słyszał „iz rzemienia nie miał pociągać“ (sam płacić) itp. Tłumaczenie ujawnia język wieku szesnastego (np. sułtan wita córkę: moja miła b o j a r k o! albo mówiąc o prędkich bachmatach i chybkich b a d a w i a c h, rumakach), i przykład z niemieckiego, skoro wyliczając np. części zbroi mówi „armszyny, szosy“, albo powie t y g i e r i t. p. Niektóre drastyczne szczegóły oryginału, jak np. Klimunt z muru Florencowi walczącemu otuchy dodaje, albo jak fraucymer Marcebilli z Florencia „kominnika“ (kominiarza, tak niepocześnie wyglądał on bowiem w zaśnieżonej zbroicy), się natrzęsał, opuszczono; nazwiska haniebnie poprzekręcano, np. panięcia wielkiego „Pana zwierchuiego z Madentyeru z Duydelbergu“ Paryż leży nad „Seyną“, S. Germain-en-prais jest św. German na łące i t. d. Ale w całości przykład bardzo udatny, swobodny, czyta się z zajęciem i przyjemnością.

Nie zadowolnił się jednak bogobojny tłumacz polski (a za nim poszedł ruski), samym romansem, dodał on „Historję prawdziwą o hrabinie Altdorfskiej, która jednym porodem dwanaście synów porodziła ku pierwszej historyi bardzo przystojną” i jeszcze drugą „Prawdziwą historję o zacnej płodności.” Konflikt w Ottonie wynikł przecież z podejrzenia z powodu bliźniąt, które w niedoświadczonego wojownika łatwo wmówiono, ale co dziwniejsza, że i panie zwieść się dały i posądzały, choć dobrze wszystkiego świadome: bo „i cóż najczęściej czego między niemi, gdy się zejda, niż o rodzeniu dzieci i wychowaniu—przedtem było o ubiorze”. „W Niemczech, w ziemi Algarsk, pół mili od Rawenszporgu ku Dennemu jezioru (Bodenseel) leży ochędożny zamek Altdorf” itd., tu odbywa się ta historia: hrabina posądzająca poddanke, która trojgiem dzieci zległa, rodzi sama dwanaścioro od razu i, zawstydzona, każe w nieobecności męża jedenaście topić; gdy żadna z francyceru tego się nie podjęła, „gdzie złe nie może babę starą posła”—baba zanosi je do rzeki, a spytana od wracającego właśnie z łowów hrabiego, coby niosła, wymawia się, że to pieski, przykrzące się hrabinie skomleniem. Prawda się wyjawia, hrabia każe kryjomo do siódmego roku dzieci u młynarza chować, a potem, sprosiwszy liczne grono, wszystko objawia; upokorzona głęboko hrabina zyskuje przebaczenie.

Przytoczyliśmy opowiadanie, powtarzające się i w polskich legendach herbowych, przytaczane niemal dosłownie Wacław Potocki (Poczet herbów), dla ośmiu wyzłat nad hełmem Kuszaby—tylko na Szląsku rzecz opowiada i o dziewięciu zamiast o dwunastu synach prawi; Niesiecki pod Paprzycą legendę także powtarza, jako czeską tym razem; Paprocki jej jeszcze nie powtarzał; wszystkie też legendy herbowe polskie bywają tak późne, jak same herby, których pierwotna szlachta nie znała, mając dosyć na „zawołaniach”. Druga historia odbywa się r. 1446 w Regensburgu, które miasto też „Raciborzem (!) nad Dunajem zowią”, gdzie hrabia Bego przed cesarzem Fryderykiem z 32 synami się zjawia; lecz 40 lat minęło, a liczny ród do szczętu wyginął, tak znikome i marne są rzeczy świeckie, więc starajmy się o mądrość, zawsze się pomnażającą, lecz tej nie z takich ksiązek, jak niniejsza, tylko z pisma św. zdobywamy—takim ostrem zasądzeniem własnej pracy kończy ją tłumacz polski z kornem westchnieniem.

Z francuskiego (Belleforest, który z Włocha Bandela czerpał), przetłómaczono też „Historję bardzo ucieszoną” r. 1642 (inne jej wydania są z r. 1665 i 1676), nowelę o miłości Zuzanny i Aleksandra, u dramatyżowaną przez Szekspira samego, a u nas przy końcu tegoż

wieku (XVII), przewierszowaną przez bezimiennego rymopisa, którego praca jednak z rękopisów dotąd nie wyszła. Stary Antoni, utraciwszy syna Pawła w pogromie rzymskim r. 1527, z Zuzanną córką przebywał w Ankonie, gdzie się Aleksander w niej rozkochał, a choć wietrznik na chwilę afekt ku innej, Lukrecji, skłonił (co „Zusieńka“, w przebraniu męskim służąc „Alesi-ńkowi“ swemu za paza, z głębokim żalem serdecznym uznała, nosząc listy miłosne), wrócił do swej Zusieńki, skoro Lukrecya pięknego paza nad życie umiłowała, którego jej Paweł w końcu zastąpił boć tak był do siostry podobny, że ich rozeznacć bywało trudno; zwyciężyła więc wytrwała miłość Zusieńki. Przekład polski, bardzo zręczny, wdzięczny i swobodny, nie zwracał się pierwotnie ku szerszemu kołu czytelników, był „hołdem i powinnym honorem dla zacnej jednej damy w Koronie polskiej“, szturmował do jej serca i z udatnych wierszy, któremi tłumacz prozę oryginału przeplatał, przebija żywo nieklamany afekt. „Niech żyje miłość“—motto tej książeczki i autora, którego-byśmy w wysokich kołach społeczeństwa ówczesnego, między Opalińskimi, Ossolińskimi albo Leszczyńskimi szukali, który z oryginałem po pańsku się obchodzi, dodaje i opuszcza dowolnie, aby nie drażnić świętoszków, aby ogólne „konsyderacye“ (na początku) wystawić, miejsca czule pomnożyć i powiększyć. Mimo trzech wydań i przeróbki wierszowanej właściwego rozgłosu ta powieść nie zyskała; sama treść wyłącznie erotyczna wyłączyła ją z rzędu „powieści ludowych“; lecz znamienna ona jako wczesny ślad wpływów francuskich, wyprzedza bowiem tłumaczenia Morsztynów (dramatyczne) i późniejsze romanów francuskich, np. romansu o Bonie, przechowanego po tyłu rękopisach polskich, bardzo ciekawego, a bardzo zdroźnego, wystawiającego dwór Zygmunta Starego w najniemoralniejszym świetle (*Les amours de Bonne Sforza reyne de Pologne, w Lejdzie, 1682, przetłóczony na angielskie 1684 i równocześnie na polskie*). O tonie romanu poświadczy choćby deklaracya miłości biskupa krakowskiego dla Bony, której pięć czy sześć portretów sztychowanych ma w brewjarzu swoim: ona jako święta, a on u jej kolan; nigdy się w życiu tak nie śmiała, mówi Bona, gdyż żaden z moich kochanków nie hołdował mi z takim nabożeństwem.

Mimo to, wspomnijmy choć króciutko o „Bonie“, skoro u nas roman ten i treść jego nieznanne. Bona wciąga w swe sidła Tarnowskiego, który, zaplątany w intrygę miłosną z ks. Ostrogską, jej się z początku opiera, aby tem pewniej w sidła jej popadł; ks. Ostrogski i biskup krakowski zazdroszczą mu; biskup przestrzega listem, podrobionym na imię Ostrogskiego, króla, że znajdzie Tarnowskiego u stóp

Bony: wraca więc król nadspodziewanie do zamku, który dla łowów opuścił, nocą, i zastaje u Bony nie tylko Tarnowskiego, ale i Ostrońskiego, i Ostrońską z jej nowym kochankiem, Toporem, i biskupa, który po drabinie sznurowej włączając karku nadwerżył: każdego sprowadził autor do komnaty królewskiej z innych motywów. Zygmuntowi, zdziwionemu tak licznym zebraniem, oświadcza Bona bez najmniejszego zafrasowania, że zwołała wszystkich, aby pogodziła zwaśnionych, Tarnowskiego i Ostrońskiego, czem król bardzo uradowany, nikt jej naturalnie nie przeczy i wszyscy rozchodzą się zadowoleni. Turnieje, intrygi miłosne, zwierzenie się Bony przed Zygmuntem o miłostkach dworskich zapełniają romans, godny Wersalu Ludwików XIV i XV, nie Wawelu Zygmuntońskiego. Uderza duch antyklerykalny; najpotworniej wystawiono biskupa i duchownych, np. „ludzie profesji tej tak są do pacierzy przyzwyczajeni, że gdzie za grzech żałować potrzeba, tam się o pomoc do grzechu modlą“ lub „niech Bóg uchwali każdego kochającego od konkurenta duchownego; niebezpieczni to i szkodzący wielce ludzie“ itp.

Nie wiemy, czyje pióro tą elukubracją się popisało, czy jakiegoś z francuziałego Polaka, czy raczej Francuza jakiegoś, bo było ich kilku, którzy rzeczy polskie wtedy znali i niemi się zajmowali; bądź co bądź, romans ten wyprzedza XVIII wiek i jego rozmaite cour galante. Przepisywano go chciwie, liczne po dziś dzień rękopisy dowodzą tego niechybnie, lecz w druku pojawić on się nie mógł. O wiele niewinniejszym był społeczny niemal romans Prehac'a, Kawaler polski o „wojewodzie chełmińskim, Walewskim“, i jego przygodach miłosnych z Beraldą, Niemką dworu Eleonory, królowej (żona Michała Wiśniowieckiego), ukoronowanych, wbrew ojcu wojewodzie i rywalom, szczęśliwym związkiem: romans ten poruszył cały szereg piór polskich, jeszcze w XVIII wieku wierszowali go na przemiany mężczyźni i kobiety, znamy kilka tych przeróbek, rękopiśmiennych i drukowanych. Lecz wykraczają one poza ramki naszego szkicu, tak samo jak i bardzo ślizki Romans o Don Pedrze, który w rękopisie obok Romansu o Bonie czytaliśmy: żaden z nich nie stał się bowiem popularnym, „powieścią ludową“.



## III.

Jeszcze rychlej, niż Oton, wyszła z pamięci powieść o Fortunacie; egzemplarza jej polskiego dotąd nie odszukano, chociaż ją już w XVI wieku (przed rokiem 1571) drukowano, a jeszcze w XVIII czytano; nie przełożono jej nawet, nie wiem dla czego, na ruskie, — czyż-by już w XVII wieku na popularności straciła?

Fortunat odbiega zupełnie od romansów rycerskich; jest to właściwie zwykła sobie bajka o cudownych przedmiotach, o właścicielu ich i przygodach jego. Niemiec jakiś ten temat odwieczny rozwałkował niepotrzebnie na opowiadanie aż o dwu pokoleniach, o ojcu i o synach jego, ginących dla tych klejnotów, i powtykał szczegóły historyczne, europejskie, w kanwę dawną, wschodnią. Opowiedzmy pokrótce treść, niegdyś tak żywotną, że stary Rysiński w r. 1618 „mieszek Fortunatów“ (tyle, co klasyczny „róg Amaltei“) w przysłowia włożył, a szczegół jej inny, jak to cynamonem i gwoździkami pod kuchnią palono, Fuggerom wobec Karola V przypisano i również w przysłowia włożono; jeszcze inny szczegół i Rey, zdaje się, stąd zaczerpnął.

Bogaty pan w Famaguście na Cyprze roztrwonil cały majątek, tak, że syn jego, Fortunat, na razie chyba Infortunat, dom opuścił, aby rodzicom nie ciężył; przyjął go na służbę hrabia flandryjski, wracający właśnie na Cypr z pielgrzymki jerozolimskiej. Polubił go hrabia nadzwyczaj, wyróżniał zawsze, i tem inne sługi i gierników do największej zazdrości pobudził, którzy w końcu arecyniesumiennym fortelem od dworu go na zawsze odstraszyli. Uciekł Fortunat w największej, acz całkiem płonnej, obawie, lecz powiodło mu się niebawem stokroć gorzej: przetrwoniwszy bowiem w Londynie z kobietami, co we Flandryi uzbierał, przyjął służbę u kupca włoskiego (lombardzkiego), Roberti, który wpadł, acz niewinnie, w podejrzenie, że ograbił i zabił Anglika z kosztownościami królewskimi. Kupca i służbę wzięto na tortury, powieszono wszystkich, prócz Fortunata, nieobecnego przy owem zajściu, który więzieniem, strachem i mękami niewdzięczną służbę opłacił. Umknąwszy z rąk sprawiedliwości, zabłądził po długiej wędrówce w gęstej puszczy; ledwie się tu przed niedzwiadziem obronił i jego krwią posilił; lecz gdy się nad ranem

ocknął, ujrzał przed sobą piękną niewiastę, Fortunę, która mu do wyboru dawała szczęście, zdrowie, mądrość i t. d., widocznie aby nazwisko jego uzasadnić, bez żadnych jego zasług szczególnych. On wybrał bogactwo i otrzymał od niej mieszek, z którego za każdym sięgnięciem ręki dziesięć złotych monety krajowej dobywał; dar ten opłacał warunkami nie trudnemi, aby rocznicę święcić, wyposażać w nią ubogie stadło i t. d.; mieszek miał zatrzymać moc cudowną dla niego i jego prawych synów, póki ich życia. Wyprowadzony z puszczy, żałował Fortunat parę razy, że zamiast bogactwa, rozumu raczej nie obrał; dla majątku swego popadał bowiem w ciężkie opaly, lecz zawsze się ratował. I stał się z niego globetrotter; był i w Konstantynopolu, i w Krakowie, i w skale świętego Patryka, to jest w wejściu do czyśca, aż wrócił na Cypr, gdzie już rodziców nie zastał; tu wybudował okazałe pałace; wyswatano go świetnie, lecz niebawem ozwała się w nim znowu żyłka wojażerska; tym razem puścił się na Wschód, okrążył i państwo popa Jana, i Kalikut, gdzie pieprz rośnie, i Chiny, i w Aleksandryi fortelem u sułtana zdobył kapelusz, który miał tę moc, że, włożony na głowę, przenosił natychmiast na miejsce, o którym pomyślano. Z tem powrócił ponownie do Cypru i życia tu w spokoju dokonał, objaśniwszy synom właściwości cudowne mieszka i kapelusza.

Synowie ci byli wcale nierównego usposobienia: piecuch Ampe-do chyba w matkę się wdał, Andolozya za to w ojca i w domu dosiadywać nie myślał; próżne były perswazye brata; z mieszkciem, zaszytym starannie, wyruszył on w świat; zaczął naturalnie od Paryża, gdzie frycówkę zapłacił; będąc widocznie bardzo kochliwej natury, w Londynie dał się dopiero podejść okrutnie. Piękny i dzielny rycerz zakochał się w cudnej Agrypinie, jedynaczce królestwa angielskiego, i zdawało mu się, że znalazł równą sympatyę, lecz ją i jej rodziców zaciekawiało bardziej, skąd-to te jego nieprzebrane środki—jemu to spłatał król figla, zaprosiwszy się do niego na obiad, a zakazawszy mu sprzedawać opału — więc on cynamonem i korzeniami palić kazał. Od zakochanego po uszy wyludziła Agrypina tajemnicę z mieszkciem; potem dała mu rendez-vous, uspiła go trunkiem, i wyprówszy mieszek, wyszyła podobny. Zmyty haniebnie, wrócił Andolozya do brata, i wyludził u niego ów kapelusz; ograbiwszy za jego pomocą najznakomitszych jubilerów, stawił się ze zdobytymi w ten sposób klejnotami, przebrany, przed królowną Agrypiną, obudził w niej chętkę nabycia najpiękniejszych, i gdy mu je ona z jego mieszka płaciła, nakrył głowę i, porwawszy ją z mieszkciem, uniósł w bezludną pustynię; gdy tu pod jabłonią piękną siedzieli, zapragnęła znużona jednego jabłka. Niebaczny Andolozya włożył jej na głowę kapelusz i poszedł rwać

jabłka. Królowna, ani wiedząca o mocy kapelusza, pomyślała mimowoli: o, gdybym-że to teraz była w mej sypialni, — a kapelusz przeniósł ją natychmiast, tak, że się jej ta dwukrotna podróż napowietrzna snem widziała; zrzuciła też kapelusz, nie podejrzewając mocy jego. Zrozpaczony Andolozya przystanął pod jakąś jabłonią, a gdy jej owocu skosztował, urosły mu rogi kozie i nie mógł się ich pozbyć. Na krzyk i płacz jego nadszedł pustelnik, pouczył go o właściwości innego drzewa, którego jabłka rogi znowu spędzały, i wyprowadził go na drogę. Andolozya, narwawszy jabłek jednych i drugich, dostał się w końcu do Londynu i, znowu przebrany, sprzedawał je pod kościołem, do którego Agrypina chadzała, lecz dla znacznej ceny tych jabłek „damasceńskich“, kupiła je tylko królowna, i po spożyciu zobaczyła szpetną koafiurę na głowie, która ją widoku ludzkiego starannie unikać zmusiła. Lekarze pomódz nie umieli; nastęrczył się więc w nowem przebraniu Andolozya jako lekarz, i tak sprytnie się urządził, że z kapeluszem, znalezionym pod łóżkiem i z mieszkem ponownie Agrypinę na puszcę uniósł. Tu odkrył kim jest, lecz, człowiek rycerski, nie znieważył kobiety, oszpeconej rogami, i na własne jej życzenie przeniósł ją do klasztoru. Na życzenie znowu króla cypryjskiego, który syna swego za Agrypinę chciał wyswatać, sprowadził Andolozya uzdrowioną do Londynu, a potem do Famagusty; lecz dzielnością i dostatkami swemi wzniecił Andolozya na dworze królewskim w okazyi owego wésela zazdrość i nienawiść dwóch hrabiów; powracającego napadli oni w zasadzce, sługi pozabijali, a jego na wyspekę pod ściśłą straż oddali; i zaginęła wszelka wieść o Andolozyi.

Ampedo, widząc, jakie nieszczęścia owe klejnoty sprowadzają, spalił kapelusz, a stęskniony za bratem, zapadł w ciężką niemoc i umarł. Na Andolozyi tymczasem wymęczyli hrabiowie wyznanie, skąd ma dostatki; przekonawszy się o wartości mieszka, umówili się obaj, aby każdemu z nich przez pół roku służył, lecz dla większego bezpieczeństwa, kazali niebaczni Andolozyę udusić. I właśnie oddawał hr. Teodor mieszek przyjacielowi, wedle umowy; lecz mieszek, po zejściu Ampedy i Andolozyi, cudowność wszelką utracił; nie chciał temu wierzyć przyjaciel, twierdził, że go Teodor oszukał; stąd przyszło do kłótni, bójki i ciężkich ran, a na wieść o tem kazał król obu sprowadzić i badać o przyczynę nagłej waśni krwawej dwóch najserdeczniejszych. Na mękach wyznali prawdę; wpleciono ich na koło. a pomocników i ukrywaczy występku wywieszano; dobra synów Fortunatowych spadły na króla.

Jest więc Fortunat najpospolitszą bajeczką z nieskończonego rzędu opowiadań o Szczęśliwcu, któremu Pan Jezus podarował ów „obrus, rozłóż się“ i ową „owcę, trząśnij się“, a karczmarz powymie-

niał mu jedno i drugie, lecz pod grozą trzeciego „kija, stój“, oddał je napowrót; tylko miejsce chciwości zajęła zdrada i obłuda niewieścia, a zasadniczą bezmiennność bajki zastąpiono nazwami osobowemi i miejscowemi, z pretensją o dokładność, jak owa wzmianka o Drakule (Dyable) wojewodzie (hospodarze) mołdawskim, którego Fortunat odwiedził; dalej rozepchano bajkę niepotrzebnymi osobami, miejscowościami i anegdotami, i dopowiedziano smutny koniec darów i obdarzonych, nie istniejący nigdy dla bajek. „Fortunata“ wyszedł najpierw w roku 1480 po niemiecku, i pewnie Niemiec nie wiele wcześniej go ułożył; popularność zdobył nadzwyczajną, nawet między Żydami, którzy przetłumaczonego żargonem chciwie czytali; księgarz frankfurcki spieniężył na jednym jarmarku (w roku 1569) 196 egzemplarzy niemieckiego „Fortunata“. Są liczne przeróbki, epickie i dramatyczne, dawne i nowe; może nawet komedyanci niemieccy na dworze Zygmunta III przedstawiali „Fortunata“; w literaturze polskiej mniej mu się poszczęściło, na Ruś się wcale nie przedostał, chociaż nawet u pobliskich Węgrów miał znaczne powodzenie, jako najdosadniejsza ilustracya owego (i węgierskiego) przysłowia: lepszy łut szczęścia, niż funt rozumu; Fortunatowi, to jest Szczęsnemu, w przykrych przejściach nieraz inaczej się wydaje, a na synach jego mści się zawistna fortuna.

W bajkach naszych pełno reminiscencyi o Fortunacie; wymieńmy choćby jedną, zapisaną przez p. Ciszewskiego ze Smordzowic, o trzech braciach, od których królowna „wycyganila“ cudowne przedmioty, za co jej rogi wyrastają; początek jej wprawdzie odmienny, i przedmioty cudowne już inne, lecz w dalszym ciągu zgoda dosłowna, naprzykład „ocyganiony“ brat narwał owych jabłek i udał się z nimi do miasta, trafił właśnie na odpust i zaczął sprzedawać te jabłka, a wtem przechodzi ta królowna i t. d. Najistotniejsza część Fortunata istniała dawno przed nim w tak zwanych Dziejach, czy Historyach Rzymskich.

Zasilały się dalej powieści ludowe i nowelami włoskiemi, zaczerpniętymi wprost, lub pośrednio z najpiękniejszego i niewyczerpanego ich skarbcza, z Dekameronu. Prym dzierży między nimi (ostatnia z rzędu) nowela o Gryzeldzie, lub Gryzeli, chociaż nie z oryginału Boccaciowego, lecz z łacińskiej redakcyi Petrarki po świecie się rozeszła, i Petrarki nazwisko zastąpiono Filipem z Bergamo, który do księgi swej o sławnych i wybranych kobietach tekst Petrarki włączył.

„Historya znamienita, wszystkim enym paniom na przykład pokory, posłuszeństwa i cichości wydana o Gryzelli salmskiej Xiężnie w ziemi włoskiej“ miała i w Polsce znaczne powodzenie; opowiedział

ją w prozie i stworzył najdawniejszy przykład nowelli polskiej, Jarosz Morsztyn, przenosząc widowisko na Szląsk, do Oświęcimia, nad Wisłę; wierszami odtworzył ją Głoskowski w roku 1641, lecz już w XVI wieku mieliśmy jej dwa przekłady, prozą jeden, a wierszem drugi.

Historya zaczyna się opisem pięknego położenia włoskiej ziemiicy Saluzzo, gdzie margrabia Walter panował, żyjąc wesoło, zabawiając się łowami, bezzenny. Rada jego przedstawia mu potrzebę, pożytek i przyjemności bogobojnego stanu małżeńskiego; w przekładzie polskim materyę tę aż na dziesięciu stronicach samoistnie rozprowadzono, czerpiąc zewsząd argumenty: im więcej dzieci, tem więcej bogomodłców za ciebie będzie, o panie; umrzesz-li bezdzietny, nabierze (dziedzictwa) „niepili“ (niekrewny), który na to nie pracował, jeszcze się z ciebie śmiać będzie „gamratując, abo kostki igrając“; z żoną „cię czyzyca (tęsknota) nie będzie“, dzieci będą cię zwały „nannem lubo tata“; toć tylko apostołom Pan nakazał, aby byli wolni od żony i od wszelakich „obwiązeli cześnych“. Usłuchał więc Walter rady wymownej i zawarował sobie tylko, że z równą zawsze czią przyjmą, kogokolwiek on wybierze. A wybrał on był oddawna w bliskości Gryzeldę, córkę ubogiego kmiotka, Janikuły, którą, bawiąc się łowami, zauważył. Więc ku ogólnemu zdziwieniu, rodziców o jej rękę poprosił, i piękna a cnotliwa Gryzelda wypełniała niebawem nowe obowiązki, jakby się królewną urodziła. Lecz margrabia zażądał był od niej, jeszcze przed weselom, posłuszeństwa, żeby się zawsze jego woli poddawała, co ona mu ślubila, by nawet od niej i jej śmierci wymagał. I przyszedł niebawem czas, że margrabia uległ Gryzeli wystawiał na próby, coraz srozsze i nielitościwsze. Odebrał jej najpierw dzieci i pozostawił ją w mniemaniu, że je na śmierć wydał; potem, uzasadniając wszystko niezadowoleniem poddanych z nierównych ślubów, oddalił ją z dworu, chcąc nowe zawrzeć śluby; wróciła więc Gryzelda do stanu kmiotówny bez szemrania, do dawnych sukien i zajęć chłopskich. Posłał tymczasem Walter po dorastającą już córkę, i przedstawił ją Gryzeldzie jako narzeczoną, i kazał jej służyć i pytał, jakby się podobała: Gryzelda wybór pochwaliła i tylko prosiła, aby narzeczonej nie wystawiał na próby pierwszej małżonki, gdyż trudno, żeby i ta, inaczej zrodzona, z tąż pokorą i cierpliwością je znosiła. Teraz dopiero odkrył Walter Gryzeldzie, że były to tylko próby, które charakter jej, szczerzy nad złoto, wykazały, i wróciła Gryzelda z ojcem ku ogólnej pocieszce na dawne stanowisko, i żyli szczęśliwie żona pokorna i mąż tyran.

Nieludzkie to opowiadanie obstarwił Boccacio historycznemi ni-by nazwami, tak, że późniejsi nawet i datę (rok 1025) dorobić mogli;

mimo to jest to tylko bajka, krążąca we Włoszech oddawna—znał ją Petrarca przed Dekameronem — lecz pozbawiona cech bajecznych (naprzykład dzieci zabito rzeczywiście i one cudem odżyły i t. d.), przeniesiona w sferę rzeczywistości pozornej. Stopniowaniem prób swych tworzy ta bajka parę z inną średniowieczną, o Aniku i Ameliusie, czy jak tam ich nazywają, gdzie przyjaźń, jej stałość i poświęcenie, wystawione na jeszcze cięższe próby, niż tu uległość małżeńska, i w końcu równie cudownie wynagrodzone.

„Gryzelę“ opracowywano często, począwszy od owej łacińskiej przeróbki Petrarcki, którą i po polskich rękopisach (łacińskich XV wieku) znachodzimy, i od Anglika Chancera, przez Hans Sachsa, aż do „poematu dramatycznego“ Halma; szerzyła się nowela i między ludem samym; nie tylko we Włoszech, lecz nawet w Rosyi ją z ust do ust ludu zapisywano: król pojął pasterkę i zagroził jej, że jej głowa z szyi zleci, skoro-by się mu sprzeciwić ważyła: zasługa więc ruskiej Gryzeli mniejsza, lecz za to uległość jej mniej wstrętna; słusznie też Halm własną „Gryzelę“ tragicznie zakończył: wytrwawszy próby najsroższe, Gryzelda do męża więcej nie wróciła; miłość pękła.

Z polskich przeróbek owa wierszem z roku 1571 najnieudolniejsza; rymopis, w rodzaju Golia, nie mogąc dla słabości z pokoiczku wychodzić w pole, trzusi się czytaniem rzeczy polskich i niemieckich, i wybiera formę wierszową, „ponieważ wdzięczniejsze jest czytanie rymami“; chociaż dotąd nigdy, ani w szkole „k'temu brzegu się nie miał“, dziwi się, dla czego tak cnej pani takie niecne imię się dostało. przypuszczając, że Gryzelda od gryzienia nazwana. On popsuł tylko w pogoni za nędznymi rymami piękny tok prozy polskiej niewiadomego tłumacza z przed roku 1571, który jednak nie był prostym tłumaczem niemieckiego tekstu, lecz dowolnie go rozszerzał, i na końcu czytelnika o znaczeniu i celu tej „prawdziwej“ powieści pouczał.

Tłumaczenie wierszowane jeszcze obszerniejsze, niż prozaiczne, liczy około 2,500 długich wierszów, nikczemnych, jak je autor sam słusznie nazwał, pocieszający się napróżno przypowieścią: „kto źle nigdy nie pisze, dobrze też nie będzie nigdy pisał“, która się chyba na nim nie sprawdziła. Mowa „czelniejszego“ z panów o pożytkach małżeństwa ciągnie się przez dwadzieścia kilka stronic; ponieważ zaś polskie zwyczaje wymagały nowej mowy przy oddawaniu do łożnicy, więc „jeden z rad“ występuje z nowem zalecaniem małżonki, ale że o niej dla podłego rodu nie było co wiele prawić, więc na małżeństwo rzecz skierował, i przez pięć stronic je wychwalał. Kończy wierszykiem nieprawdziwym:

Tu już tej historyi k r ó t k i koniec macie,  
Po pracy napił bych się, jeśli mi co dacie...

i dodaje jeszcze admonicę do białych głów, tak odmiennych, niestety, od Gryzeli:

By jej mąż palcem dotknął, to już tam wnet trwoga,  
Oto się nie da błagać, by padł przed nią krzyżem,  
Będzie się nadymała, by sowa swym pierzem  
i t. d.

Bardzo pobożny autor kończy lichą ramotę pieśnią do Zbawiciela; język (brutka i t. p.) i pisownia ujawniają autora i drukarza Prusaków, koło Gdańska i z Gdańska samego. Z unikat (kórnickiego) mogliśmy znowu za łaskawą uprzejmością dyrektora Celichowskiego korzystać.

Z „Gryzeldą”, pieśnią, tryumfującą uległości żeńskiej, chodzi nieraz pospołu inna nowela Boccaccia, pieśń miłości tryumfującej, o Gismundzie i Gwiskardzie; nadmieniamy o niej krótko, gdyż powieścią ludową na polskim gruncie nie została, i znamy tylko jej przeróbkę wierszem w rękopisie pod tytułem: „Amores Ismondæ et Guiscardi”<sup>1)</sup>:

W żyźnem Salernie Tankred panował bogaty,  
Cnót wielkich, dojrzałemi już obciążon laty,  
Trzykroć błogosławiony, czterekroć szczęśliwy,  
Kiedy-by na własną krew nie był ukwapliwy.  
Bo gdy w domu swym córkę miał tylko jedyną  
i t. d.

<sup>1)</sup> Nie wiemy, czy to ta sama „Izmonda”, którą w roku 1587 wierszem wydał p. Andrzej Dębowski, lubujący się w wierszowaniu nowel starożymskich i włoskich.

Pięknej Gizmondy, wcześniej owdowiałej, ojciec na nowo nie swatał; serce pięknej pani zwróciło się ku celującemu nie rodem, lecz urodą, Gwiskardowi, znalazło wzajemność, i kochankowie używali szczęścia, aż przypadkiem sam Tankred tajemnicę ich odkrył. Kazawszy pojmać Gwiskarda, robił córce wyrzuty srogie -- śmiała i szczerą jej mowa obronna, to szczyt tej noweli — poczem kochanka zabić, serce mu wyjąć i w złotej czarze jej doręczyć kazał. Dumna Gizmonda przyjęła je jako dar najkosztowniejszy, i oblawszy je łzami, otruła się; i ojca niebawem ciężki żal zapóźny ze świata sprowadził. W innych podobnych a licznych powieściach, naprzykład starofrancuskich, panna spożywa serce kochanka i oświadcza, że po tak szlachetnym kąsku żaden inny w usta jej nie wejdzie więcej, i dotrzymuje słowa.

Wierność małżeńską w innej noweli Dekameraona uświetnia opowiadacz niezrównany, która szerzej się w Polsce rozeszła, a z Polski i na Ruś powędrowała, mimo zakazu, jakim arcyniewinną w gruncie ferwor biskupi napiętnował. Jest to „Historya bardzo piękna o Barnabasz, jako się ten zacny kupiec z drugim kupcem na cnotę żony swojej założył o zakład niemały, wszystkim cnym paniom ku pociesze i przestrodze“ (Kraków, w roku 1615; ruski przepis z roku 1677, „Powiest' utieszajna o kupcie itd.)“ — zamieszczona na indeksie w roku 1618. Wydawca, mieszczanin krakowski, wyznaje, że historia ta

już dawno przed tym na świat była wyszła <sup>1)</sup>  
 Jednak iż jej już w kramiech i znaku nie stało,  
 Wydać mi ją zaś na świat teraz świeżo zdało.

W Paryżu, którego wysławianiem wcale niezły wiersz, przypominający fakturą „Historyę w Londzie“, z roku 1568, się zaczyna, założył się Barnabasz z Genui (Genewy!) z Ambrożym z Placencyej o cnotę żony:

dali ręce sobie  
 Podali onym drugim, by rozcięli obie.

---

<sup>1)</sup> W roku 1583.



wszelkie jednak zakusy Ambrożego rozbiły się o stałość żony, i tylko zdradą i podejściem wywiedziały się Ambrożo o sprzętach w sypialni i o znaku na jej ciele; przekonał tak oszczerca męża o muiemanej niewierności żony, i zakład wygrał. Barnabasz kazał żonę zabić, lecz sługa darował ją życiem; przebrana za mężczyznę, dostała się do Aleksandryi, tu wyrobiła sobie fawor sultański i korzystną pozycję; tutaj też przypadkiem odkryła Ambrożego i jego niecnotę, i sprowadziwszy Barnabasza, przed sułtanem do zeznania całej prawdy zmusiła, poczem go śmiercią ukarano. Nowellę tę transponował sam Boccaccio ze sfer rycerskich źródła francuskiego w sferę kupieckie.

Inne nowelle z Dekameronu i innych pisarzy, Hans Sachsa na przykład, znachodziły również opracowania, wierszem, lub prozą; na przykład powieść o Berytoli (znana dziś tylko z inwentarza księgarskiego z roku 1591), z Dekameronu, opowiada legendę o Eustachym Placydzie, przeniesioną do Sycylii i na wiek XIII: Berytola, od męża odłączona, traci i dzieci; po latach i niebezpiecznych przejściach, — z których jedno na „Gismondę i Gwiskarda“ zakrawało, — szczęśliwie się wszyscy odnaleźli; albo powieść o Euryalu i Lukrecyi, którą Krzysztof Golian z oryginału Eneasza Sylwiusza (papieża Piusa II) lichym wierszem przerobił, jest to drastyczne a ślizkie opowiadanie z roku 1444 o wolnej miłości kanclerza Szlika i włoskiej mężatki w Syenie z roku 1431, słynne na całą Europę, godne ziomka Bocacciowego, lecz papieżowi niemiłe. Powieści te nie rozeszły się jednak zbyt szeroko, nie weszły w lud, chociaż na przykład oryginał łaciński wraz z listami Sylwiusza już od połowy XV wieku w Polsce się znajdował.

Z literatury pobratymczej, czeskiej, nadawały się wybornie do powieści ludowej obie kroniki o Sztylfrydzie i Bruncwiku (właściwie może o jednym bohaterze, rozdzielonym z czasem na dwie osoby), jak oni zamiast kotła Czechom swym ukochanym, ojciec orła, a syn lwa, do herbu zdobyli, po turniejach i wyprawach zamorskich (na skałę magnesową i na smoka niezwalzonego) sławę czeską szerząc; Bruncwik wraca cudownym, napowietrznym lotem do Pragi, gdy żona właśnie w nowe śluby wstępuje, z wiernym lwem i z mieczem, ścigającym, co się nawinie. Jest to tradycja niemiecka, która się rychło w Czechach przyjęła, co wobec ścisłych związków czeskoniemieckich zadziwiać nie może, i nadzwyczajnej popularności zażywała; przedostała się ona od Czechów do Słowaków, Madiarów, Niemców samych, a w końcu i na Ruś moskiewską, gdzie „Istorija o sławnom korolewiczce (Bruncwikie) czeskiej ziemi“ już w XVII-tym wieku popłacała.

W Polsce odnalazłem ją dotąd jedynie na Szląsku, gdzie ją Nowacki przełożył i wydawał szląską polszczyzną, z piestrzeniem, zamiast pierścieniem, i wyciepowaniem, zamiast wyrzucaniem, z drakiem — smokiem i innymi czechizmami; wydanie (roku 1846 w Mikołowie) zaopatrzył on na domiar alegoryą o sędzie strasznym, z „Historyi Rzymskich” wyjętą; zresztą, odbiega nieco jego tekst Bruncwika od znanych mi, czeskich.

#### IV.

Wymienione powieści i nowelle, francuskie, niemieckie i włoskie, opiewały średniowieczną rycerskość, sentymenta, bajki średniowieczne (prócz romansów nowszych) — rywalizowały z niemi jednak oddawna powieści całkiem innego rodowodu, bo starożytnie.

Czoło ich zajęła „Aleksandreida,” najśłynniejsza powieść całego świata. Mówić o Aleksandreidzie, to znaczy tyle, co poruszyć historię wszystkich literatur, od greckiej począwszy; wystarczy przypomnieć, że najlepsza epopeja średniowieczna, to Aleksandreida Waltera Chatillons, a najwcześniejszy i najpiękniejszy wiersz, na jaki wszystkie dawne literatury słowiańskie się zdobyły, to dzielna czeska owego Waltera przeróbka. Musimy się więc, wobec tego uadmiarnu dzieł i opracowań, ograniczyć do rzeczy polskich, tem bardziej, że polskie Aleksandreidy nawet na Ruś nie przeszły; tu miano bowiem od wieków własne Aleksandreidy, które w cerkiewnym języku z południa w dwóch odmiennych redakcyach przybyły.

Polacy nie mają już wierszowanych Aleksandreid średniowiecznych, posiadają tylko dwojake tłumaczenie słynnej prozy łacińskiej (Aleksandra de proeliis, o boju), przepisywanej i drukowanej niezliczone razy. Tłumaczenie rękopiśmienne, r. 1510, z biblioteki wileńskiej Zygmunta Starego, dziś u Zamoyskich przechowywane, arcy niezdarne, powtarza niewolniczo, bez sensu, bez myśli, oryginał łaciński (tj. dawne dosyć tłumaczenie z greckiego). Od lichoty niezdarnej tego tłumaczenia odbija dobry wcale przekład (choć i ten miejscami nie bez usterek), który Helena Florianowa (wdowa po Unglerze) w swej drukarni krakowskiej r. 1550 wydała i Annie Tęczyńskiej przypisała p. t. „Historya o żywocie i znamienitych sprawach Aleksandra W., króla macedońskiego,” która w sobie wiele cudnych

przykładów zamyka, każdemu rycerskiego stanu człowieku ku czytaniu użyteczna; wydanie to (bez dedykacji) przebijano ciągle, sami mieliśmy w rękach np. wydanie z r. 1628, 1701, 1766 itd., nie licząc fragmentów. Nadmieniamy tylko, że tradycja z początku naszego wieku, przechowana u p. Em. Murray, o jakimś polskim „poemacie tragicznym“ o Aleksandrze W., mimo całej niejasności odnosi się chyba tylko do wydania Unglerowej (dwa egzemplarze druku takiego miała posiadać biblioteka jagiellońska,—czy nie ocalał dziś jeden z nich, przesłusznie zachowany, w zbiorach Zamoyskich, ofiarowany ordynatowi przez lokaja?

Największy bohater świata, tj., ten którego najgęściej tradycje opłoty, poganom i chrześcianom, żydom i muzułmanom, Azji i Europie równie był znany i ulubiony. Fantazję najbujniejszą podniecały i zaspokajały opisy niesłychanych dziwów ludzkich i zwierzęcych, na lądzie i morzu, jakie Macedończyk oglądał, pobijał, lub zamykał tam, skąd się dopiero przy końcu świata wydostaną; rozum i dowcip bawiły listy, o treści nieraz bardzo głębokiej, np. w korespondencji z bragmanami, gdzie na kilkanaście set lat przed Russem powrót do natury, życie skromne i mierne przed każdym innym wystawiano; dla listów tych delektował się już nasz mistrz Wincenty w dwunastym wieku tym romanssem i sam nowe na zaszczyt własnego ludu dokomponował <sup>1)</sup>; na uczucie wreszcie działały rycerskość, wspaniałomyślność, szczodrość królewska Aleksandra, lecz przedewszystkiem ów kontrast niesłychanej potęgi światowej, obróconej w uiwecz przez jedną noc, ten, dla którego wczoraj cały świat był za mały, który wyżyny niebieskie i otchłanie morskie przemierzał, zadawała się dziś kilku łokciami ziemi; ten, na którego nazwisko wczoraj jeszcze ludy truchlały, dziś już tylko marą, o którą nikt nie dba—taka ilustracja doraźna owego vanitas vanitatum najwybredniejszego moralistę i ascetę średniowiecznego zadawałać musiała. Ujął też Aleksander, chociaż poganin i wielobożnik, samych żydów i chrześcian tem, że kapłana najwyższego kornie uczył i imieniu Boskiemu winną chwałę oddał. Łączył więc w sobie Aleksander ideał rycerza, któremu strach

---

<sup>1)</sup> Napróżno szukano oryginału łacińskiego, który-by mieścił listy, przytoczone przez Wincentego, a wymieniane niby między Polakami i Aleksandrem. Wincenty miał przed sobą tylko ową powieść „De proeliis“, którą i my mamy, i wzbogacił ją własnym pomysłem; podobne, nie fałszerstwo, lecz raczej niewinne dokomponowanie brakującego materiału, odznacza nieraz jego metodę w przedstawianiu początków polskich.

obcy, który nieprzyjaciela we własnym gmachu nawiedzi, przykładem swym wszystkich za sobą porwie, i króla, szczodrego, wspaniałomyślnego, ufego, przystępnego—nie dziw też, że fantazyę ludów licznych i długich wieków osobą i losami swemi tak bardzo zaprzętnął.

Co romans z dziejów opowiada pomijamy; z wymysłów najważniejszy, a schlebiający próżności Egipcyan, znachodzimy na początku: Aleksander, to nie syn Filipa, lecz króla egipskiego, Anaktanaba, gwieździarza, który, przed wrogiem uchodząc, Olimpię, w nieobecności Filipa, pod postacią bożka omamił. W chwili narodzin drżała ziemia; włosy na głowie dziecięcia jakoby lwie rozmaicie nakrapiane, oczy jego jako gwiazdy jasne, ale barwy różnej, jedno czarne, drugie żółte się okazywały. Zabił zaś Aleksander Anektanaba, gdyż mu się zbrodnią zdało, że ten o niebieskich rzeczach prawil, a ziemskich nie rozumiał, chociaż mu Anektanab słusznie o sobie przepowiedział, że od własnego syna ma zginąć.

Pomijamy opowiadania z lat późniejszych, o odmówieniu dani Daryuszowi (kokosz, która złote jaja nosła, stała się nieplodną, kazał mu Aleksander oświadczyć); o przechwałkach Daryusza przesyłającego to zabawki dziecięce Aleksandrowi, to korzec maku na znak ilości wojska własnego (Aleksander piłkę itd. na berło wytłomaczył, a mały mak ziarnem pieprzu oddał) itd.; ulubiony niegdyś motyw o znaczeniu kamieni i złota, po których się na tron Cyrusa wstępowało, wykład alegoryczny i pseudomedyczny zarazem.

Dalej epizod o Amazonkach, które na wezwanie o czynsz tryb życia swego opisują; dalej z niesłychanemi potworami i zwierzętami walczyć przychodziło: same trzciny były jak sosny na sześćdziesiąt stóp wysokie, myszy większe niż krety, nietoperze, jak gołębie, co nosy i uszy odkąsywały, lwy białe, dziki z łokciowemi kłami, leśni mężowie o sześciu rękach, kobiety z gołemi głowami i brodami po pas itd. Najciekawszy ustęp, to wspomniana korespondencya między Aleksandrem a Dydymem królem „bragmańskim“—niby Nipu Doświadczyńskiego i podobne utopie, o ludziach, depczących złotem, bez występków i sądów, bez chorób i leków, wegetaryanach, odzianych w liście, bez domów i niewolników, bez gry i kupiectwa, natrzęsających się z wielobóstwa, którym jeden Bóg niebieski panuje, Bóg słowa, a z tego słowa wszystkie rzeczy trwają. Aleksander szydzi z nich i gani prostotę tych, którzy, lepszego bytu nie znając, swój chcąc nie chcąc wychwalają; lecz argumenta po stronie bragmańskiej więcej nas przekonywają.

U Brahmanów rozstajemy się z światem przyrodzonym; następują coraz większe dziwy: drzewa, które wschodziły z ziemi razem

ze słońcem i z niem w ziemi się kryły, wydawszy owoc szlachetny, a ktoby ich liście obrywał, nagłą śmiercią ginał; góra „adamantynowa“ z wieszczącemi drzewami słońca i miesiąca (w greckim i indyjskim języku); feniks, bazyliżek, którego sam Aleksander zwierciadłem poraził itd. Dwudziestu czterech królów z plugawemi ich ludami zamknął on w górach do skończenia świata (na jego prośbę do Boga zstąpiły się te góry); potem Gryfami dał się wznieść pod obłoki, tak wysoko, że cały krąg ziemski wydawał się „jakoby gummo, na którym zboże młóca“, a morze jakoby smok w około zwity—lecz zaćmił Bóg gryfów, że zamiast wyżej się wznosić spuszczały się; lepiej zmierzy Aleksander głębokości morskie w szklanem naczyniu, lecz nikomu nie opowiadał, co za dziwy na dnie widział, aby go o przesadę nie posądzono.

Zbliżał się jednak naznaczony od dawna kres dni żywota jego i wiedział od wieszczków i wyroczni Aleksander śmierć przedwczesną i sarkał, że nie będzie mógł wykonać wielkich rzeczy, jakie zamyslił; dziwopłód, co kobieta na świat wydała w Babilonii, stolicy Aleksandrowej, wytłómaczono mu, jako oznakę własnego zgonu, a niemoicy następnych królów. I otrul Antypater Aleksandra, przez syna swego i przez sługę zaufanego, którego raz Aleksander bez jego winy uderzył. Testament, opis wyglądu, pogrzeb, refleksye filozofów nad grobem, wyliczanie miast założonych kończą „romans“.

Opuszczaliśmy epizody np. o gałęziach, które żołnierze przed sobą nosili, że zdawało się, jakoby las się ruszał (tak i w Makbecie); o stawieniu się Aleksandra samego w osobie posła przed Daryuszem, jak hardo sobie poczynął, a przy wieczerzy w zanadrze złote kubki sprzątał, gdzie niby to u Aleksandra taki obyczaj się zachowuje i godzący zabierają kubki do woli, co się panom perskim wcale podobało itd. Przykłady niektóre wydają się bajkami skróconemi.

Tak różnorakimi fantazyami oplótł wschód Macedończyka cóż dziwnego, że nie zrównały z niemi żadne inne, że ani podróże fantastyczne (np. Maundewila), ani bajeczne opisy państwa „papa Jana“, ani sprawy rycerskie Godfredów nie wyrugowały ani nie zastąpiły w pamięci ludowej spraw i żywota Aleksandra-Iskandera, że kazał nasz mistrz Wincenty walczyć naszym Lestkom z argiraspidami jego, że okrucy tradycyi nawet na zachodzie, u naszego ludu, do dzisiaj przetrwały, mimo wieków i przestrzeni, jakie nas od kolebki tych powieści oddalają.

Z podań starożytnych mogła-by „Wojna Trojańska“ z „Aleksandrem“ rywalizować, lecz polska „Historya bardzo piękna, ucieasz-

na—o zburzeniu miasta Trojańskiego“ popularności żadnej nie zdobyła. Autor jej, a raczej tłumacz, obrał bowiem tekst, dokładny i treściwy, lecz nie wzbudzający żywszego zajęcia; traktował rzecz tę sucho i pedantycznie, jako historię prawdziwą, pełną morałów i przestroóg i usunął element fantastyczny, rycerski, zupełnie; to już nie historia bogów i półbogów, ale zwykła akcja polityczna, rozgrywająca się tylko o kawałek gliny (Helene) zamiast o kawałek ziemi. Gdybyż on był wziął za przewodnika średniowiecznego opowiadacza, Gwidona z Kolumny, to byłby może zajął więcej czytelników, tak zaś historia jego bawiła tylko żaka i ludzi, pragnących kształcenia; jest też wcale dodatnią wskazówką cywilizacyi naszego XVI wieku, że i niepopularna, pragmatyczna ta historia rozeszła się co najmniej w trzech wydaniach; na to zaś zasługiwała najzupełniej, dla staranności dykcyi, jasności wykładu, dla pracy, którą zadał sobie tłumacz, więcej niż jakikolwiek inny tegoż cechu; XVII wiek o tej historii już zapomniał zupełnie; na Ruś ona również nie przeszła, gdzie w razie potrzeby własna „priczka o kralach“ się znachodziła.

Lecz, zarzucił-by kto, „Aleksander“ i „Wojna Trojańska“, toć nie powieści, a dzieje, istotne czy mniemane. Otóż jest starogreckiego romansu właściwością, występować w szacie dziejowej, wydawać się za prawdziwe dopełnienie nieznanych dziejów, ich ludów i krajów; romans ten wypłynął z historii, jak średniowieczny z podania. Mieszkańca starogreckiego, który uprawnionego, stałego miejsca, w dawnym kodeksie estetycznym wcale się nie dobił, spłodziła z dziejami retoryka: styl wyszukany, czy w prostocie kunsztownej, wymuszonej, czy też w napuszonym, bombastycznym wydwarzaniu, pełnym kwiecistych ozdóbek, porównań, antytez przestarzałego, martwego napół języka, cechuje nieliczne opisy, a niezliczone mowy, perory, morały tego romansu. Jeden tylko, najkrótszy i najpóźniejszy niemal z tych romansów, stał się ludowym istotnie, ale pojawia się u nas, jako część większej całości, więc go tu nie omawiamy osobno; wszystkie inne nie nadawały się dla stylu, obszerności, zagmatwania treści, między powieści ludowe, i moglibyśmy je śmiało pominąć, gdyby nie wzgląd, że zostawiły one mimo to znaczny ślad w dawnej powieści polskiej, chociaż nie ludowej. A mianowicie najslawniejsza, najpiękniejsza z nich, Etyopiki Heliodora, Syryjczyka z Emezy, utrwaliły się w literaturze naszej, występując w niej i same, i w ciekawych naśladowaniach, np. Wacława Potockiego.

Pyszny rękopis grecki z biblioteki Macieja Korwina uniósł laucknecht przy rozgromie budzińskim i niebawem wydano oryginał, który Stanisław Warszawicki, nim jeszcze jezuitą został, na łacinę

wyłożył; od 1552 aż do końca XVIII wydawano często ten przekład, jeden z nielicznych wkładów polskich do filozofii klasycznej. „Aethiopiae historiae libri X“ poświęcił Stanisław królowi własnemu, wychwalając w przedmowie obu Zygmuntów ludzkość i sprawiedliwość, miłość i cześć ogólną, jaką sobie w świecie zjednali; sam etyopski król (Hydaspes), o którym w romansie mowa, przypomina mu powagę Zygmunta Starego.

Z łacińskiego oryginału p. Stanisława poszły inne, np. niemieckie Zschorna w Sztrasburgu z 1559, później nieraz powtarzane; niemieckie przetłómaczono znowu na polskie; przytaczają obcy bibliografowie wydanie wileńskie z r. 1606, którego nikt dotąd nie odszukał, ale że się ci obcy nie bardzo mylą, dowodzi egzemplarz dzikowski książki p. t. „Historya bardzo ucieczna o Charykley królownie i Teagenesie“ z niemieckiego przetłómaczona, Kraków u Berlułowicza r. 1663, w oktawce. Unikat ten znam tylko z tytułu u p. Estreichera wypisanego, o samem tłómaczeniu nie więc powiedzieć nie umiem, powiem coś tylko o oryginale, gdyż Charyklia i t. d., to właśnie Etyopiki Heliodora. Będzie to pewnie najdawniejszy u nas romans prozą takiej obszerności, gdyż równa się niemal swą objętością złotym tomom dzisiejszych romansów francuskich.

Treść możemy wyłożyć jak najkrócej. Persyna, królowa etyopska, zapatrzywszy się w obraz grecki, porodziła córkę płci białej i, bojąc się posądzeń, oddała ją z domu; ta, Charyklią zwana, poznała w Delfach Tesalczyka, szlachetnego Theagenesa; oboje zapłonęli gorącą miłością ku sobie i po najrozmaitszych przygodach, rozłączeniach, próbach, gdy już nawet na stopy ofiarne wchodzili, nastąpiło uznanie Charyklij przez rodziców i związek jej z Theagenesem. Heliodor napisał romans, jak Eneaszy Sylwiusz Euryala, zanim (chrześcianinem? i) biskupem został, a wyrzuty, które później papież sam sobie czynił dla erotyka haniebnego, sformułował synod przeciw Heliodorowi, jak bajano, lecz niesłusznie, gdyż wobec cudzołóstwa, usławionego w Euryalu, Etyopiki są szczytem moralności. Para kochająca się wychodzi czystą i niewinną na ciele i duszy z prób najtwardszych; bohaterem właściwym romansu jest—po raz pierwszy w świecie—o n a, wobec niej błędnie Teagen zupełnie; zarazem wieje z romansu starogreckiego, pogańskiego, duch chrześcijański zupełnego, skruszonego, ufego zdania się na wolę najwyższą i miłości bliźniego, obcy butnemu egoizmowi heleńskiemu. Romans zapehany epizodami, opisanymi np. pochodów ofiarnych, wciąga nadto wiele osób, szafuje do zbytku sytuacjami najdziwniejszemi, z których bohater w końcu za-

wsze obroną ręką wychodzi; uprowadzania, szturmy na morzu i lądzie, przydługie opowiadania przygód własnych, cudowne poznanie się itd., piętrzą się jedne nad drugimi, tak, że wszelkie wrażenie nie prawdopodobieństwa się zaciera. Mimo to podobał się romans szalenie, zachwycali się nim jeszcze Tasso i Rafael, brali z niego motywy do strof w Jeruzolimie Wyzwolonej i do obrazów; inne jego motywy można śledzić np. w literaturze średniowiecznej, dokąd się nieznanymi kanałami przedostawały, chociaż i w nim samym odnajdujemy motywy obce, np. wydawanie się pary kochającej za rodzeństwo, — motyw z biblii dobrze znany.

Syloret Wacława Potockiego jest odbiciem Etyopik; spotykaniem się w świątyniach, korsarze, zbójcy, uprowadzanie, trucizny, cudowne sygnety, sny, stosy, pojawiają się i tu, i tam; lecz Heliodor wykazuje tem samem większe misterstwo, że jego romans, jak Odyseja lub romanse Zoli, zaczyna się w samym środku; dopiero powoli dowiadujemy się z opowiadań własnych osób rozmaitych ich antedecencyi; początek sam już jest wielce efektownym: patrzymy wraz ze zbójcami w brzasku porannym na morze, czy nie nadpłynie jaka zdobycz i dostrzegamy z nimi na samym brzegu ślady krwawe wielkiej uczty, w bój śmiertelny zamienionej; widzimy Charykleję, piastującą na łonie ciężko rannego Theagena itd. U Potockiego przeciwnie; cały romans rozwija się jakoby od samej kolebki i przesuwa się jeden fakt po drugim, w nużącym chronologicznym porządku, dzieje zawile trzech pokoleń — a mogło-by być ich i trzydzieści, z tem samem prawem, niby w nieskończonym Amadysie.

Lecz przekroczyliśmy granice szkicu naszego, opuszczając dziedzinę powieści i romansów ludowych, a wplatając rzecz o Sylorecie, która-by nas mimowoli zawiodła do innych podobnych, do Argienidy i Banialuki, do Paskwaliny i Peropidy i innych bohaterek romansów i nowel wierszowanych, Potockiego, Morsztyna (Jarosza, ale też Psyche Andrzeja tu należy), Twardowskiego, Korczyńskiego, Szemiota i innych oryginalnych i przekładanych, udatnych i nudnych.

Wracając do naszej dziedziny, możemy teraz, przekonawszy się o jej rozmiarach i zasobach, i na tem polu stwierdzić młodszość naszej cywilizacyi, pozostawanie w tyle za oświeconym zachodem. Choć niejedna rzecz całkiem a jeszcze więcej dawnych wydań bezpowrotnie zaginęło, mimo to, porównywając stosunki nasze a zachodnie, widzimy najpierw, że na naszej ziemi nic się nie zrodziło, że oryginalnego



nie nie stworzyliśmy, że nie zgęściły się ani zespoliły nawet opowiadania, czy podania, krążące, czy o Koszyskim, czy o Reju, czy o Stańczyku, czy o Twardowskim, czy o Osieku lub Pacanowie, w jakąskolwiek całość, która-by choć z Sowizdrzałem, Faustem, Fortunatem i Schiltbürgerami mierzyć się mogła—cóż dopiero mówić o innych romansach. Z opieszalnością i gnusnością iście słowiańską zadawano się choć obcem, za to gotowem—nasza praca umysłowa szczupła do tłumaczeń nieraz dosyć mechanicznych.

Nawet i te obce zasoby przenaszano do nas późno—nieraz o cały wiek później, i nie w zbytnej ilości. Szerzono każdą powieść samą dla siebie—o skupieniu ich w większym zbiorze, jak w niemieckim Buch der Liebe, nikt u nas ani razu nie pomyślał. Trzymano się rzeczy krótkich, więc Amadys, za którym tak przepadali czuli i ciekawi czytelnicy w Hiszpanii, Włoszech, Francji i Niemczech, już dla rozmiarów swych odstraszał był Polaka, „tęskniącego“ sobie w czytaniu, jak i Rej, i inni poświadczają. Dla Amadysa można-by wprowadzić nadmienić, jako okoliczność łagodząca, że jego romantyzm nieromantycznej Polsce byłby obcy, niezrozumiały, więc i wstrętny—ale faktu pewnego lenistwa umysłowego, nienawyknienia warstw szerokich do potrzeby karmi umysłowej, braku czytających nie usuniemy.

Więc bierna wtedy Polska zadłuża się i na tem polu, a właśnie na tem więcej, niż na którym innym—u Zachodu; zasługa jej ogranicza się przyjmowaniem i przyswajaniem produktów zachodnich a szerzeniem ich na wschód: tylko odpadkami i tak już niebogatemu stołu polskiego karmi się belletrystyka ruska w XVII wieku, jeszcze późniejsza o półtora wieku — i jeszcze uboższa. W tym samym wieku zeszyły na zachodzie „Meluzyna“, „Magielona“ i t. p. do lektury dla dzieci i ludu; dorosły a piśmienny wymagał już zupełnie czego innego, romansów obszernych, historycznych i pasterskich, sentymentalnych i politycznych, alegorycznych i awanturniczych, jak Argienida, Telemak, Żil Blas, Simplicissimus, Asiatische Banise — nie mówiąc o nieskończonych tomach francuskich i włoskich Kassandr, Dionej, Silwii, Klelij, Koloandrow itd., itd., a dla tych „romanii“ — tak je wtedy i St. H. Lubomirski nazywa—nie było u nas jeszcze tłumaczy, a więc i czytelników, zjawili się oni u nas znowu dopiero po niewczasie, gdy smak publiczności zachodniej dawno się od nich odchylił, w pierwszej połowie XVIII wieku dopiero.

Jeśli więc napięcie umysłowości naszej na tem polu było najslabsze, mimo to nierozzerwalności związku naszego z zachodem do-

wodzą nawet i te niepokazne a tak rzadkie książeczki, które pierwsze próby powieści zachodniej do nas prznosiły, i tem samem u kolebki romansu polskiego na miejsce i wyróżnienie zasługują. Uwadze i opiece miłośników naszych rzeczy dawnych polecamy jak najgoręcej te szare i blade przekłady, któremi się niegdyś fantazyja całych pokoleń licznych odżywiała niemal wyłącznie.

A. BRÜCKNER.

---

# Zmiana tronu w Wielkiej Brytanii.

U progu nowego stulecia postradał świat brytański najznakomitszą przedstawicielkę poprzedniego. Zamknęła się epoka Wiktoryi, która w dziejach angielskich będzie posiadała to samo doniosłe znaczenie, co o trzy wieki wcześniejsza epoka Elżbiety. Całkiem odmiennym charakterem i indywidualnością, obie te monarchie mają to coś wspólnego, iż pod ich berłem potęga narodu wzniosła się na niebywale wyżyny, a położone za Elżbiety pierwsze podstawy kolonialnego rozwoju i panowania na morzach przybrały za królowej Wiktoryi rozmiary kolosu, obejmującego trzecią część kuli ziemskiej i blisko 400 milionów mieszkańców.

Im więcej zastanawia się nad stosunkiem takiego mocarstwa do panującej nad niem monarchini, tem bardziej ich przeciwieństwo uderza. Słyszeliśmy, że wśród bałwochwalczych plemion jakiegoś archipelagu, czy też gdzieś w tajemniczych głębinach Indyi, oddawali autochtoni cześć boską „białej królowej“. Uderzała ich dziecinną

wyobraźnię ta postać daleka a działająca powszędzy: jej *missi dominici* byli podobni do stu rąk Buddy. Owa wszechświatowa monarchia, ku której darła się młodzieńcza buta Aleksandra Macedońskiego, albo owa druga, bliższa nas, zaimprovizowana przez wojenny geniusz Napoleona, a nad której ruiną mógł on sam rozpamiętywać w przedzgonnych latach na Ś-tej Helenie, urzeczywistniła się za dni naszych, i w drobnej ręce kobiecej dzierżone berło przekazane zostało niepodzielnie prawemu spadkobiercy.

Gdy dziewczęcą swą stopą wchodziła na tron angielski, była po prostu i przede wszystkim Królową trzech zjednoczonych królestw. Później, za inicjatywą Dizraelego, dodała do swego królewskiego wieńca cesarski dyadem Indyi. U schyłku jej panowania stawało się coraz widoczniejszym, że jeszcze do innego, do wyższego tytułu ma prawo. Cesarstwo wielko - brytańskie fundowało się pod jej sternictwem. Najprzód kolonie północnej Ameryki związały się w jeden federacyjny organizm; to samo uczyniła Australazya w ubiegłym roku; i nakoniec ta sama firma państwowa stanie się udziałem południowej Afryki, gdy wsiąknie w jej głębę krew, co się tam przelała. Wsparta na takich trzech potężnych filarach, Wielka Brytania, rozciągając nad sfederowanemi republikami trzech części świata swoje cesarskie zwierzchnictwo, będzie miała prawo, jako przedstawicielka jedności anglo - saksońskiego szczepu, uważać się za nosobienie zbiorowe najwyższych zasad swobody, postępu, cywilizacji. Właśnie dla tego, że naród był głęboko przekonany, iż królowa Wiktorya nigdy tego celu nie uroniła z oka, że wytrwale i systematycznie zdążała do jego urzeczywistnienia, nabrał świadomości o swej państwowej potędze i uczuwał dla tej, co krystalizowała w sobie ideę Brytańskiego Imperyum, bezgraniczną wdzięczność.

---

Dłużej, niż którykolwiek z jej poprzedników, bo sześćdziesiąt trzy lata z okładem, zasiadała Wiktorya na brytańskim tronie. Już ta jedna okoliczność pozwala zrozumieć jej wpływ osobisty na bieg spraw publicznych. Jedne pokolenia po drugich wstępowały na arenę życiową, a zawsze jej postać znajdowały na najwyższym szczeblu drabiny hierarchicznej. Dziadowie widzieli ją w krasie młodości, niedoświadczoną, ale przywilejów swych królewskich świadomą, idącą

za radą i wskazówką swych ministrów; ojcowie widzieli ją żoną i matką, wieńcem dzieci otoczoną, zawsze na wysokości swych obowiązków publicznych i prywatnych, a wnuki i prawnuki spotykali w pochyłonej wiekiem sędziwej matronie zawsze tę samą monarchinię, rozstrzygającą najwyższe zagadnienia, wglądającą w szczegóły najdrobniejsze. Nic dziwnego tedy, że jej osoba rosła w ich pojęciu, olbrzymiała. Nie była to już królowa Wiktorya, ale „Królowa“, nie była to już Monarchini, ale sama zasada Monarchii.

A nie było w takiej ocenie przesady. Podczas gdy w ościennych krajach upadały najstarodawniejsze trony, jak domki karciane, gdy jedne dynastye zastępowały drugie, gdy Rzeczypospolite zwiastowały tryumfująco brzask nowego porządku rzeczy; świat wielko-brytański, pod jej pokojową egidą, dokonywał bez najmniejszych konwulsyjnych przewrotów swej organicznej ewolucyi ku coraz większemu światłu, sprawiedliwości i prawdzie. Idea monarchiczna nie tylko nie traciła na znaczeniu i sile, ale przeciwnie, podniosła się, oczyściła, stała się opiekuńczą instytucją rozwoju społecznego, symbolem narodowej spójni. Przy jej wstąpieniu na tron, przewinienia jej poprzedników, ich nałogi i wybryki, brudy ich prywatnego życia, tak ponury cień nań rzuciły, tak go obrzydziły, że zdawało się, iż jego powaga zniweczona została raz na zawsze, że jego podwaliny nie zdołają się oprzeć naciskowi pogardliwej arystokracji i niesfornej masy ludowej. A właśnie stało się przeciwnie. Królowa podbiła sobie naród, zjednała sobie głęboki jego szacunek najprzód, przywiązanie następnie. Uczucia te potęgowały się z biegiem lat i wytworzyły pomiędzy narodem a tronem stosunek patryarchalnej serdeczności, który przy końcu XIX-go wieku można było uważać za etyczny anachronizm.

---

Ale nie dość jest powiedzieć, że uosabiała zasadę Monarchii jako taką, trzeba jeszcze dodać, że jest tu mowa o monarchii konstytucyjnej,—więcej nawet, bo o parlamentarnej. Nieraz spotkać się można z opinią, że monarcha angielski przy wszechwładzy Parlamentu nie posiada istotnej władzy, i że zadawałnicę się musi zewnątrzniemi honorani, nie posiadając osobistej, sobie należnej, sfery działalności i wpływu. Nic dalszego od prawdy, jak ta teorya o republikańskim gmachu pod monarchicznym szyldem. Gdyby zamiast „szyldu“ mówi-

ło się o „dachu“, to jeszcze figura ta nie odpowiadała-by rzeczywistości. Wie każdy umysł bystrzejszy, co śledził dominujące prądy naszych czasów, jak znacznie zwiększył się wpływ korony z uszczerbkiem ciał reprezentacyjnych we wszystkich bez wyjątku konstytucyjnych krajach. W Anglii, gdzie walka i rywalizacja pomiędzy tronem a instytucjami, urabiającemi wolę narodu, należy do przeszłości, władza monarchy nie potrzebowała uciekać się do fortelów i intryg, aby prawa swoje ubezpieczyć. Królowa Wiktorya, będąc najdoskonalszym typem konstytucyjnego monarchy, nie była bynajmniej „malowaną figurą“. Poddawała się decyzjom Parlamentu nawet, gdy były one w sprzeczności z jej osobistemi sympatjami. Chociaż wychowana w ideach whigów, rozstała się z nimi, gdy naród przyjął politykę torysów, a w ostatnim znowu okresie swych rządów, chociaż była przeciwną emancypacyjno - reformatorskiej linii wytyczonej Gladstone'a, nie protestowała przeciwko niej, patrząc, jak je popularna podmywała fala.

Stała ponad partjami, jako bezstronny rozjemca. Naród wznosił ku niej oczy z ufnością, wiedząc, że nad jego dobrem czuwać nie przestaje. Znajdując się w ciągłej styczności z ministrami i wybitnymi osobistościami, śledziła królowa krok w krok bieg spraw publicznych, wypowiadała swe zdanie na radach jasno i walczyła za nie energicznie. Nabyła z latami takiego doświadczenia i posiadała sąd tak zdrowy, że ministrowie, jakeśmy się to z własnych ich zeznań dowiedzieli, w każdym kłopotliwym położeniu, przed powzięciem decyzji, do niej udawali się po radę.

Jeżeli żadna nominacja na wyższe posady, bądź w kościele, armii, marynarce, administracyi, bądź w dyplomacyi, nie była czynioną bez jej sankcyi, to była oprócz tego inna sfera, gdzie jej działalność była wierzchołkową i rozstrzygającą. Mam na myśli stosunki międzynarodowe Wielkiej Brytanii. Osobiste związki z panującymi domami, bliskie węzły pokrewieństwa z najcelniejszymi monarchami, pozwalały jej znać z pierwszej ręki istniejący stan rzeczy, zapatrywania i dążenia dworów i kół rządowych, a wśród krzyżujących się prądów i współzawodniczących interesów przygotowywać najpożądane dla swego państwa rezultaty. Prywatna a szeroka jej korespondencya torowała drogę jej ministrom, usuwała pierwsiastkowe trudności. Historia ostatniego półwieku nie zapomni tej roli czynnej, jaką odegrała, popierając zawsze i wszędzie sprawę pokoju, sprzeciwiając się, o ile to było tylko w jej mocy, barbarzyńskiemu przelewowi krwi, i poczyta jej to za zaszczyt i za zasługę. Zdania będą bardziej podzielone co do wpływu, jakim popierała rozwój potęgi Niemiec. Do nich lgnęło serce królowej Wiktoryi i ze względu na

jej osobiste pochodzenie, i ze względu na męża, którego ideom służyła wiernie, i ze względu na małżeństwa swych córek. Jeżeli Anglia zamykała się w lodowatej neutralności, gdy Niemcy zmiażdżyły Danię, wyparły Austryę z jej tradycyjnego stanowiska, albo gdy narreszcie pokonały Francję, to nikt nie wątpi, że stało się to gwoli życzeniom i przy żywym udziale Królowej. Nie chodzi tu o rozsądzenie kwestyi, czy taki kierunek polityczny był, albo nie był słuszny, ale po prostu o udowodnienie, jak szeroką była sfera działania, jej przysługująca. Tylko nieświadomi upośledzać ją mogą. Dzieje wszechświata wciągną ją do obrachunku.

---

Gdy monarcha, jak to stało się z królową Wiktoryą, zasiada na tronie przez długie lata, i gdy prowadzi naród na coraz wyższe szczeble rozwojowe, to jest rzeczą naturalną, że głos publiczny przypisuje powodzenie panowania osobistym zasługom panującego, i że postać jego olbrzymieje. Jeżeli i jej pochlebców nie brakło, to nigdy wszelako — a trzeba to położyć na karb trzeźwości narodowego umysłu — nie przypisywano jej wyjątkowego, orlego geniuszu. Charakterystycznym jej znamieniem było właśnie to, że nie miała w sobie nic wyjątkowego, nadzwyczajnego, że każda jednostka społeczna uciuwała pomiędzy nią a sobą wspólność i jednolitość natury i duchowego nastroju. Nawiażywało to odrazu zobopólny węzeł i pozwalało poza majestatem korony spostrzegać postać kobiety. Jako kobieta, zjednała sobie naród, przez blask tych cnót, które składają się na idealny wizerunek niewieści. Niepokalana jej czystość, jako dziewicy i żony, bezgraniczne przywiązanie do męża i pogrobowa mu wierność, miłość macierzyńska i poświęcenie rodzinne, łagodność, delikatność, czulość, miłosierdzie, serdeczne współczucie dla każdego bólu i cierpienia: otoczem podbiła sobie i przykuła do siebie wszystkie warstwy narodu. Były one dumne, że Królowa uosobia w sobie te cnoty, które w ich oczach posiadały najwyższą moralną wartość, i schylały się czoła pokornie przed nią, czoła nawet najdumniejsze. W lojaliźmie dla monarchini był czynnik synowskiego przywiązania, dziecięcej czci dla matki.

A przywiązanie to i szacunek gruntowały się na głębokiem przeświadczeniu, że Królowa nie oddziela swych interesów od interesów

narodu, i że zawsze i wszędzie spełnia swój obowiązek. To szerokie pojęcie swych obowiązków prywatnych i publicznych nie tylko okoliło jej czoło aureolą moralnej wielkości, ale podziało, jako zbawienny przykład, na naród. Prąd ożywczy, co wiał z wyżyn tronu, znalazł oddźwięk w masach społecznych. Owa głęboka demoralizacja, w jakiej tarzał się świat angielski w pierwszej ćwierci ostatniego stulecia, powoli oczyszczała się, a uciemnienie słabych i bezbronnych, wyzyskiwanie egoistyczne klas ubogich, sromotny materyalizm, rozluźnienie węzłów rodzinnych, bezprawia, pijaństwo i t. d., ustępowały coraz bardziej miejsca dodatnim pierwiastkom nie tylko może pod wpływem prawodawczym, ile pod naciskiem wzbudzonej moralności publicznej. Duch humanitarny, który w niezliczonych różnorodnych formach objawia się w społeczności angielskiej, zyskał na potęgę przez podniecie, otrzymywaną z góry. Cały szereg państwowych reform, co zamienił za jej rządów oligarchiczno-kastową Anglię w demokratyczną; przekształcenia ekonomiczne, które wprowadziły dobrobyt pod strzechy, co o nim wyobrażenia nie miały; rozwijające się instytucje filantropijne; zapoczątkowane szkolnictwo elementarne; powszechna emancypacja klas i zawodów, — jednym słowem: szybkie wznoszenie się narodu na wyższe cywilizacyjne stopnie miało zawsze w królowej Wiktorji orędowniczkę i gorliwego sprzymierzeńca. Jeżeli olbrzymi rozwój i rozrost potęgi brytańskiego Imperyum nie może być osobiście jej przypisanym, to sprawiedliwość nakazuje stwierdzić, że Królowa przez sposób, w jaki wywiązywała się ze swych obowiązków monarchycznych, i przez urok swej moralnej osobistości, przyłożyła się wielce do powodzeń, jakie zaregistrowały dzieje.

---

A naród zdawał sobie sprawę i z jej zasług, jako Monarchini, i z tytułów, jakie sobie zdobyła do jego uznania. Nie szczędzono też Królowej nigdy oznak wdzięczności. Gdy uderzały w nią ciosy rodzinne, cała społeczność okazywała jej serdeczne współczucie i płakała jej łzami. Dumną też była Anglia ze stanowiska, jakie lata, doświadczenie i blask cnót wyrobiły jej w gronie potentatów wszechświata. Oto jubileusze 50-cio i 60-letniego jej panowania pochwycone były skwapliwie przez jej narody do złożenia Królowej hołdu czci i przywiązania. Świetność tych obchodów, bezprzykładna sama w so-



bie, mniej zdumiewała, niż leżąca na ich dnie miłość powszechna, co szła ku niej niepowstrzymana. W naiwnem przywiązaniu zdawało się masie, że nie będzie nigdy końca panowaniu i życiu Wiktoryi. Ponieważ naród czuł swą energiczną żywotność, zatem nie przewidywał kresu dni swojej królowej.

W istocie w osłupienie wprowadziła też niespodziana wiadomość o chorobie, której groza ukazała się odrazu w całej swej doniosłości. Teraz dopiero pojęto, że wątły organizm 80-letniej staruszki musiał się zgiać pod naciskiem ciosów, co w nią ugodziły, a ze zdwojoną siłą w ostatnich latach. Śmierć porywała jej dzieci i wnuków i zagrażała innym, które właśnie w skutek wiszącego nad ich głową niebezpieczeństwa, zdawały się bliżej stać jej macierzyńskiego serca. Przerzedzały się także rzędy rówieśników, oddanych i zaufanych przyjaciół; wzmagало się tłoczące poczucie osamotnienia wśród nowych pokoleń.

Ale jakkolwiek dotkliwie były osobiste straty, jakie poniosła Królowa, można bez wahania powiedzieć, że nie one, ale sprawy publiczne śmierć jej przyspieszyły. Wojna w południowej Afryce przedstawioną jej była, jako podrzędny drobiazg, jako konieczność, z którą od czasu do czasu mierzyć się musi wszechświatowe Imperyum. Pomimo głębokiego wstrętu do przelewu krwi i do gwałtów, od wojny nieoddzielnych, dać jej musiała swą sankcyę. Od chwili, jak się roztaczać zaczęły epizody ponure tej walki, myśl Królowej oderwać się od nich nie mogła, i odczuwała każdą porażkę, każdą klęskę, nietylko jako Królowa, ale i jako matka. Głębokim musiał być jej ból i niezasłużonem upokorzenie, gdy widziała, że cały świat cywilizowany rzucił anatemy na przedsięwzięcie Anglików i oskarżył ich o zamach zbrodniczy na najświętsze prawa swobodnych narodów. Gdy się nie-szczęśliwa wojna przeciągała z miesięcy na miesiące i drugi rok rozpoczęła, gdy każdy z codziennych buletynów obwieszczał śmierć tego, lub owego z jej wiernych oficerów, żalobą i rozpaczą napełniając tyle spokojnych siedzib i kół rodzinnych, oczy sędziwej Królowej ronić łez nie przestawały, serce nie przestawało drżeć z bólu. Nie do zniesienia być musiała myśl, że owe 63-letnie rządy, ubłogosławione pokojem, promieniejące rozkwitem cywilizacyi, gruntujące przewagę brytańskiego Imperium, mieć mają, jako epilog, zmroczenie się słońca w ohydnej krwistej kałuży, wśród przekleństw współczesnego a surowego wyroku jutrzejszego świata.

Podtrzymywany duchową siłą organizm fizyczny rozprzegął się szybko, i po trzydniowej chorobie, w d. 22 stycznia r. b. w willi Osborne, na wyspie Wight, otoczona gronem dzieci i wnuków nieodstępujących jej łoża, zgasła królowa Wiktorya. Gdy dzwon żałobny św. Pawła ogłosił jej zgon narodowi, co całą swoją duszę zjednoczył

się był u progów, poza którymi dogorywała jego macierz królewska — do głębokiej boleści i rozrzewnienia łączyło się przeświadczenie, że to nie tylko śmierć jednostki i śmierć monarchini, ale także i kres całej wielkiej historycznej epoki, noc czarna, nie pozwalająca przewidzieć fizyognomii dnia jutrzejszego.

---

Obchód pogrzebu Królowej i intronizacja nowego monarchy nacechowane były należną uroczystością i pompą. Wielkie Imperium zegnało ostatnim wspaniałym holdem prochy swej władczyni i żadna jego forma nie wydawała się zadawalającą i na wysokości chwili dziejowej. Ażeby powstrzymać najrozmaitsze, w nadmiarze boleści publicznej płodzone projekta, najlepszym środkiem było zamknięcie się w tradycjach panującego domu. Biorąc marynarkę i armię jako przedstawicielki władzy zwierzchniczej państwowej, postanowiono nadać uroczystościom pogrzebowym charakter przeważnie wojskowy.

Ujawnił się on jednak dopiero przy opuszczeniu wyspy Wight. Dopóki spoczywały śmiertelne szczątki w Osborne, należały wyłącznie do rodziny pogrążonej w szczerą i głęboką boleść. Gdy trumna królowej szła ku wybrzeżu, postępowali za nią synowie i córki, wnukowie i wnuczki, domownicy, słudzy, fermerzy, wieśniacy, ci wszyscy, co rok po roku stykali się z nią w jej prywatnym charakterze pani i gospodyni. Ta rodzinna prostota i to sielskie otoczenie dodawały jeszcze wewnętrznej głębokości poważnej scenie.

Rzadką pięknocią nacechowane było sprowadzenie zwłok królewskich z zieleniejącej wyspy na ląd stały angielski. Chciały losy, aby ta potężna mórza władczyni mogła otrzymać hold od swej marynarki, tego właśnie ciała, na którym państwowa wielkość Wielkiej Brytanii się opiera. Ci, którzy pamiętają rewiew morską, która odbyła się w Spithead podczas jubileuszu 1897 r., mieli tym razem sposobność ujrzeć wznowienie tego niezapomnianego widowiska. Olbrzymie pancerniki i krzyżowce, z należącymi do nich torpedowcami, utworzyły szpaler w poprzek sinych wód Solentu, i przez ten szpaler posuwał się zwolna mikroskopijny yacht „Alberta“, który niósł, pod purpurowym namiotem na swym pokładzie, panią tej floty. Gdy się zbliżała do każdego z tych posepnych olbrzymów „Alberta“, witaly

ją żałobne flagi i ponuro odzywały się armaty, zagłuszając huk morskich bałwanów. A za „Albertą“ sunęły yachty z orszakiem pogrzebowym i królewskimi gośćmi. „Hohenzollern“ cesarza Wilhelma wydatnie między niemi zajmował miejsce. Zachodzące słońce krwistą luną oblało port wojenny Portsmouthu, zarzucała tam kotwicę „Alberta“, a kiedy ją noc głęboka obwinęła w swe kiry, ostatnią straż okolo trumny trzymali majtkowie.

W pierwotnym programie pogrzebowym pochód przez Londyn miał być sprowadzony do najszczuplejszych granic, lecz tak ogólne protestacje mieszkańców stolicy przyjęły tę decyzję, że, pomimo wycieńczenia rodziny królewskiej, zgodziła się ona na uczynienie im ustępstwa i orszak pogrzebowy przeszedł cały przez środek miasta, z dworca Wiktoryi, gdzie się sformował, — na dworzec Paddingtonu, wiodący do Windsoru. Przeszło 30,000 żołnierzy stanęło po obu stronach ulic, których gmachy i domy zawieszono fioletowymi osłonami; okna, balkony, chodniki i zbudowane umyślnie trybuny, napełniły się były nieprzejrzany, bez wyjątku w żałobę odzianym, tłumem. Pogodny, jasny ranek letowy, obnażone drzewa parków, stanowiły tło ponure dla tego pochodu, który przez dwie godziny ciągnął przez miasto przy głuchych dźwiękach dzwonów kościelnych i stłumionych marszach żałobnych orkiestr wojskowych. Tłum, co od długich godzin zbił się w zwarty mur poza żołnierzami i policją, nie stracił ani na moment przykładowej powagi i porządku. Wśród uroczystej ciszy słychać było łkania kobiet, gdy na wozie armatnim, ciągniętym przez owych osiem bulanych koni, które zwykle były wozic królową przy ceremonialnych procesjach, ukazała się trumna. Za nią jechał, poprzedzony przez króla, w towarzystwie ks. Connaught, brata, i cesarza Wilhelma, siostrzeńca, konny orszak kilkudziesięciu królów, książąt i specjalnych delegatów. Cała monarchiczna Europa przyszła oddać hold ostatni tej monarchini, co więcej niż ktokolwiek inny przyłożyła się do utwierdzenia tronów. Wspaniałość tego orszaku w błyszczących mundurach, obwieszonych gwiazdami i wstęgami, tak samo, jak dworskie karoce galowe, w których zakwefione siedziały królowe i księżniczki, mogły-by były pozwolić zapomnieć o smutnym celu zebrania, gdyby nastrój tego miliona publiczności, nastrój poważny i uroczysty, pozwolił był to uczynić. Jeżeli dawały się, z powodu tego pogrzebu, słyszeć później zarzuty, że w kraju, co nie rości pretensyi do militarnej hegemonii, ale który przez rozwój cywilnych instytucyi wzbil się na wyżyny cywilizacyjne, one właśnie, te organa narodowej wielkości, nie były należycie reprezentowane, to błażość tej skargi udowodnioną została przez masę narodu, która od dygnitarzy państwowych i świata parlamentarnego, aż do biedaków

z domów przytułku, pośpieszyła, w swym indywidualnym i obywatelskim charakterze, wziąć udział w pogrzebie i obecność swoją zamaniifestowała.

Ostatni epizod ceremonii odbył się w Windsorze. W kaplicy zamkowej św. Jerzego, wobec urzędowych reprezentantów całego brytańskiego Imperyum i orszaku dworskiego, odprawiono żałobne nabożeństwo z całą pompą, na jaką rytuał anglikański pozwala. A w dniu następnym, jedynie w gronie naściślej rodzinnem, śmiertelne szczątki Krolowej odprowadzone zostały przez park windsorski, przy bolesnych dźwiękach marsza żałobnego Chopina, do mauzoleum we Frogmore, gdzie obok swego małżonka miejsce ostatniego spoczynku oddawna przygotowała była dla siebie. Gdy się zamknęły wrzeciędzie mauzoleum, wśród wzgórzy kwiatnych wieńców, co się naokół niego nagromadziły, społeczność angielska uczyła się dopiero w prawie zwrócić oko ku przeszłości i zapytać, jakie będzie jej jutro.

---

Kiedy po długim i pełnem chwały panowaniu przekazuje monarcha tron swemu następcy, położenie obu stron, narodu i nowego króla, nie jest łatwem. Naród, co był przywykł za poprzednich rządów nie tylko do normalnego obrotu maszyny państwowej, ale nawet do jej usterek i ułomności, na których czas położył swoją poważną patynę, spogląda na nowy tryb rzeczy z pewnym niepokojem, i instynktownie obawia się zmian, które nastąpić mogą, które nastąpić muszą. Nowy monarcha, ze swej strony, uszanować zmuszony przekazaną sobie tradycyę, zdaje sobie sprawę, że wszelki pośpiech reformatorski nie jest właściwy. Należy mu się przedewszystkiem rozejrzeć w organizmie publicznym, z którym nie znajdował się dotychczas w bezpośredniej styczności, i czuje, że na każdym kroku czynione będą porównania pomiędzy dniem wczorajszym a dzisiejszym z rezultatem możliwie nieprzychylnym. W najlepszym nawet razie dwa niewiadome czynniki do akcji publicznej wstępują, i świat okolicy patrzy na nią czujnie, badawczo.

W obecnym razie niema mowy o młodym królu, ale o nowym, gdyż Edward VII wstępuje na tron w 60 roku życia, będąc nie tylko ojcem, ale i dziadkiem. Dojrzał jako następcą tronu i nieledwie się zestarzał; przesąd ludowy utrzymywał, że nigdy panować nie będzie,

i że po królowej Wiktoryi wstąpi na tron jej wnuk, książę Yorku. Na szczęście fakt zadał kłam przepowiedniom i można tuszyć, że nowy następcą tronu będzie miał czas przygotować się należycie do czekającego go brzemienia korony.

Długi ten nowicyat król Edward VII przebył pracowicie i mierznie. Otrzymał pod kierownictwem wyjątkowo światłego ojca wszechstronne wykształcenie, uzdalniające go do przyszłego zawodu. Nieszczęście niechęć chciało, że stracił tego ojca właśnie w epoce życia, gdy rada doświadczonego doradcy najbardziej była-by mu potrzebna, i że burzom młodości stawiać musiał czoło samodzielnie. Księżę Walii miał temperament gorący, imaginację żywą, rzucił się z zapałem do pracy, zarówno jak w wir zabaw, był łatwy w obejściu, sympatyczny, towarzyski, bez najmniejszej przymieszki sztywnej wyniosłości. Nawet, gdyby nie był dziedzicem wielkiego tronu, lgnąć-by mogły doń serca. Nie dziw więc, że do wyborowego grona, co go w młodych latach otaczało, przyplątały się i o-oby, które nie powinny były znaleźć tam miejsca. Niema obecnie powodu odgrzebywać przebrzmiałych zajęć i awantur. A bywa to uieraz prawdziwem nieszczęściem dla ludzi, stojących na wyżynie społecznej, że pozbyć się nie mogą legendy, co się ich czepia, jak szata Dejaniry.

Wystarczy jednak przypomnieć, jakie jaskrawe a naturalne przeciwieństwo stanowiła królowa ze swoim synem, aby zrozumieć konieczność następstw, co się stąd wysnuły. Wiktorya była to kobieta czysta i przykładna, namiętnie przywiązana niegdyś do męża, i jakby osłupiała pod ciosem niespodziewanego wdowieństwa, czcząc pamięć nieboszczyka z ascetyczną surowością. Zasklepiiona w rozpamiętywaniu słodczy domowego ogniska, pojąć nie mogła wybryków młodości, z których najlżejsze nawet olbrzymiały w jej pojęciu. Nastąpiła pomiędzy królową a księciem Walii długoletnia rozterka, zakończona jednak szczęśliwie podczas jego śmiertelnej choroby w 1871 roku. Ale królowa, która miała głęboko wpojone w siebie przekonanie o prawach i obowiązkach monarszego majestatu, uznała konieczność zachowania dla siebie samej całego zakresu władzy i zdawało się jej nie tylko niebezpieczeństwem dla narodu, ale ubliżeniem dla swej własnej godności, powierzyć domniemanemu następcy choćby najmniejszą część swych prerogatyw. Nawet, gdy wiek podeszły gwałił ją ku ziemi, nie powstała w jej głowie choćby przelotnie myśl abdykacyi, a w epoce swego 50-letniego jubileuszu w uroczystej odezwie zapewniła naród, że się z nim rozstanie dopiero w chwili zgonu.

I stało się, że od dojścia do pełnoletności, aż do śmierci królowej, książę Walii trzymany był zdala od wszelkiego udziału w sprawach publicznych. Ta neutralna i wyczekująca postawa miała przynajmniej tę dobrą stronę, że trzymała go na uboczu od zaciętych walk politycznych, a posuwał on swą dyskrecyę tak daleko, że nikt nie ma prawa utrzymywać obecnie po jakiej stronie, zachowawczej czy postępowej, są jego sympatyje. Owa rola drugorzędna i ów rygor, w którym był trzymany nawet i wtedy, gdy oddawna przebrzmiały burze młodości, gdy szron pobielił jego włosy, wyrobiły w nim siłę charakteru i zaprawiły go do twardych zapasów.

Ale jeżeli książę Walii był przez cały ciąg panowania królowej Wiktoryi skrupulatnie trzymany zdala od rządu, to nie trzeba wnosić, ażeby skazany został na bezczynność. Przeciwnie. Monarchini złożyła na jego barki wszystkie obowiązki reprezentacyjne i wszystkie ceremonie, na których spełnienie nie pozwalały jej samej plec i wiek podeszły. Przez jakich lat czterdzieści był, jak mówiono słusznie, mistrzem ceremonii Wielkiej Brytanii. Spełniał wszystkie funkcje publiczne, czysto formalne, w których głowie państwa udział brać przystało. Nie było otwarcia wystawy, spuszczenia okrętu na morze, inauguracji kolei żelaznych, kanałów, mostów; nie było poświęcenia publicznych gmachów, muzeum, szkół, koszar, etc., na których-by on nie przydywał i głosu nie zabierał. Z jednych kresów Wielkiej Brytanii udawał się na drugie, a ilość mil przebytych w objazdach i nocy w wagonach mogła by pozyskać mu łatwo pierwszeństwo przed niejednym słynnym podróżnikiem.

Podziwiano nieraz pogodę czoła, z jaką następca tronu spełniał te, bądź co bądź, podrzędne obowiązki, które mimo herbowego godła: „Ich diene“, musiały się mu przykrzyć. Ale była w nich jednocześnie kompensata. Przebiegając bez przerwy kraj od końca do końca, książę Walii znajdował doskonałą i jedyną w swoim rodzaju sposobność zbadania instytucji krajowych, przyjrzenia się zblizka ich funkcjonowaniu. Nie teoretycznie tylko, ale empirycznie zna on administracyjną machinę, jej sprężyny i kółka. Zna nie tylko instytucje, ale i ludzi. Ktokolwiek i w jakiejkolwiek sferze działalności publicznej i wytwórczości ekonomicznej, artystycznej, umysłowej zajął wydatne miejsce, znalazł się w osobistym zetknięciu z następcą tronu. Niema wątpliwości, że daje to królowi łatwość orientowania się wśród zagadnień i interesów, powikłanych nieraz i sprzecznych, a owa osobista znajomość z wybitnymi ludźmi wszystkich zawodów pozwoliła mu w razie potrzeby zawezwać do rady najkompetentniejszych.

Nie należy nakoniec upuścić z uwagi, że książę Walii, nie krępując się zwyczajami przemagającymi w innych panujących rodzinach, wciągał w krąg swych praktycznych studyów nie tylko armię lądową i morską, ale wszystkie objawy życia społecznego. Potrzeby wszystkich warstw, a zwłaszcza ubogich, zarobkujących, zyskały w nim oddawna czujnego i gorliwego orędownika. Filantropijny nastwór jego, wolny od skłonności do utopii i mrzonek, imał się najbardziej naglących przedsięwzięć. Choroba jest klęską, co zapędza ubogich w nędzę: pierwsze usiłowania ks. Walii miały też jako cel fundowanie i urzymywanie szpitalów na całej przestrzeni kraju. Jego ciągała niestrudzona piecza nad nimi, przypomnienie narodowi przy każdej sposobności obowiązków względem upośledzonych materyalnie warstw towarzyskich, oddały nieocenione usługi publiczności; a zrozumie się istotną doniosłość tego zadania, gdy się przypomni, iż zakres dobroczynności nie leży w Wielkiej Brytanii w atrybucyach władz państwowych, ale istnieje jedynie dzięki incyatywie samego społeczeństwa.

Taka sama troska następcy tronu ujawniła się w innem potężnem zagadnieniu społecznem, tyczącem się mieszkań dla proletaryatu. Anglia, kraj największych bogactw, jest jednocześnie krajem najstraszniejszej nędzy. Pierwszym warunkiem podniesienia poziomu fizycznego i moralnego masy jest dostarczenie jej zdrowego mieszkania, wyrwanie jej z tych potwornych czeluści, w których istota ludzka marnieje. Zadanie jest olbrzymie, wymagające kapitałów niezmiernych i ma do zwalczenia interesu materyalne klas uprzywilejowanych oraz ustawy prawne. Czynność reformatorska musi tu być z natury rzeczy powolna i stopniowa. Książę Walii działał i osobistym przykładem, i radą, i zachętą. Nie tylko, że w ziemskich swych posiadłościach i w miejskich burzył domy, będące zakałą cywilizowanego organizmu, a na ich miejsce wznosił wzorowe; ale jako prezes komitetów i towarzystw budowlanych, jako protektor tych magnatów, co utworzyli hojne fundacye użyteczności publicznej, był kierownikiem, był duszą zdrowego i praktycznego ruchu filantropijnego.

Pomimo tych obowiązków różnorodnych i niezliczonych zajęć ceremonialnych, publicznych i dobroczynnych, pomimo prezydowania w różnych komitetach i towarzystwach, — co nie było bynajmniej czezą formalnością, ale wymagało ciągłego dozoru i kontroli, — trzeba mu było znaleźć czas i energię do innego rodzaju działalności. Przy całkowitem i głębokiem odosobnieniu, w jakim pogrążyła się królowa, przypadło mu w udziale utrzymywać związki rodzinne z monarszemi dworami i stosunki towarzyskie z arystokracją krajową, naturalnymi satellitami królewskiego domu. Można tedy było

widzieć księcia Walii raz po raz we wszystkich europejskich stolicach, jako zastępcę swej matki przy rodzinnych obrzędach. Zacieśniał w ten sposób rodzinne węzły, zbliżał się do postronnego świata i przygotowywał sobie z góry to wyniosłe stanowisko, jakie należy się monarsze państwu, w którym nigdy nie zachodzi słońce.

Stosunki towarzyskie ks. Walii z wyższymi warstwami społeczeństwa, z arystokacją rodu i fortuny, wymagały wyjątkowego taktu. Arystokracja ta jest dumną i, pomimo lojalizmu względem korony, nie korzy się przed nią. Czujesz się na własnym narodowym gruncie, gdzie wielowiekowe tradycje utwierdziły jej przywileje, podczas kiedy dynastia zbyt niedawno zawitała tam z Niemiec, aby można było o jej cudzoziemskim pochodzeniu zapomnieć. Potężne majątki, na których się ta arystokracja opiera, życie wyrafinowanego zbytku, jakie prowadzi w swych zamkach i pałacach, otacza ją blaskiem, z którym skromna fortuna rodziny królewskiej walczyć o lepsze nie mogła.

Gościć u tych magnatów i przyjmować ich z kolei u siebie, znajdować się z nimi na poufalej i przyjacielskiej stopie, nie zapominając ani na chwilę, ani nie pozwalając nikomu zapomnieć o swem królewskim dostojeniu, nie było rzeczą łatwą. Ogólnem zdaniem ks. Walii nader szczęśliwie z zadania tego się wywiązywał. W zamkach i klubach był on zawsze arbiter elegantiarum i przez nieposzlakowane zachowanie się zdobył sobie ową, podług jego własnych słów, najbardziej pożądaną nazwę — pierwszego gentelmana angielskiego.

A zanim dopełnimy charakterystycznych rysów, składających się na moralną fizyognomię następcy tronu, należy jeszcze wymienić jeden i bynajmniej nie najpośledniejszy w oczach jego narodu. Jest sportsmanem. Od młodu do ćwiczeń fizycznych zaprawiony, biorący udział w grach i igrzyskach jeszcze za lat uniwersyteckich, zwrócił się następnie z gorącym zamiłowaniem przeważnie do sportu wodnego i końskiego. Jest dobrym żeglarzem i, jako kapitan swych jachtów, zdobył sobie na regatach ogólny poklask specjalistów. Agromom z zamiłowania, rolnik postępowy, prowadzi w swych dobrach Saurd.ingham hodowlę wzorową trzody, owiec i bydła. Stadnina jego należy do najstaranniej pielęgnowanych, a stajnie, w których trenowane były jego wyścigowe konie w Newmarket, były dozorowane przezeń osobiście. Gdy jego konie po kilkakroć wygrały najwyższe nagrody, zawsze cały naród, bez wyjątku, przyklaskiwał z zapalem jego tryumfom. Laury, zebrane w Epsom i Ascott, owe błękitne wstęgi sportmenów, — to najprostszy sposób zaskarżenia sobie popularności u brytańskiego świata. I nabrał też on świat brytański



przeświadczenia, że ów następca tronu, chociaż nie miał w sobie kropli krwi angielskiej, jest nawskroś Anglikiem, i że gdy wybije dlań godzina objęcia zwierzchniczej władzy, znajdzie go na wysokości swego zadania.

---

Wyjątkowo długie panowanie królowej Wiktorji zatarło u współczesnego pokolenia pamięć ceremonii, towarzyszących zmianie tronu. Bez żadnej podstawy przypuszczano potrzebę rozwiązania Parlamentu i usunięcia się ministeryum, podczas gdy jedyną obowiązującą konstytucyjną formalnością było zwołanie Rady Stanu, *P r i v y C o u n c i l*, odbierającej od nowego Króla przysięgę, po której następuje niezwłocznie ogłoszenie go, jako monarchy. Zostawiając zwłoki matki pod opieką członków rodziny, książę Walii pośpieszył do Londynu dla objęcia władzy. W tronowej sali starego, omszałego pałacu ś-go Jakóba, członkowie Rady Stanu i dygnitarze najwyżsi państwowi oczekiwali jego przybycia. Ujrzeli nieznanego sobie człowieka! Nie był to już ów wesoły, popularny, uprzejmy książę, ale świadomy swej zwierzchniczej godności monarcha: najdawniejsi jego przyjaciele spostrzegli, że spełniła się zmiana, która uwarunkuje przyszłe stosunki Króla i jego otoczenia. Gdy głosem, od wewnętrznego wzruszenia drżącym, oznajmił, że przewodnią myślą jego rządów będzie iść w ślady matki, zrozumiano natychmiast, że nie jest to czcza fotmułka, ale wyraz silnego postanowienia. Zapewnienie, że będzie się trzymał Konstytucji i uszanuje swobody narodu, dźwięczało w jego ustach nieledwie jak anachronizm. Naród zatracił już wspomnienie owej dalekiej epoki, w której Korona targwała się na jego prawa, na jego swobody, a nikt mniej, jak ten światły, dobro powszechne mający na oku, monarcha, nie mógł być podejrzewany o skłonność do tego rodzaju zamachów. Oznajmił dalej w swem orędziu, że, zostawiając imię Alberta, jako wyłączność ojca, będzie nosił na tronie miano Edwarda VII-go. To imię czysto angielskie, świetnymi rysami zapisane uprzednio w narodowej kronice, daje dynastji Koburskiej, która w jego osobie tron Wielkiej Brytanii bierze w posiadanie, odrazu piętno swojskie. Społeczność poznała w tym jednym szczególe, że nowy monarcha pragnie swą spójnię ze szczepem anglosaksońskim postawić na pierwszym planie.

A tymczasem w średniowieczne szaty odziani heroldowie z wysokości tarasów pałacu ś-go Jakóba i na głównych placach stolicy, tak samo, jak w znaczniejszych miastach kraju, w asystency dygnitarzy koronnych, przy dźwięku trąb i bębnow, obwieszczali wstąpienie na tron króla Edwarda VII-go. Ten obrzęd, nieznanym współczesnemu pokoleniu, zaciekał publiczność. Był on, tak samo, jak będzie koronacja w roku przyszłym, symbolem monarchii z bożej łaski. Choć do tego tradycyjnego jej charakteru kraj dodał bez żadnej ukrytej myśli: „i z woli narodu“, to można było zrozumieć, zaraz w pierwszej chwili, że król Edward przywiązuje do tych symbolów i do całego ceremoniału monarszego wielkie znaczenie. Owe prerogatywy koronne, których matka jego mogła zaniedbywać właśnie dlatego, że nikt nie myślał ich jej odmawiać, uważa on za potrzebne, aby dać poznać i swojemu, i postronnemu światu, że instytucje monarchiczne w Wielkiej Brytanii są rzeczywistością, czynną, wpływową rzeczywistością, a nie czerem formami tylko. Myśl ta przewodnia uwidoczniła się już stanowczo w ciągu pierwszych kilku miesięcy nowego panowania. Przy otwarciu pierwszego Parlamentu, przy rozdawaniu medalów powracającym z afrykańskich kampanii żołnierzom, przy ceremoniach wojskowych, jedynych, w których przy ścisłej żalobie dworskiej etykieta uczestniczyć mu osobiście pozwalała, Król wymaga, aby zachowane były ściśle wszystkie przepisy i formalności regulaminu, i otacza się całą królewską wspaniałością.

Skoro tylko zakończyły się obchody pogrzebowe i rodzina królewska przybyła rezydować, nie zdala od Londynu, jak to się działo za dawniejszych rządów, ale w stolicy, nastąpiło utworzenie nowego dworu. Zmian tych oczekiwano z natężoną ciekawością. Ci, którzy przypuszczali, że Król pośpieszy oddalić tę koteryę, co nieraz dawniej zdawała się zapominać o przynależnych mu prawach, spostrzegli, że, jako monarcha, nie ma zamiaru karać za dawne urazy z czasów, gdy był następcą tronu. Wyznaczywszy emerytalne pensje zasłużonej służbie i domownikom, uprzedził dygnitarzy dworskich, że uwalnia ich wszystkich, udzielając im półroczną pensję, a że ci z nich, których usług będzie potrzebował, otrzymają nominacje osobiste. W ten sposób żadna miłość własna nie została obrażona, żaden klan arystokratyczny nie został upośledzony. Hojne upominki, rozdane jako pamiątki po zmarłej Królowej wraz z pełnymi monarszej łaskawości zapewnieniami, ukoili żale i zawody. Starzy, oddawna do czynnej działalności niezdolni dygnitarze, których królowa Wiktorya utrzymywała na swych stanowiskach z przyzwyczajenia, skostniałe w martwej etykiecie damy honorowe, żadne wpływów, zaprawne do intryg pokątnych i oddychające faworytyzmem, znikną z widowni publicz-

nej. Jaśniej i raźniej uczyni się na dworze angielskim, gdy po ukończeniu rocznej żałoby ukształtują się tam normalne stosunki. Córki zmarłej królowej Wiktorji, całe ich niemieckie otoczenie zejść stopniowo na drugi plan. Natomiast królowa Aleksandra, gorąco kochana przez naród, uosobienie nie tylko niewieściej piękności, uszanowanej przez lata, ale wszystkich cnót i przymiotów, jakich pragnąć można od kobiety zasiadającej na tronie, i jej córki, oraz synowa, następczyni tronu, będą stały na pierwszym. Z wysokiem moralnem zadwole niem widzi społeczeństwo tę harmonię, zgodę i wzajemne przywią zanie członków rodziny królewskiej. Owa czystość i godność cha rakterów, zaszczipiona przez zmarłą monarchinię, ma wszelkie warun ki istnienia i za obecnych rządów.

Pierwsze miesiące panowania poświęcił król Edward nie tylko zmianom i nowej organizacyi swego domu, zniesieniu synekur, zapro wadzeniu ładu i porządku, ale materyalnemu zagospodarowaniu się. Zamek w Windsorze, gdzie od czterdziestu lat żadnych przeistoczeń nie dokonano, oddany został w ręce całego zastępu robotników, który go uczyni mieszkalnym; usunięte zostały różne sprzęty i rzekome dzieła sztuki, nieposiadające najmniejszej artystycznej wartości. Ta ka sama restauracya gruntowna odbywa się w pałacu Buckingham skim, londyńskiej rezydencyi Króla. Po powrocie hr. Yorków z kolo nialnego objazdu, Król odda im na mieszkanie Marlborough House, gdzie przebył wszystkie swe lata, jako następca tronu. Bal moral, smutna i ponura rezydencya w Szkocyi, którą kr. Wiktorja przekładała nad wszystkie inne, i letni pałacyk Osborne, na wyspie Whigt, nie często, według wszelkiego prawdopodobieństwa, będą miejscem pobytu nowego dworu. Nawet dobra ziemskie Sandringham, gdzie królewska para spędzała od lat wielu najszczęśliwsze swe chwile, jako zbyt odległe od stolicy, zostaną przekazane obecnemu następcy tronu. Są pogłoski, że z politycznych względów nabyte zo staną przez Króla rezydencye w Irlandyi, Walii i t. d. Jako wyborny administrator swej prywatnej fortuny, którą ze wszystkich dawniej szych długów oczyścił, rozporządzając listą cywilną, nie nadzwyczajną wprawdzie, ale wystarczającą, król Edward niewątpliwie postawi swe rezydencye i cały tryb dworskiego życia na stopie okazałej.

Było-by błędem przypuszczać, że nowy monarcha jest całkiem pochłonięty materyalną, czysto domową stroną życia, i że nie dał jesz cze poznać swych zamiarów, swych pragnień pod względem politycz nym. Było elementarną koniecznością, iż zatrzymał u steru władzy ministeryum, będące uosobieniem świeżo obranego Parlamentu. Wszelki pośpiech w usunięciu go był-by błędem, którego pełen taktu monarcha nigdy nie popełni. Ale wiadomem jest, że uważa utrzymanie

dzisiejszego rządu za obowiązujące aż do zakończenia wojny w Afryce południowej. Gdy ustalony tam będzie pokój, niema wątpliwości, że Król wyrazi życzenie odwołania się do kraju i zasiągnięcia jego zdania co do kierunków wytycznych na przyszłość. Czas, który nas dzieli od tego wypadku, uważać należy za przechodni i przygotowawczy. Hasło, że Król idzie nieodstępnie po drodze, którą szła jego matka, wystarcza na dobę dzisiejszą.

Zasłona, pokrywająca istotne, osobiste dążenia króla Edwarda, nie może też pozostać szczelnie zamkniętą na długo. Są już fakta, pozwalające wyrobić sobie o nich zdanie. Najpierwszym z nich jest, że Król zażądał od swych ministrów, ażeby żadna nominacya na wyższe posady nie została uczyniona bez jego wiadomości i sankcyi, i ażeby dokładny, szczegółowy i codzienny raport składany mu był o decyzjach, i co więcej, o planach i zamiarach rządu. Wnosić stąd wolno, i tak też, ku istotnemu swemu zdziwieniu ocenili żądanie Króla ministrowie, że nie myśli on bynajmniej być figurą bezczynną i dekoracyjną, lecz że pragnie korzystać w całym rozmiarze ze swych konstytucyjnych prerogatyw.

Drugim doniosłego znaczenia faktem było wysłanie następcy tronu, ks. Yorku, wraz z małżonką, na otwarcie pierwszego Parlamentu świeżo skonfederowanej Australii, a następnie na objazd innych krajów koronnych i kolonii. Podróż ta była wprawdzie postanowiona już w zasadzie w ostatnich miesiącach poprzednich rządów, podczas gdy księżę Yorku był tylko jeszcze domniemanym następcą tronu. Zgoda ze strony Króla na tę podróż jedyne go swego syna jest wskazówką, że rozumie całą doniosłość zadania kolonialnego, i że żadnych ofiar nie poskąpi, ażeby węzły, łączące metropolię z jej zamorskimi posiadłościami zacieśnił. Utworzenie się trzech federacyjnych państw w Ameryce, Australii i Afryce pod zwierzchnictwem zjednoczonych królestw i korony angielskiej wywoła najprzód wspólne instytucye dla całej monarchii, a następnie zmiany konstytucyjne, nieodzowne w samej metropolii. Nie jest to dzieło natychmiastowe, ale ewolucya, która prawdopodobnie przetrwa kilka pokoleń. Jest rzeczą niezaprzeczenie ważną, że osoba, zajmująca najwyższe stanowisko w kraju, pojmuje doniosłość tego ruchu, i zamierza iść w harmonii z tym ruchem, zgodnie z interesami i dążnościami społeczności.

Inna jest jeszcze sprawa, która, od chwili wstąpienia na tron króla Edwarda, żywo zajmuje opinię nie tylko angielską, ale i polską. Stawiane jest pytanie z wielu stron, czego po nowym Królu spodziewać się można, i jakie ulepszenia, jakie wielkie reformy, jakie przewroty panowanie jego zaznaczają. Nikt z góry na to odpowiedzieć nie może, chociaż nie brak pewnych punktów orientacyjnych. Wiemy

najprzód, że król Edward wstąpił na tron w sześćdziesiątym roku życia, i że sam naturalny porządek rzeczy określił jego rządowi właściwe granice. Nie przedsięwzięje się żadnych olbrzymich zagadnień i przewrotów, gdy do ich przeprowadzenia widocznie nie stanie czasu. Wiemy dalej, że jeżeli entuzjazm młodzieńczy czuje pochop do ukształtowania świata okolnego podług wymarzonej, idealnej modły, lekceważąc przeszkody, co by go zatrzymać i nawet strzaskać mogły, to człowiek dojrzały, starzejący się, zżył się do tego stopnia ze swoim środowiskiem, iż nie widzi gwałtownej potrzeby burzenia go i prowadzenia na nowe tory. Król Edward VII, który twórczym geniuszem nie jest, ale który posiada wiele doświadczenia i taktu, który jest światłym umysłem, o umiarkowaniu i rozwadze duchowej, nie rzuci się do radykalnych reform politycznych i społecznych. Ulepszać, stopniowo i powolnie, znosić różne podrzędne usterki i wykroczenia, oto co będzie odpowiadało jego sympatyom, jego tradycyi i jego przekonaniom, daleko lepiej, aniżeli wywieszać nowe sztandary i dawać hasła gruntownych przewrotów. Troskliwość w zakresie filantropii, a dalej poczucie swych obowiązków nie względem jednej tylko klasy albo jednego stronnictwa, ale względem całej społeczności, żywy interes dla nauk i sztuk, tak całkowicie pominięty za ostatniego panowania, stanowiąc będą główne cechy przyszłej działalności nowego króla W. Brytanii.

Na białej karcie historyi najbliższych lat nikt w Anglii nie spostrzega dzisiaj jakiegokolwiek zapowiedzi klęsk i katastrof. Społeczność brytyjska z pogodnym czołem gromadzi się około swego obecnego monarchy.

DR M. E. NEKANDA-TREPKA.

---

# PISMIENNICTWO.

„Mémoires du général baron de Dedem de Gelder. 1774—1825“.

Autor powyższych pamiętników dopiero w roku 1810 wstąpił do wojsk Napoleona I; przedtem zaś był ministrem plenipotentem przy królu Hieronimie w Westfalii i królu Joachimie w Neapolu. W wojsku pierwszego Cesarstwa dosłużył się Dedem stopnia generała dywizyi, i pod dowództwem Ney'a odbywał zaszczytnie kampanię w 1813 roku. We wspomnieniach swoich zamieścił Dedem sporo interesujących szczegółów, odnoszących się do samego Napoleona, do Hieronima i Murata, oraz charakteryzujących trafnie wybitniejsze osobistości zarówno wojskowe, jak i cywilne napoleońskiego świata. Pozwolę sobie zwrócić uwagę na te miejsca pamiętników Dedema, w których zajmuje się sprawami, lub osobistościami polskimi. Są one nieliczne, ale zawsze nie bez wartości dla badaczy owej epoki.

Podczas pobytu Dedema w Konstantynopolu przybył do Porty ambasador nadzwyczajny Rze czypospolitej polskiej, Potocki, i zwrócił na siebie jego uwagę. Oto co z powodu tego zdarzenia pisze Dedem

w swoich pamiętnikach: zwykle polskie sprawy załatwiał w Konstantynopolu zwyczajny *chargé d'affaires* i przed przybyciem Potockiego na powyższym stanowisku znajdował się Schranowski, który wybornie wypełniał funkcję, przywiązane do swego urzędu. W roku 1790 przybył do Konstantynopola Stanisław hr. Potocki, jako ambasador nadzwyczajny, aby zawrzeć nowy traktat z Portą. Gabinet warszawski żywił się jeszcze illuzjami co do istotnych zamiarów swoich sąsiadów, a przedewszystkiem co do złej wiary Prus, które miały w haniebnym sposobie zdradzić Rzeczpospolitą. Turcy traktowali przychylnie nowego ambasadora i nawet zawarli z nim nowy traktat. Pragnęli i oni szczerze utrzymania się Polski niepodległej, ale jako przewidujący i dobrze poinformowani, rachowali się oględnie z okolicznościami. Potocki w Konstantynopolu otoczył się przepychem wschodnim. Sporo młodzieży szlacheckiej, jak na przykład Małachowski, Bronic, znajdowało się w jego otoczeniu, nadto świętę jego tworzyło około stu żołnierzy i dragonów. W dzień uroczystego wjazdu rozwinięto wszystko, na co się może zdobyć próżność; w istocie jednak cała owa wystawność była śpiewem labędziem Polski wobec Turcyi. Wkrótce owa ambasada znikła z powierzchni tureckiej, Potocki za wpływem Rossyi został odwołanym i rzuconym na pastwę różnym dokuczliwościom. Pozostawił on w Konstantynopolu sporo długów, które jednak później popłacił, a wogóle uczynił on wrażenie człowieka małego sprytu, ociężałego a próżnego; zresztą wydawał się być dobrym człowiekiem, towarzyskim, wesołym, ale znajdującym największej rozkoszy w spokojnem zasiadaniu na sofie z fajką w ustach.

Opisując wyprawę w 1812 roku, Dedem przypisuje Polakom prowokację wojny, albowiem zresztą obie strony, tj. Francya i Rossya, życzyły sobie szczerze pokoju. Za przybyciem do Wilna, jak autor zapewnia, Napoleon, widząc małe przygotowania Polaków, nie chciał się zadaleko posuwać z obietnicami utrzymania niepodległości ich kraju. Z otwartością i szczerością, godną uznania, Napoleon uprzedzał Polaków, że dla ich sprawy wyłącznie nie może poświęcać krwi francuskiej. Jeżeli więc cesarz Aleksander okaże się pojednawczym, mogą się ułożyć tak okoliczności, że Napoleon będzie zmuszonym opuścić sprawę Polaków, tylko więc w razie szczęśliwego i stanowczego zwycięstwa winni oni liczyć na jego poparcie. Poniatowskiego znał Dedem dość dobrze i nawet podejmowanym był przez niego po fatalnej katastrofie 1812 roku w Warszawie. Dedem przyznaje, że Polacy czynili nadzwyczajne wysiłki ofiarności obywatelskiej, aby w 1812 roku zapewnić swemu krajowi byt polityczny, i świadczy, że jedynie wojsko polskie ocaliło w 1812 roku swoją artyleryę. Wspominając bitwę lipską, Dedem wie o tem, że Poniatowski dokazywał cudów walecz-

ności, zresztą, nie znajdujemy w jego pamiętnikach żadnej ważniejszej wzmianki o Polakach.

Widzimy więc, że dla naszych dziejów pamiętniki Dedema nie będą przedstawiały wielkiej wartości. Przytem i to, co pisał o otwartości Napoleona lub o jego przemówieniach w 1812 roku, nie jest bynajmniej ścisłym, ani też pewnym. W każdym razie, w „Pamiętnikach” przedstawia się Dedem jako mąż światły i sprawiedliwy. Nie jest on ani zaślepionym chwalcą Napoleona, ani też go nie potępia zbyt surowo. Duch wyrozumiałości panuje w jego „Pamiętnikach” i holenderski wojownik pragnie usilnie być sprawiedliwym dla współczesnych, przez co zdobywa sobie uznanie i sympatyę czytelnika.

A. R.

---

Edmund Swieykowski: „Katalog malowideł, rysunków, sztychów i litografii Michała Stachowicza”.

Mam przed sobą „Katalog malowideł, rysunków, sztychów i litografii Michała Stachowicza”, wystawionych w Sukiennicach, staraniem Towarzystwa miłośników historii i zabytków Krakowa, opracowany przez Emanuela Swieykowskiego. Jest to więc tylko „Katalog”, i zdawało-by się, że miejsce o nim nie w dziale krytyczno-sprawozdawczym poważnego miesięcznika, lecz wśród wzmianek bibliograficznych. Wszakże pewne, wyróżniające katalog ten cechy, pewne—dziś jeszcze rzadko spotykane w polskiej systematyce naukowej—zalety, skłoniły mię do wyróżnienia tej właśnie pracy.

Wiadomo, że wielkim zbiorom zagranicznym, a nawet doraźnym wystawom, towarzyszą tak zwane „Katalogi rozumowane”, które, nietylko że są wyśnienitymi przewodnikami dla zwiedzających te zbiory, niedość, że w razie danym złużą za podręczniki, lecz następnie stają się częstokroć pierwszorzędnymi źródłami naukowemi.

Świetną była wszechniemiecka Wystawa archeologiczna w Berlinie w roku 1881. Pamiątką po niej pozostał taki właśnie „Katalog rozumowany”, który w każdej bibliotece starożytności, o ile w niej istnieje dział przedhistoryczny, znajdować się powinien. To samo da



się rzec o doskonałym katalogu muzeum „Cluny“, zwłaszcza dla zbiorów Sauvageot. Nie znam angielskich, lecz katalogi niemieckie i francuskie, oraz włoskie, układają się coraz obszerniej i krytyczniej, coraz bardziej zbliżają się do zasadniczych opracowań naukowych.

Ułożenie katalogów takich, zaopatrzenie ich w odpowiednie uwagi krytyczne, wymaga nie tylko większego nakładu pracy, lecz i wiedzy poważnej. Przed paru laty układałem wraz z ks. Chelmicim, za wskazówkami d-ra Jerzego hr. Mycielskiego, obszerniejszy, wcale jednak niewymyślny, katalog „Wystawy retrospektywnej malarstwa polskiego“, zaopatrzone tylko we wzmianki o życiu artystów, których obrazy wystawialiśmy wówczas w Warszawie, i wliczający za ledwie tytuły ich dzieł. Skromna ta praca zabrała nam jednak bardzo wiele czasu, a napotykalismy przy niej tyle trudności, że pojęcie o nich może mieć tylko ten, kto taką samą pracę wykonywał, lub na nią patrzył.

To też przejrawszy „Katalog“, ułożony przez pana Swieykowskiego, z powodu niedawnej wystawy dzieł Stachowicza, spostrzegłem odrazu, z jaką sumiennością, znajomością przedmiotu i świadomością wyższego celu, wziął się autor do dzieła. Poprzedziwszy je krótkim życiorysem i charakterystyką twórczości Stachowicza, jako malarza niemal samouka, lecz obdarzonego wyróżniającym się talentem, jako człowieka, który, będąc głęboko przywiązany do wszystkiego, co swojskie, patrzył na otaczający go świat i wypadki z wielkim zajęciem i miłością, a śpieszył odtworzyć to, co widział, autor „Katalogu“ zastosował podział jego do podziału obrazów Stachowicza na grupy wystawowe, o głośniejszych zaś nie omieszkał podać objaśnień szczegółowych tak co do treści, jak techniki, rozmiarówi innych szczegółów, dziś przestrzeganych we wszystkich tego rodzaju pracach. W ten sposób powstał nowy przyczynek, nowe źródło naukowe do dziejów malarstwa polskiego.

Czytelnik „Katalogu“, nieznający prac Stachowicza, niewiedzący nawet o zakresie lub charakterystyce jego działalności artystycznej, łatwo oceni stanowisko krytyczne i historyzoficzne tego malarza historycznego, rodzajowego, dekoratora i rysownika. Posiłkując się tem tylko źródłem, dowiadujemy się, jak rozmaita była technika, którą się on posługiwał, jakie wybierał tematy, jaki był jego kierunek, głębokość pojęcia pewnych chwil dziejowych, na które patrzył, a częstokroć także, jak dalece ciekawe losy spotykały jego malowidła. Sądzę, że przytoczenie paru wyjątków z pracy p. Swieykowskiego będzie najlepszym miernikiem jej znaczenia naukowego.

I tak, pod № 17 (str. 3) czytamy: „Konik Zwierzyniecki“. Malownicza kompozycja, przedstawiająca odwieczny obchód krakowski. Obraz tego samego tematu—wedle opisu współczesnego (patrz Ambroży Grabowski. Historyczny opis m. Krakowa i jego okolic. Kraków 1822, str. 152, w artykule p. t. „Pałac biskupów krakowskich“) miał stanowić ekran kominka w sali krakowskiej pałacu biskupiego. Stan zniszczenia malowidła, a zarazem bliższe zbadanie ram obrazu, które dotychczas mają u góry listwy, a u dołu ślady podstawek, pozwalają nam twierdzić, że obraz niniejszy jest właśnie owym niegdyś ekranem kominka pałacu biskupiego i wskutek tego do cyklu obrazów z dawnych dekoracji stachowiczowskich pałacu biskupiego zaliczonym być powinien. Miedzioryt wedle tej kompozycji artysty znajduje się pod № 382. Oznaczenie (u dołu na prawo) 1820 A 26... Michael Stachowicz invenit pinxit Cracoviae. Technika: malowidło olejne na płótnie, obwiedzione obwódką papierową. Właściciel, dr Henryk Matzke, Kraków, wys. 80.5 cm., szer. 105 cm. — Lub w innym miejscu, o innym obrazie czytamy: „№ 37 należy do cyklu obrazów, dla dekoracji gabinetu historycznego pałacu biskupiego wykonanych. Ramy współczesne opatrzone wstęgą u góry z napisem. Choć podpisu na tym obrazie nie znalazłem, przypuszczam jednak, że jest najwcześniejszym olejnym obrazem Stachowicza, przedstawiającym tę scenę, jaki na wystawie niniejszej posiadamy. Datę jego powstania odnoszę do 1816“.

Takich uwag krytycznych jest w dziełku tem bardzo wiele. Nie waham się użyć tego mianowicie wyrażenia, gdyż „Katalog“, na który złożyło się zaledwie 140 prac naszego malarza, a w dodatku przeważnie rysunków piórkiem lub gwaszem, czyli nie nadających się do charakterystyki obszerniejszej, zawiera przeszło sto stronic druku. Bardzo udatna reprodukcja autoportretu Stachowicza, choć poprawianego następnie—jak nas o tem p. Swieykowski zawiadamia—zdobi pierwszą stronicę wydawnictwa. Całość „Katalogu“ ma tem większe znaczenie dla historii rozwoju twórczości Stachowicza, że została ułożona wedle tych dat chronologicznych, w jakich prace jego powstawały.

KSAWERY CHAMIEC.

---

# KRONIKA MIESIĘCZNA.

---

Niedawno temu czytaliśmy w „Gazecie Radomskiej“ odezwę do wszystkich ludzi dobrej woli, z prośbą o nadesłanie jej odpowiedzi na pytania następujące: 1) w jakich gałęziach pracy daje się u nas odczuwać brak specjalistów, 2) do jakiego zakładu udać się ma młodzieniec, aby zdobyć wiedzę w powyżej wymienionych specjalnościach i 3) jak długo trwa nauka w tych zakładach (według programu).

Pojedynczym osobnikom — mówi odezwa ta w dalszej treści swojej — zwłaszcza młodzieży, trudno wiedzieć, gdzie mianowicie jest brak, a gdzie zbytek, które gałęzie pracy są u nas mało uprawiane, lub leżą odłogiem, gdzie krajowcy zastąpić mogą obcokrajowców. Sprawa to nader doniosła dla całego narodu i jego wytwórczości, dla tego więc ludzie, znający dokładnie kraj nasz i jego stosunki pod względem społecznym, przemysłowym i handlowym, mają moralny

obowiązek udzielania swej pomocy i rady w tym kierunku młodzieży, która pragnie nauki i chleba.

Informacje, tą drogą zdybyte, mają służyć młodzieży dojrzałej, kończącej gimnazya, za drogowskaz przy wyborze powołania.

Że nie jest to droga właściwa, zaznaczali już to w *Kuryerze Warszawskim* pp. Z. W. i prof. Okolski.

Pierwszy z nich słusznie zwraca uwagę na to, że pytania takie, jak wyżej, zadawać sobie trzeba daleko wcześniej, mianowicie, oddając dziecko do szkół, a jeśli nie wtedy, to wówczas, gdy wykształcenie średnie dobiega końca i powołanie zaczyna się określać. Wybór rodzaju szkoły średniej stanowi już poniekąd o dalszej karierze, a rozstrzygają o niej upodobania i zdolności, ujawnione w szkole. My tymczasem wtedy o przyszłości nie myślimy wcale, a taki jest brak wewnętrznego związku między szkołą średnią a wyższą, że gdy się wyjdzie z pierwszej, wybór dalszej drogi zastaje nas nieprzygotowanych i niezdolnych do wyrozumowanej decyzji.

Przed laty kilkunastu nie było w kraju wyboru. Maturzysta szedł do uniwersytetu — tak się działo zwykle. Ale i wtedy był kłopot z wyborem wydziału. Cóż dopiero dzisiaj, kiedy otwartych dróg jest nieco więcej. Wzrósł przemysł — to daje kilkanaście nowych stanowisk technikom.

Tylko, że na nic się tu nie przyda liczenie, ile będzie posad. Młodzieży z patentem wyjdzie kilkuset, potrzeba im będzie za lat kilka tyleż posad. Dzisiaj, w odpowiedzi na ankietę „Gazety Radomskiej“, opinia okrzyknąć może, dajmy na to, farbiarstwo za gałąź zyskową. Za tą wskazówką rzuci się 100 ludzi, a znajdzie karierę 10. I tak będzie zawsze przy wyborze powołania za pomocą statystyki, a zwłaszcza przy szukaniu dróg za wskazówką mody ekonomicznej.

Potrzeby krajowe, o których mówi „Gazeta Radomska“, są bardzo różnorodne i trudno, a niebezpiecznie jest, wskazując je młodzieży, wdawać się w kazuistykę na zasadzie ostatnich notowań na giełdzie pracy i posad.

Dziś, dzięki nadzwyczajnym obstalunkom ze Wschodu, potrzeba farbierzy, jutro — będzie ich za dużo.

Potrzebne są natomiast wskazówki ogólniejsze, a te bez ankiety są znane, przynajmniej powinny być znane. Zacząć trzeba od tego, że u nas, wbrew twierdzeniu odoswytu, niema nigdzie nadprodukcji sił intelektualnych, że owszem — wszędzie, we wszystkich gałęziach sił tych brak.

Gdyby karyera jednostki miała wytknięty zakres granicami jednej gubernii, to wówczas statystyka doprowadziła-by do pewnych wskazówek miarodajnych, ale w całokształcie gospodarki krajowej dla kikutset ludzi zawsze jest miejsce—z warunkiem, że będą to ludzie, w całym znaczeniu tego wielkiego słowa.

Brak nam uczonych, brak nauczycieli, brak dziennikarzy, brak rolników, kupców itd. Nie jest to wcale frazes. Zawody, poświęcone pracy umysłowej, na ożywieniu giełdy posad przemysłowych wiele straciły. Dla zrobienia majątków (?) porzuca się drogi ciężkiego zarobku—to smutne, ale da się zrozumieć. Lecz trudniej zrozumieć, dla czego rolnictwo ma być pomijane przy wyborze zawodu, jak się to robi teraz.

Jedyny zawód niezawodny, ten, który wyżywił naszą cywilizację, główne źródło bogactwa krajowego! Mało jest szkół agronomicznych — a i te są puste. Rolnictwo z naturalnego gospodarstwa stało się kapitalistycznym i przemysłem, a oddawać mu chcemy siły umysłowe w stopniu naturalnym, bez wiedzy specjalnej!

W końcu p. Z. W. kładzie nacisk na to, że gdy chodzi o skierowanie syna na drogę, gdzieby sam czuł się szczęśliwy i drugim był pożyteczny, wtedy szukać należy wskazówek w jego własnej duszy, a nie w statystyce. „Ludzie dzielni, umiejący pracować i odpowiedzialni moralnie, cokolwiek przedsięwzją, wszędzie będą pożądanymi, wszędzie ich brak, przed nimi leży nie tylko chwala obywatelska, ale i najlepszy zarobek“.

Głos w tej sprawie profesora Okolskiego również na bliższą zasługuje uwagę.

Życie społeczeństw—mówi p. Okolski—następuje dwa rodzaje zagadnień, które należy rozwiązywać. Jedne wywołane przez szczególny zbieg okoliczności, badane i rozstrzygane być muszą w miarę potrzeby, — są to zagadnienia chwilowe. Inne stale są na widowni życia, rozstrzygane zaś być winny w miarę ustawicznej zmiany warunków bytu. Te drugie zasługują na szczególniejszą bacność, pomimo, że z powodu ich powszechności pomijamy je zwykle, zwracając uwagę na wydarzenia podrzędniejsze, lecz niezwykle, nowe. Do zagadnień stałych należy też sprawa wyboru zawodu, nader ważna ze względów społecznych.

Przechodząc do ankiety „Gazety Radomskiej“, profesor Okolski zaznacza, że postawienie sprawy w tej formie jest niewłaściwe.

Po pierwsze—należy zaprotestować, aby sprawa wyboru zawodu była doniosła wyłącznie dla młodzieży, opuszczającej szkołę średnią z patentem dojrzałości. Jest ona donioslejszą nawet dla mło-

dzieży, niemającej patentów dojrzałości, ponieważ tej jest o wiele, wiele więcej.

Po drugie: zgodzić się nie można na metodę, przyjętą przez „Gazetę Radomską“ w rozwiązywaniu zawitych zagadnień społecznych, do których bez kwestyi omawiana sprawa zaliczona być musi. Metoda ta jest zbyt uniwersalna, wiadomo zaś, że sprawy podobne nie mogą być rozwiązane radykalnie przez zbadanie jedyne go ich objawu, podobnie jak skomplikowanej choroby nie zdołają uleczyć żadne uniwersalne pigułki. Zważmy tylko, ile czynników składa się na wytworzenie zawodów w społeczeństwie, a z drugiej strony, jak odmienne są warunki indywidualne i nabyte przez wychowanie i wykształcenie jednostki wybierającej zawód. Wobec tego pozostawałoby tylko przychylenie się do wniosków p. Z. W., że u nas we wszystkich gałęziach pracy brak sił, i że przy wyborze zawodu młodzieniec powinien szukać wskazówek wyłącznie we własnej duszy, pomnąc o tem, by sam był szczęśliwy, drugim zaś pożyteczny.

Czy jednak odpowiedź słuszna p. Z. W. zadowoli „Gazetę Radomską“ i jej czytelników? Wątpiąc o tem, profesor Okolski rozumuje w dalszym ciągu i streszcza się w następujących wnioskach:

1) Nie wyróżniamy pewnej grupy społecznej, jeżeli bowiem mowa o wskazówkach, to tych przedewszystkiem potrzebują w wyborze zawodu jednostki mniej wykształcone, niż młodzież „dojrzała“.

2) Jeżeli pragniemy mieć dane rzeczywiste, jakie gałęzie pracy są u nas uprawiane, powinniśmy przedewszystkiem poddać bardzo szczegółowemu badaniu całkowity ustrój życia społecznego obecny i najprawdopodobniejszy w najbliższej przyszłości. Tylko tą drogą dostarczyć można materiału odpowiedniejszego dla jednostki zainteresowanej, wszelka zaś inna droga przypominać będzie rady szablonowe, szkodliwe, przytaczane wielokrotnie przez nasze pisma.

3) Dalszym krokiem jest przedstawienie istoty rozmaitych zawodów. Wiadomo, że przykłady, przytoczone przez p. Z. W. nie są odosobnione. Ogół nader słabo zdaje sobie sprawę z tego, na czem polega istota pracy prawników, przyrodników, techników itd. Poznanie zaś tej przyszłej pracy niewątpliwie zmniejszyłoby znakomicie liczbę jednostek „dojrzałych“, stojących przed tablicą uniwersytecką lub politechniczną i wybierających zawód na całe życie drogą przypadkowo-loteryjną.

4) Następnie dopiero wskazane być mogą zakłady naukowe, przygotowanie wymagane, ich programy itd.

W końcu przypuszcza p. Okolski, że najlepiej wywiązało-by się z tego zadania wydawnictwo, wzorowane na „Poradniku dla samouków” — nosiło-by ono tylko tytuł odmienny „Poradnik dla osób, wybierających zawód” i dzieliło się na trzy części. Jedna była-by przeznaczona dla osób, zamierzających poświęcić się pracy zawodowej po ukończeniu nauk w wyższych, inne zaś w średnich i niższych szkołach. Anglicy i Amerykanie mają już oddawna książki w tym rodzaju, jak np. „Guide to Professions and Business”, Niemcy takie, jak „Wie bildet man sich zum Bergingenieur und Hutteningenieur aus?” albo „Wie soll sich der Maschinentechniker eine Zweckentsprechende Ausbildung erwerben?”. Doniosłość też wydawnictwa, przeprowadzonego podług przytoczonego planu, wątpliwości nie nastęrcza dla osób, znających o tyle stosunki angielskie, niemieckie i nasze, by je móżd porównywać. Rozwiązywanie zaś sprawy wyboru zawodu drogą odezw do bezimiennego ogółu przez prasę peryodyczną — nie trafia do celu, zasługa też „Gazety Radomskiej” polega wyłącznie na rozbudzeniu zainteresowania dla sprawy powszedniej, lecz niepospolicie doniosłej dla społeczeństwa.

Przytoczyliśmy tu obie opinie powyższe, jako niewątpliwie słuszne, pochodzące od ludzi światłych i rozumiejących potrzeby społeczne.

Poruszają one atoli jedną tylko stronę rzeczy. Ani p. Z. W., ani prof. Okolski nie zwrócili natomiast uwagi na to, że przeważna część młodzieży naszej, po ukończeniu nauk, nie umie ani dążeń swoich sformułować, ani stworzyć sobie idei przewodniej.

Wina to w znacznej części fałszywego wychowania i szkoły średniej, zabijającej indywidualność. Przez osiem albo i dziesięć lat młodą duszę przystosowywano do miary ogólnej, a kiedy nareszcie po tych ośmiu latach, na podstawie, iż nie jest ona ani zadługa, ani za krótka, uznano ją za dojrzałą, wymaga się od niej, aby w wyborze powołania kierowała się upodobaniami indywidualnymi, skłonnościami wrodzonymi i szła za głosem swoim. Wymaganie to jest co najmniej — niewłaściwe. Przeciętny młody człowiek czasów dzisiejszych jest to najczęściej bezindywidualne indywiduum i dla tego, kończąc gimnazjum, gotów jest raczej naprawdę kierować się statystyką, proponowaną przez odezwę „Gaz. Rad.”, niż słabymi odruchami duszy własnej, które nie dadzą się nigdy jasno określić. Potrzebuje on, jak pionek na szachownicy, ręki kierującej i, jak ten pionek, pozbawiony jest wszelkiej inicjatywy.

I tu jest początek zła, którego nie usunie ani najskrupulatniej prowadzona statystyka posad, ani najidealniej układane przewodniki dla obierających zawód. Ażeby zawód sobie obrać — trzeba mieć

przede wszystkim umysł rozwinięty t. j. posiadać ogólne pojęcie o rozleglejszych stosunkach życiowych i o szerszym działaniu na społeczeństwo. Przez porównanie dopiero rzeczywistego położenia swego z temi ogólnemi poglądami na życie i jego zadanie czuje się potrzebę dążenia do ideału, który się sam przez się wówczas następuje. Ażeby następnie w zawodzie obranym pracować pożytecznie, to znaczy ideał swój urzeczywistniać, trzeba mieć charakter, tj. to właśnie, czego ludziom dzisiejszym brak w najwyższym stopniu. Człowiek naprawdę dojrzały i człowiek z charakterem bez statystyki i przewodnika znajdzie dla siebie drogę.

Wychowujmy młodzież inaczej, nie zacierajmy w niej skłonności indywidualnych i kształmy jej charaktery, a wtedy pójdzie ona niewątpliwie za głosem duszy w wyborze powołania i nie będziemy odczuwali braku ludzi „w całym znaczeniu tego wielkiego słowa“.

Reorganizacja szkoły średniej—niewątpliwie będzie nam w tem niezadługo już poważną pomocą.

---

„Cudze chwalimy, a swego nie znamy“. Nie znamy kraju własnego, nie znamy jego potrzeb, stanu jego kultury w rozmaitych okolicach, nie interesujemy się ani zabytkami przeszłości, ani rozwojem teraźniejszym naszego rolnictwa, przemysłu, handlu, jesteśmy słowem pod wieloma względami, jak okręt, rzucony na wzburzone fale oceanu, bez busoli, bez steru, który płynie z falą, ale nie wie, do jakiego brzegu płynie.

Cywilizacja i prawdziwa zachodnio-europejska kultura wciąż jeszcze stanowi u nas przywilej jedynie „wybranych w narodzie“, którzy są jak wyspa doskonałych kwiatów inteligencji i umysłowości wśród morza ciemnoty i zastoju. O tej rozlewności kultury, która w Niemczech, a zwłaszcza Anglii i w krajach Skandynawskich stanowi najważniejszy czynnik postępu, u nas mowy niema. Przedział pomiędzy tem, co stanowi dorobek cywilizacyjny klas wyższych, a tem, co określa warunki bytu naszego chłopca i drobnego mieszczanina, jest tak znaczny, że trzeba usilnej, ciągłej i na długie lata rozłożonej pracy, aby go zmniejszyć.



Oświata, jak najszerzej pojęta, to znaczy nie tylko przez szkołę powszechnie obowiązującą, ale przez oddziaływanie na rozmaite strony życia, za pomocą towarzystw, instytucyi, zakładów specjalnych, przez żywy przykład, zmuszający do naśladownictwa, przez dodatnią pracę jednostek dla ogółu, stanowi tu jedyną drogę i jedyny pewny środek do dźwignięcia kraju na wyższy szczebel rozwoju.

Niewątpliwie, wiek XX choć w części dokona tego, a dokona tem łatwiej, o ile na miejsce rozpraw akademickich o potrzebach kraju i jego ludności postawi praktyczny program działania. Że tak będzie, pozwala wnośić dobry początek, który uczynił obecnie p. Bronisław Zdziarski, poruszając w „Echach łomżyńskich i płockich“ (M 25) sprawę urzeczywistnienia myśli zakładania muzeów prowincjonalnych, których zadaniem było-by nauczać o stanie materyalnym i kulturalnym danej miejscowości i nauczać ludność tej miejscowości o tem, co jest gdzieindziej, a czego jej brak.

Już w roku zeszłym, z okazji powstawania towarzystw i syndykatów rolniczych, w prasie naszej podniosły się głosy, wskazujące konieczność zaznajamiania włościan z ulepszonemi narzędziami rolniczemi, przyczem projektowano nietylko zakładanie po miasteczkach składów tych narzędzi, ale także urządzenie przy nich czasowych kursów, które-by pouczały o tem, jak narzędzia te stosować w praktyce. Takie składy, posiadające wszystkie narzędzia, w danej okolicy dające się do pracy na roli zastosować, były-by już w swoim rodzaju muzeami. Stopniowo jednak zakres ich powinien być rozszerzony tak, aby muzea mogły być rzeczywistą pomocą do poznania kraju, aby się stały stacyami kultury i szczepiły postęp dokoła siebie. Hasłem ich powinno być to samo hasło, które noszą muzea francuskie, tak gorąco przez rząd rzeczypospolitej popierane:

„Moraliser par l'instruction, charmer par les arts, enrichir par les sciences“.

Obejmować one powinny wszystkie wiadomości, dotyczące danej miejscowości. Każdy zainteresowany musiał-by znaleźć tam wskazówki o jej glebie, bogactwach roślinnych i kopalnych, urodzajach, handlu, przemyśle, rzemiosłach, stosunkach zarobkowych, ludnościowych itp. A wskazówki te były-by wyczerpujące i najprawdziwsze, bo z pierwszej pochodzące ręki, zebrane przez ludzi miejscowych, którzy swoją okolicę znają dobrze, zrosli się z nią, związani są materyalnie i moralnie z tym kawałem ziemi, na którym na świat przyszli i który ich żywi.

Tak wyglądały-by muzea powiatowe. Obok nich musiały-by istnieć muzea gubernialne, które były-by niejako sumą wiadomości, zebranych przez poszczególne powiaty i przedstawiały całokształt życia gubernii. Muzea gubernialne ze swej znów strony stopniowo gromadziły-by materiał dla centralnego muzeum krajowego, w Warszawie, które było-by źródłem wiedzy praktycznej dla wszystkich, a przez zestawienie materiału porównawczego ze wszystkich okolic kraju w kolekcjach przyrodniczych, w okazach, preparatach, mapach, tablicach, rysunkach, fotografiach itd., stanowiło-by niezrównanie cenny materiał poglądowy, wrażający się w pamięć łatwo i pouczający, jak żadne dzieło, usiłujące objąć całokształt stosunków krajowych.

Oczywiście, muzea takiego typu nie mogą powstać za jednym skinieniem ręki. Trzeba na to czasu, trzeba na to pracy, trzeba dobrej woli ludzi zsolidaryzowanych pod hasłem pracy dla ogółu i rozumiejących wysokie pedagogiczne i kulturalne znaczenie tego rodzaju instytucji.

Muzea takie są dla nas jeszcze w sferze ideałów, ale ideał to jest tak piękny, tak zachęcający do ofiar i poświęcenia mu żywej troski, że nie wątpimy o jego przyszlęm urzeczywistnieniu się.

I apologeta tej sprawy, p. Zdziarski, nie myśli na razie o budowaniu gmachów i zakładaniu muzeów, stojących od razu na stopie wyliczonych powyżej postulatów. Idzie mu o rzecz mniejszą, ale niezmiernie wielkiej wagi: o początek tylko, o impuls do szerszego zainteresowania się krajoznawstwem. I w tej dziedzinie bowiem nie zrobiliśmy nic jeszcze i bynajmniej nie jest przesadne twierdzenie, że konsulaty niemieckie więcej wiedzą o naszych stosunkach i gruntowniej znają ekonomiczny stan kraju naszego, niżeli my sami. Gromadzenie chociaż-by tylko danych etnograficznych, w związku z baczniejszym zwróceniem uwagi na zabytki naszej kultury—już będzie wielkim krokiem naprzód.

Wiemy wszyscy, jak słabe jest zainteresowanie się ogółu zbiorami Muzeum przemysłu i rolnictwa, jak ubogie są nasze zbiory etnograficzne, z jakimi trudnościami walczy jedyne u nas pismo, etnografii poświęcone—„Wisła“. Muzea prowincjonalne, o których mówi p. Zdziarski, grupując dokoła siebie inteligencję prowincjonalną, wytworzyły-by niewątpliwie w tym kierunku pewne ożywienie, na którem zyskała-by i Warszawa. Przykład, dany przez Towarzystwo rolnicze plockie, powinien zachęcić inne Towarzystwa w kraju do usiłowań podobnych. Staną się one nietylko zawiązkiem pracy kulturalnej, nietylko początkiem jej, mającym na celu podniesienie cywilizacyjne całego społeczeństwa; ale obudzą z uspienia i odrętwienia tę znacz-

ną część naszej inteligencji prowincjonalnej, która, mimo wyższego wykształcenia, zdala od wielkiej pracy naukowej stojąc, przyzwyczaiła się do biernego i zasklepionego życia. Energia społeczna, która gnuśniej w bezczynności, ocknie się i niewątpliwie, obok sprawyszerzenia kultury gospodarczej, podejmie z czasem niejedno zadanie ważne i dla kraju pożyteczne.

Ta myśl obywatelska, której rzecznikiem jest p. Zdziarski, zasługuje też na poparcie jaknajszersze. Zwłaszcza ziemiaństwo nasze powinno współdziałać tu chętnie, bo i samo ono wielorakie korzyści z tej pracy osiągnie.

Znać swój kraj, to znaczy w naszych stosunkach już prawie tyle, co wiedzieć jak dla niego pracować, bo bez tej znajomości najlepsze chęci w nic się rozbijają, najszczytniejsze zasady nie dadzą się w życie wcielić. Rolnik powinien znać ziemię, na której pracuje, powinien znać jej rodzajność i wtajemniczyć się we wszystkie sposoby, które pozwalają wydobyć z niej jaknajwięcej, a tego dokonać może tylko przez spożytkowanie doświadczenia innych, przez zastosowanie nauki i techniki. Pomogą mu w tem muzea prowincjonalne daleko lepiej, niż w niejednym wypadku agronom — Niemiec, sprowadzony z za granicy, drogo opłacany i myślący tylko o własnej kieszeni. A jakże one ogromny pożytek przyniosą włościanom, którzy ani po naukę nie pojedą za granicę sami, ani instruktora sobie nie sprowadzą, a w dodatku są przesądni na punkcie wszelkiej inowacyi? Skoro jednak na własne oczy przekonają się, jakie usługi przynosi dajmy na to siewnik, skoro go dotkną rękoma i sprawdzą jego użyteczność, niewątpliwie zaczną go stosować, zaczną się łączyć i organizować w kółka rolnicze, aby zbiorowemi siłami nabywać narzędzia i podnosić wydajność ziemi.

Obecnie początek już jest zrobiony. Idea muzeów prowincjonalnych zarysowuje się przed nami konkretnie i jasno, a obok tego mamy: z jednej strony coraz pilniejsze i coraz więcej świadome odczucie potrzeb kraju, z drugiej — wzory krajów ościennych, które nas we wszystkim wyprzedziły i z których doświadczenia powinniśmy korzystać.

Niech więc przyjmuje się w społeczeństwie naszym myśl dobra i w szczęśliwą chwilę podjęta.

---

Zbliża się lato i znaczna część mieszkańców Warszawy pojedzie szukać świeżego powietrza w miejscowościach letnich i zdrojowiskach. Gdyby część ich przynajmniej zaopatrzyła się w kwestyonaryusz d-ra Zawadzkiego, Towarzystwo higieniczne znalazło by się za kilka miesięcy w posiadaniu bogatego materiału, dotyczącego stosunków klimatycznych i zdrowotnych naszych siedzib letnich. Powinni to uczynić zwłaszcza ci, którzy wyjeżdżają na tak zwane letnie mieszkania, zarządy bowiem zdrojowisk niewątpliwie odpowiedzą same i wyczerpująco na wezwanie Towarzystwa.

Kwestyonaryusz, ułożony bardzo szczegółowo i bardzo starannie, wydany w formie dużego arkusza druku, zawiera 18 rubryk. Porządek ich jest następujący: 1. Nazwa i położenie geograficzne miejscowości. 2. Środki komunikacyjne. 3. Gleba miejscowości (powierzchnia, przepuszczalność, barwa, roślinność, głębokość wody zaskórnej). 4. Wzniesienie nad poziom morza. 5. Średnia temperatura (roczna, w czasie sezonu). 6. Ilość opadów (ilość dni słotnych w ciągu roku). 7. Kierunek i siła wiatrów, zasłonięcie od wiatrów. 8. Woda (woda do picia, wodociągi, studnie, głębokość ich, sposób urządzenia, jakość wody, skład jej chemiczny, badania bakteriologiczne; odległość studni od mieszkań, zabudowań gospodarczych, ustępów, śmietników; źródła, odległość ich, jakość, skład chemiczny, ciepłota, urządzenie, cembrowanie etc.; rzeka, brzegi jej, wzniesienie ich nad poziom wody, rodzaj brzegów: piaszczyste, kamieniste, szerokość rzeki, szybkość prądu, głębokość rzeki, rodzaj dna, jakość wody chemiczna, jakość wody bakteriologiczna, czy w górach rzeki są miasta i fabryki zanieczyszczające wodę itd.; kąpiele rzeczne i ich urządzenie, kąpiele w jeziorach, w morzu, odległość ich od miejscowości, ceny). 9. Cechy ogólne miejscowości: ulice, ilość ich, długość, szerokość, rodzaj bruku, ścieki, zadrzewienia, kierunek, przestrzeń między domami, wielkość parceli, park wspólny, obszar jego i urządzenia, dworzec — Kurhaus, szpital, dom izolacyjny, targowisko, spacer. 10. Domy mieszkalne, ilość ich, materiał budowlany, wielkość, ilość pięter, ilość pokoi w domach, ilość mieszkań, przestrzeń pokoi w metr. kub., okna, stosunek powierzchni oświetlającej do powierzchni podłogi, wentylacja sztuczna, naturalna, lufki dolne czy górne, piece, kominki, ogrzewanie centralne, oświetlenie sztuczne, w którą stronę zwrócone okna sypialni, pokoi innych, werendy, kuchnie: urządzone przy mieszkaniach, czy nie; najbliższe otoczenie

domów, ustępy, odległość ich od domu, od studni, urzędzenia, usuwanie pomyj, zabudowania gospodarcze, odległość ich od domów mieszkalnych, jakość i ilość, ceny najmu oddzielnych domów, pokoju, mieszkań większych. 11. Żywność: skąd się otrzymuje, kto dostarcza, restauracye, ilość ich, urzędzenia kuchni, jadalni, kto prowadzi kuchnię—przedsiębiorca czy zakład, przechowywanie żywności, rodzaj diety i sposób żywienia, śniadanie, obiad, podwieczorek, kolacya; sklepy i targowiska z żywnością, dozór sanitarny nad produktami i jadłodajniami, ceny. 12. Okolica. Cechy ogólne. Czy są w bliskości fabryki i jakie? Skąd mają robotników? 13. Choroby epidemiczne i ich rodzaj. 14. Własności lecznicze miejscowości, klimat, źródła, kąpiele i inne środki lecznicze. 15. Źródła mineralne: ilość, skład chemiczny, wydajność na dobę, sposób urzędzenia źródła. 16. Urzędzenia kąpielowe: ilość gmachów, wanny i ich rodzaj, sposób ogrzewania, wielkość kabin, poczekalnie. 17. Inne środki lecznicze. 18. Ceny: taksy zdrojowej, kąpeli, zabiegów, lekarza. Uwagi.

Oczywiście — nie każdy będzie mógł wypełnić kwestyionaryusz ten całkowicie, tak ze względu na warunki miejscowe, jako też i na pewne trudności nastroczające się przy badaniu wody np. lub określaniu stosunków klimatycznych i meteorologicznych. Wypełnienie jednak chociaż-by tylko rubryk najważniejszych będzie już przyczynkiem bardzo pożytecznym do sprawy ważnej, mającej dobro ogółu na celu. Dobrego przewodnika przy wyborze mieszkań letnich potrzeba u nas oddawna, stwórzmy go więc zbiorowemi siłami, pomagając Tow. higienicznemu w jego przedsięwzięciu.

---

„Wszechświat“, popularno - naukowy tygodnik, wychodzący w Warszawie od lat 20, wydał niedawno temu 1000-czny swój numer, poświęcając go uwagom ogólnym o stosunku społeczeństwa naszego do nauk przyrodniczych w ostatnim dziesięcioleciu, oraz pobieżnemu przeglądowi przyczynków do postępu nauki, dokonanych przez uczonych polskich. Przyczynki te są jeszcze skromne, zaznaczyć jednak należy, że niema prawie nauki z zakresu przyrodznawstwa, w której dziedzinie nie było-by do zanotowania jednego lub kilku imion polskich. Przedstawiciele swoich mają u nas: matematyka, fizyka,

meteorologia, chemia, krystalografia, mineralogia i petrografia, geologia, botanika, faunistyka polska, anatomia porównawcza, embryologia i t. d.

W ogólnych uwagach swoich redakcyja „Wszechświata“ stwierdza powolny, ale ciągly postęp w szerzeniu się u nas wiedzy przyrodniczej. Poza kolem pracowników fachowych, którzy oddają się badaniom i studjom naukowym dla nauki samej, stoi jednak bardzo szczupłe koło czytelników i ludzi interesujących się zdobyczami nauki w tym kierunku.

„Dla nas nie ulega żadnej wątpliwości, — mówi Wszechświat, — że uprawa nauk ścisłych nie cofa się u nas, ale, przeciwnie, postępuje widocznie. Świadectwem tego jest coraz gęstsze zapełnianie wszystkich zagónów pracy naukowej powszechnej przez pracowników polskich. Świadectwem tego jest rosnąca powaga naszego zdania w radzie naukowej świata całego. I gdybyśmy mogli w tem miejscu przedstawić odpowiednią statystykę przyczynków polskich w budowaniu gmachu nauki powszechnej, rzuconą na ogólne tło postępów w rozwoju wiedzy wogóle, okazało-by się bez zaprzeczenia, że dzieściolecie ostatnie ma się czem pochlubić w porównaniu z poprzedniem, a tembardziej ze wszystkimi, dawniej ubiegłymi.

„Jest jednak pewna strona słaba w rozwoju nauk ścisłych na naszej glebie. Uprawa ich, jak budowa gmachu gotyckiego, coraz śmielej pnie się w górę i przeto dla wzroku coraz dalszych widzów staje się dostępną. Ale rozległość, jaką zajmuje u poziomym, nie zwiększa się proporcjonalnie. Nauka u nas, bardziej jeszcze, niż u innych, jest dotychczas przedmiotem kultu niewielu jednostek, ogół zaś o niej nic nie wie, gorzej jeszcze — nie chce wiedzieć.

Swoją drogą i pod tym względem widać już pewne oznaki poprawy stosunków, dalej bowiem czytamy:

„Dobry podręcznik przyrodniczy rozchodzi się coraz łatwiej a nawet w niektórych razach doczekuje się powtórnego wydania; ilość podręczników powolnie lecz nieustannie się zwiększa; odczyty przyrodnicze wyrobiły sobie grono zwolenników i coraz częście upominają się o nie miasta prowincjonalne; ogół czytający orientuje się coraz lepiej, dokąd ma się zwracać o wskazówki, a coraz mniej daje posłuchu głosom samozwańczych filozofów przyrody; — wszystko to wskazuje, że powoli, nieśmiało, ale stale kroczymy po drodze rozwoju“.

Jest to tem więcej pocieszające, że całe młodsze pokolenie naszej inteligencji nie wyniosło ze, szkół średnich nawet elementarnych wiadomości przyrodniczych, że, o ile nie zetknęło się ono z naukami temi w okresie studyów uniwersyteckich, nie miało sposobności

rozwinąć w sobie nawet dyletanckiego zamiłowania do nich! Przytem wzrastało ono już w tej epoce, kiedy hasła wiedzy przyrodniczej, rzucone przez pozytywizm warszawski, przycichły już trochę i nie miały tego peśłuchu, co dawniej. Przy tem wszystkim stanowi to jeszcze jeden dowód, że popularyzowanie wiedzy zawsze na powodzenie liczyć może, trzeba tylko umieć popularyzować i bez togi i biretu doktorskiego przemawiać do ogółu. Nawet taka specjalna nauka, jak astronomia, zyskuje sobie coraz więcej zwolenników u nas, ale trzeba było do tego tak umiejętnego popularyzatora, jakim okazał się młody docent uniwersytetu lwowskiego, dr Marcin Ernst. Jego „Astronomia gwiazd stałych“, doskonały wykład o przyrodzie planet“ i rozprawa „O kometach i o końcu świata“ zyskały sobie licznych czytelników, a przecież do niedawna poza naukowym „romansem“ Flammariona nie czytano u nas nie w tym zakresie. W innych dziedzinach wiedzy przyrodniczej dzieje się jeszcze lepiej. Nawet młodzież gimnazjalna zapoznaje się przy pomocy podręczników popularnych bardzo chętnie z botaniką, zoologią i mineralogią, uzupełniając w ten sposób braki wykształcenia szkolnego.

I było-by jeszcze pomyślniej, gdyby, jak to twierdzi „Wszechświat“, prasa informowała ogół sumiennie o sprawach naukowych. Niestety, nie spełnia ona należycie w tym względzie obowiązków swoich. „Dzisiaj zwłaszcza, — mówi redakcja, — gdy k i e r o w n i c y o p i n i i doszli do przekonania, że rozprawiać o rzeczach naukowych bywa trudniej, aniżeli o modernizmie w sztuce, albo o wyścigach i wszelkich rodzajach sportu, rzadko się zdarza, żeby który z nich zaszczycił swoją uwagę jakąś robotę naukową. P u b l i c y s t o m naszym najpoważniejszym, nietylko średniej miary dziennikarzem, obce są zupełnie nawet imiona wybitnych naszych przyrodników“.

Jest w tej pretensyi pewna doza słuszności, ale jest i trochę przesady. Jeżeli bowiem prasa nasza nie umieszcza dostatecznie często artykułów treści przyrodniczej, to wynika to nie ze złej woli, ale z braku odpowiednio przygotowanych współpracowników. Pomimo to przecież nazwiska prof. Nussbauma, St. Kramsztyka, ś. p. Strumpfa, W. Jezierskiego, Tura, Tołwińskiego i wielu innych, nawet bardzo młodych i bardzo mało jeszcze nauce zasłużonych ludzi, przedostały się do ogółu za pośrednictwem prasy. Zapewne dla tego, że wszyscy oni pisują i prasę tę artykułami swojemi wspierają. A inni może nie mają czasu pisać? Zresztą sam „Wszechświat“ stwierdza, że utalentowanych pisarzy przyrodników nigdy nie mieliśmy zbyt wielu, a dziś nie więcej z pewnością, niż kiedykolwiek“. Jeżeli ich tedy brak w społeczeństwie, trudno żądać od prasy, aby powierzała pisa-

nie artykułów przyrodniczych zwyczajnym dziennikarzom, którzy i tak są za bardzo od wszystkiego, i przy zmuśnionej a ciężkiej pracy codziennej nie mają nawet czasu na czytanie książek naukowych. Smutne to, ale prawdziwe.

Notując z obowiązku kronikarskiego ten „jubileuszowy“ dyssonans pomiędzy „Wszechświatem“ a „kierownikami opinii miejscowej“, wierzymy, że w przyszłości zniknie on zupełnie, że w miarę jak wiedza przyrodnicza przenikać będzie do coraz szerszych warstw, a liczba zdolnych popularyzatorów wzrośnie, i dzienniki nasze zapełniać się będą artykułami przyrodniczymi. Trzeba jednak do tego większego wykształcenia i większego wyrobienia całego społeczeństwa, które dziś żyje zanadto powierzchownie i o nauce „nie chce wiedzieć“, jak to zaznacza „Wszechświat“.

Tymczasem zasłużonemu piśmiu, które wytrwało na trudnym stanowisku lat tyle i przetrwało już chwile najcięższe, życzymy dalszego powodzenia w pracy, podjętej w imię nauki, i obfitych owoców z tego siewu czystego i zdrowego, którego ziarna obypadały na glebę coraz urodzajniejszą.

---

W swoim czasie pisaliśmy na tem miejscu o pomocy lekarskiej na wsiach, zorganizowanej tytułem próby na okres trzyletni w gubernii Płockiej, a to na podstawie specjalnej uchwały Rady Państwa z dnia 2 czerwca 1897 roku. Okres ten obecnie dobiega końca. Za kilka miesięcy ostatecznie zestawione będą wyniki próby, a od nich zależy rozszerzenie instytucji tej na cały obszar Królestwa, oraz określenie sposobów najlepiej odpowiadającego potrzebom zorganizowania pomocy lekarskiej w kraju.

Jak próba ta wypadnie pomyślnie, o tem świadczą już wymownie cyfry, dotyczące dwóch pierwszych lat istnienia lecznic i ambulatoryjów w gubernii Płockiej. Instytucję wprowadzono tam w życie z dniem 22 grudnia 1898 roku. Całą gubernię Płocką podzielono na osiem okręgów lekarskich, w których urządzono osiem lecznic i 16 ambulatoryjów. Przy każdej lecznicy ustanowiono posadę lekarza, felczera i akuszerki, oraz urządzono szpital na dziesięć osób. Personal ten w dniach ściśle oznaczonych, raz w tygodniu, ma obowiązek



udawania się do ambulatoryów i udzielania tam porad, a nawet wydawania lekarstw zgłaszającym się chorym.

Dzięki poparciu ludności zamożniejszej i niektórych więcej świadomych rzeczy gmin, fundusz, asygnowany na ten cel przez skarb państwa, zwiększyły ofiary prywatne, wskutek czego założono nie osiem, ale dwanaście lecznic. Pomimo to jednak, zarówno liczba lecznic, jako też i liczba lekarzy okazała się wysoce niewystarczającą. Z samego zaraz początku chorych zgłaszało się tak wielu, iż lekarzom brakowało po prostu sił fizycznych do sumiennego sprawowania swoich obowiązków. Oto cyfry: w roku 1899 udzielono porady 69,138 osobom, w roku zaś 1900 — 77,691 osobom. W roku bieżącym cyfra ta niewątpliwie zwiększy się jeszcze o kilkanaście tysięcy. Nietylko lecznice, ale i ambulatorya przeciążone były pracą. Tak naprzykład do ambulatoryum w Woli młockiej, w powiecie Ciechanowskim, i w Żurominie, w powiecie Sierpeckim, w dni ustanowione zgłaszało się po pięćdziesięciu z górą chorych, w Chorzelach zaś, w powiecie Przasnyskim, i w Dobrzyniu nad Drwęcą — po siedemdziesiąt i więcej osób. Lekarz, przy tak wielkiej ilości chorych, żądających porady, nie jest, oczywiście, w stanie zadaniu podołać. Musi albo powierzchownie badać i stosować środki doraźne, albo, wbrew instrukcyi, pobyt swój przedłużać. Ponieważ i jedno, i drugie jest szkodliwe dla całej sprawy, przeto wypada stwierdzić, że lecznic jest za mało, i że dzisiejsze ambulatorya, czyli tak zwane punkty dojazdowe, powinny być przez lecznice zastąpione. Wymagałoby to atoli znacznego powiększenia funduszu, asygnowanego przez skarb państwa, a wynoszącego dla całej gubernii zaledwie 26,640 rubli rocznie. Nawet przy dzisiejszych niskich pensjach lekarzy, fundusz ten nie wystarcza na pokrycie wszystkich wydatków.

Wynagrodzenie lekarza wynosi obecnie 900 rubli rocznie + 200 rubli na kosztą co tydzień odbywanych podróży do ambulatoryów. Kosztą te okazały się jednak znacznie większemi, wobec czego rada gubernialna dobroczynności publicznej postanowiła płacić lekarzom po pięć rubli za każdą podróż, czyli za 104 podróże w ciągu roku od dwóch ambulatoryów, należących do okręgu, 520 rubli. Felczer otrzymuje 240 rubli rocznie, felczerka, a zarazem akuszerka 360 rubli i na kosztą podróży wraz z lekarzem po 75 kop. dyet, co wynosi 78 rubli rocznie. Lekarz zastępca płatny jest po 7 rubli dziennie.

Dodać należy, iż obecnie i ambulatorya mieszczą się przeważnie w lokalach, ofiarowanych na ten cel bezpłatnie, gdy jednak, w razie utrwalenia się instytucyi, przyjdzie za nie płacić, podniesie to znacznie sumę wydatków, co trzeba mieć na widoku, zwłaszcza wobec koniecznej wygody w urządzeniu lecznic.

Koszta utrzymania chorych w lecznicach prelininowano na 15 kopiejek dziennie, faktycznie jednak wydawano 18 kopiejek, czyli na dziesięciu chorych 657 rubli. Służba jednej lecznicy kosztowała 168 rubli, wyżywienie jej 167 rubli 10 kop., ogółem tedy utrzymanie jednej lecznicy kosztowało 168 rubli, wyżywienie jej 167 rubli 10 kop., ogółem tedy koszt utrzymania jednej lecznicy, bez lekarza, felczera i akuszerki, wyniósł 1,022 ruble 10 kop. rocznie.

Przy takich wydatkach, oczywiście, ciągle musiała być na porządku dziennym kwestya braku funduszków. To też kiedy ministerjum spraw wewnętrznych w lutym r. b. odniosło się do władz miejscowych z zapytaniem, jakie są rezultaty prób czynionych, szczegółowy memoriał p. gubernatora plockiego, poparty przez wyższą władzę krajową, wskazał przedewszystkiem potrzebę powiększenia kredytu na cele pomocy lekarskiej do kwoty 70,230 rubli rocznie, prosząc zarazem o przedłużenie terminu próby jeszcze o lat trzy.

Projektowany budżet okręgu leczniczego składa się z następujących pozycji: c) personel: płaca lekarza 900 rubli, płaca felczera 240 rubli, akuszerki 360 rubli, koszt wyjazdów 598 rubli; b) utrzymanie lecznicy: lokal 600 rubli, opał i światło 200 rubli, płaca służby 168 rubli, żywność chorych i służby 854 ruble, instrumenta lekarskie do 40 rubli, bielizna do 80 rubli, lokal dwóch punktów dojazdowych (ambulatoryów)—400 rubli. Ogółem koszt utrzymania jednego okręgu wynoszą 4,350 rubli rocznie.

Wobec tego utrzymanie dwunastu stacyi, już istniejących, wyniosło-by poważną w porównaniu z asygnowanym dotychczas funduszem kwotę 51,302 ruble, utrzymanie zaś czterech nowych a niezbędnych stacyi — dodatkowo 13,808 rubli, co czyni razem 65,110 rubli rocznie.

Prócz tego w memoryale mowa jest o konieczności utworzenia posady lekarza zapasowego, do zastępowania lekarzy chorych, lub korzystających z urlopu, z płacą 1,200 rubli, dwóch posad w gubernialnej radzie dobroczynności z płacą 900 rubli, na kancelaryę rady dobroczynności 1,000 rubl, na podróże inspekcyjne, wynagrodzenia za posiedzenia, rewizye i t. d. 2,020 rubli, wreszcie na wydatki biurowe 600 rubli. Wszystko to razem czyni podaną wyżej kwotę 70,230 rubli.

Nie ludzając się wcale nadzieją, ażeby skarb państwa zgodził się na asygnowanie tak znacznej sumy, władze wystąpiły z projektem ustanowienia specjalnych na ten cel dodatków do podatków bezpośrednich, w sposób, jak się to praktykuje za granicą, tudzież w ziemstwach w Cesarstwie.

Jak się sprawa ta rozstrzygnie, niewiadomo, to pewna tylko, że chociaż dodatki takie obciążą nieco obywatelstwo wiejskie i miejskie, to jednak ciężar ten opłaci się, ponieważ dla dobra ogólnego. Ustanowienie dodatków takich w zasadzie rozstrzygnie także i o rozszerzeniu pomocy lekarskiej na inne gubernie Królestwa, co jest rzeczą pilną i jak najrychlejszą nastąpić powinno, bo *salus populi — suprema lex.*

Wiadomości bibliograficzne

---

## Wiadomości bibliograficzne.

---

—Na uroczczenie jubileuszu Wszechnicy Jagiellońskiej wydano we Lwowie książkę zbiorową, na którą złożyły się prace trzynastu autorów, wyjaśniających na okładce pobudkę tego wydawnictwa: „Almae matri Jagiellonicae, qui ab ipsa multa olim in litteris perceperant, quinque saecula feliciter peracta hoc munusculo oblato gratulantur“. Tak brzmi dedykacja, stanowiąca zarazem rodzaj tytułu; książka zaś zawiera następujące rozprawy: W. Wróbla: *Aristotelis locus de poetica* XIX 1456, a 33—1456b 8 explicatus et emendatus“; Winc. Śmiałka: „Herma w Markopulo a spuścizna Simonidesa“; St. Witkowskiego: „De pace quae dicitur Cimonica“; J. Czubka: „Epigramy Marcyalisa. Wybór z ks. XI i XII“; Zach. Dembitzera: „Criciana“, Kaz. Nitscha: „Próba wyjaśnienia genezy przechodzenia w naszym białoruskiem nieakcentpwanego *e* w *a*“; Aleks. Frączkiewicza: „De sex primis numeralibus etruscis“; St. Siedleckiego: Schopenhauer o ideach Platona“; Ign. Steina: „Dwie elegie Kochanowskiego“; Kaz. Bronikowskiego: Ślady wpływów francuskich humanistów w epigramach Jana Kochanowskiego“; J. Winkowskiego: „Horacego Sat. 1. 6.“;

J. Rozwadowskiego: „Ze studyów nad nazwami rzek słowiańskich“; J. Kallenbacha: „O genezie Działów“.

— Do tej samej kategorii wydawnictw zaliczyć wypada niewielką książkę H. Orszy, drukowaną w Warszawie „w pięćsetną rocznicę“ pod tytułem: „O naszych pierwszych książkach, dawnych szkołach i uniwersytecie krakowskim“.

— W ostatnim zeszycie lwowskiego „Kwartalnika historycznego“ znajdujemy prace: Mikołaja Karejewa: „O studyach z zakresu historii zachodniej Europy w Rosyi“, Adama Szelażowskiego: „Upadek waluty w Polsce za Jana Kazimierza“; recenzje i sprawozdania, przegląd literatury historii powszechnej etc.

— Dziewiąty zeszyt „Biblioteki neoscholastycznej“ D. Merciera zawiera dalszy ciąg „Kryteriologii“.

— W zeszycie II „Przeglądu Filozoficznego“ mieszczą się między innymi rozprawy E. Abramowskiego. „Dusza i ciało“; d-ra W. Biegańskiego „Istota sądu“; przegląd nauk poszczególnych, przegląd systematów współczesnych, autoreferaty, sprawozdania i t. d.

— W „Bibliotece dzieł chrześcijańskich, wychodzącej pod redakcją ks. Z. Chelmickiego, wydano drugą seryę „Studyów i Szkiców religijno-filozoficznych“ ks. Władysława Dębickiego.

— Ks. Ign. Charszewski zebrał pisane różnemi czasy przeciw „Roli“ artykuły „pod adresem butnych teologów w surducie“, i ogłosił w oddzielnej broszurze pod tytułem: „Ślepi wodzowie“.

— Jako wydawnictwo „Przeglądu Filozoficznego“, ukazała się broszurka pod tytułem: „Czy warto żyć“ z angielskiego W. Jamesa przez W. Kosiakiewicza przełożona. Wnosząc z nadtytułu: „Filozofia praktyczna“ i z cyfry I, będzie to zapewne szereg popularnych rozprawek.

— Nakładem Kasy d-ra Mianowskiego wyszła praca p. Jana Kncharzewskiego pod tytułem: „Początki prawa małżeńskiego“.

— P. Aleksander Mogiłnicki wydał rozprawę: „Obrońca kryminalny a opinia publiczna“ (odbitka z „Ateneum“).

— Wyszedł z druku piąty zeszyt poradnika językowego“.

— Z belletrystyki mamy do zanotowania Michała Muttermilcha: „Ironię“, E. Zoriana powieści: „Pod godłem krzyża“ (z XIV wieku) i „Dopust Boży“ (historyczna w XVIII wieku) oraz wydane w „Bibliotece dzieł wyborowych“ przekłady powieści Rudyarda Kiplinga „Od morza do morza“ i Knuta Hamsona: „Wiktorya“.

— Nakładem Gebethnera i Wolffa wyszła komedia obyczajowa w czterech aktach wierszem przez Stanisława Kozłowskiego napisana pod tytułem: „Dyana“.

---

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca

*Adam hrabia Krasiński.*

# SPIS RZECZY

*zawartych w tomie drugim*

z roku 1901.

---

## Historya.

Str.

POŻEGNANIE STULECIA,—przez Szymona Askenazego 1, 193 i 393	
TOWARZYSTWO KRÓLEWSKIE GOSPODARCZO - ROLNICZE W KSIĘSTWIE WARSZAWSKIEM Z RO- KU 1810, — przez Aleksandra Rem- bowskiego. . . . .	118

## Szkice polityczne.

ZMIANA TRONU W WIELKIEJ BRYTANII,—przez d-ra M. E. Ne- kandę-Trepkę. . . . .	545
---	-----

**L i t e r a t u r a.**

	Str.
SPRAWA DOŁĘGI (powieść), — przez Józefa Weysse- hoffa . . . . .	60, 232 i 418
GRA FALI (wiersz), — przez Bronisławę Ostrowską (Mierz.) . . . . .	147
NA WIOSNĘ (wiersz), — przez Bronisławę Ostrowską (Mierz.) . . . . .	469
Z PODRÓŻNEJ TEKLI. I. INWOKACYA. II. NA JEZIORZE. III. W PUSTELNI. IV. W BŁYKAWICZ- NYM POCIĄGU. V. W CICHEJ DOLINIE (poezye), — przez Maryę Konopnicką	346

**Studia i szkice literackie i artystyczne.**

JULIUSZ SŁOWACKI I POEMAT „W SZWAJCARYI“, — przez Kazimierza Jareckiego . . . . .	89 i 317
ALEKSANDER GIERYMSKI, — przez Stanisławą Witkie- wicz a . . . . .	215 i 474
ZWROT W MODERNIZMIE NIEMIECKIM. IV. POWIEŚĆ, — przez d-ra Józefa Flacha . . . . .	267
DAWNE POWIEŚCI I ROMANSE POLSKIE. Szkic literacki, — przez St. Brücknera . . . . .	506

**Sprawy społeczne, prawne i ekonomiczne.**

TRAKTATY HANDLOWE, — przez St. Kempnera . . . . .	442
---	-----

**Szkice etnograficzne.**

PIERWOTNE POGLĄDY NA PRZYRODĘ, — przez Ludwi- ka Krzywickiego . . . . .	27
--	----



**Nauki przyrodnicze.**

	Str.
ZDOBYCZE I KIERUNKI BIOLOGII W MINIONEM STULECIU, — przez prof. d-ra Józefa Nusbauma .	285

**K r y t y k a.**

W. M. Kozłowski: „Szkice filozoficzne“, 1900. Wydawnictwo „Prze- glądu filozoficznego“, — przez Pawła Las- sotę Lewinsona . . . . .	154
M. Zdziechowski: „Szkice literackie“. I, Warszawa, Gebethner i Wolff, 1900. Str. 339, — przez Romana Zawil- lińskiego . . . . .	163
Józef Rozenzweig: „Crescendo“. Warszawa, 1901. Skład główny w księgarni J. Fiszera, — przez Z. D. . . . .	168
Ada Negri: „Niedola. Burze“. Przekład Maryi Konopnickiej. Warsza- wa, 1901. Nakładem Bronisława Natansona, — przez Z. D. . . . .	366
Generał Szilder: „Cesarz Mikołaj I i Polska w roku 1825 — 1831“. „Ruskaja Starina“, 1900;— „Mémoires du géné- neral baron de Dedem de Gelder. 1774—1825“, — pszez A. R. . . . .	356 i 564
Edmund Swieykowski: „Katalog malowideł, rysunków, sztychów i lito- grafii Michała Stachowicza“, — przez Ksawe- rego Chamca . . . . .	566

**Kronika miesięczna.****KWIECIEŃ.**

Kilka słów o wiośnie i o Warszawie. — „Chimera“. — W sprawie szpitalnictwa i projektowanego podatku szpi- talnego.—Konkurs „Biblioteki dzieł chrześciań- skich“. — Nowy gmach opery. — Zbiór sfrac- gistyczny Podczaszyńskiego. — Ś. p. Edward Strumpf . . . . .	174
---	-----

## MAJ.

- Działalność Towarzystwa higienicznego w roku 1900-ym. — Ankieta „Gazety Polskiej“ w sprawie traktatów handlowych. — Pamięci Konarskiego. — Zgubny kult obczyzny u nas. — Księgarnia literacka, czy Towarzystwo wydawnicze? — Ś. p. ks. biskup Sotkiewicz. — Ś. p. profesor August Kreczmar . 372

## CZERWIEC.

- Statystyka wolnych posad i wybór powołania. — Muzea prowiucyjne. — Kwestyonaryusz d-ra Zawadzkiego. — Popularyzacya nauk przyrodniczych. — Pomoc lekarska na wsi . . . . . 569

## Wiadomości bibliograficzne.

KWIECIEŃ . . . . .	190
MAJ . . . . .	389
CZERWIEC . . . . .	586